

LIN CARTER & L. SPRAGUE DE CAMP

CONAN BUKANIER

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE BUCCANEER
PRZEŁOŻYŁ MAREK MASTALERZ

Największemu żyjącemu twórcy
literatury miecza i magii
J.R.R. Tolkienowi

KORSARZE I CZARNOKSIĘŻNICY

Poniższa powieść dzieje się w świecie, który nigdy nie istniał, chociaż niewątpliwie powinien. Wspaniały, pełen dziwów, romantyczny świat, gdzie wszyscy mężczyźni są przystojni i dzielni, a dziewczęta nieprawdopodobnie piękne i chętne, by zaszyć się za areną z gladiatorem czy dwoma. Świat pełen nieprzebranych dżungli, olbrzymich gór i lśniących mórz, w którym nietrudno o misję w szczytnym celu, a przygoda jest składnikiem codzienności. Świat wypełniony po brzegi niesamowitymi potworami, złowrogimi czarnoksiężnikami i wojownikami o surowych obliczach, gdzie działa magia, a bogowie istnieją rzeczywiście, nie tylko w wyobraźni swoich wyznawców.

Jest to świat nowego rodzaju prozy popularnej, określanej jako fantasy „miecza i magii”. Witajcie w nim!

Jeśli należycie do tych nielicznych, którzy jeszcze nigdy nie mieli do czynienia z fantasy, czeka was prawdziwa uczta, o ile pragniecie oderwać się na godzinę czy dwie od wymienionych wyżej cech współczesności, by przenieść się do wspaniałego, nieprawdopodobnego świata. Fantasy typu „miecza i magii” jest bowiem literaturą czysto eskapistyczną i niczym więcej. Nie ma ukrytych znaczeń. Nie oferuje poręcznych, podanych w przystępnej formie recept na uporanie się z licznymi niedogodnościami rzeczywistości. Nie sprzedaje żadnego „izmu” ani „ogii”, żadnego przesłania. Jest czymś wielce rzadkim w dzisiejszych czasach.

Jest to bowiem — rozrywka!

Obecnie wielu ludzi, włącznie z (niestety) licznymi moimi kolegami, piszącymi science fiction, zdaje się sądzić, że czytanie wyłącznie dla przyjemności jest czymś tracącym niemoralnością. Owi mądrzy ludzie twierdzą, że opowieść powinna dotyczyć czegoś ważnego i istotnego, jak wycieki ropy zagrażające nadmorskim plażom czy zagłada grożąca brodziecowi piskliwemu. Uważają, że bohater powinien być walczącym o wolność swojego ludu Murzynem, homoseksualistą domagającym się społecznego zaakceptowania, uczniem college'u protestującym przeciwko nieprawościom Pentagonu lub Indianinem, który bierze odwet na białych twarzach, urządzając udany bunt w więzieniu Alcatraz.

Problematyka społeczna gości we współczesnej literaturze równie często jak na czołowych łamach gazet codziennych. Twierdzi się, że powieściopisarze powinni wyjść z wieży z kości słoniowej i wstąpić na barykady.

Nie zgadzam się.

Na świecie jest pełno kłopotów, odkąd człowiek zszedł z drzewa i zabrał się do wymyślania cywilizacji. Społeczne nieprawości kwitną przynajmniej od czasu ostatniego zlodowacenia. Nie ma sensu łudzić się, że nasze czy kolejne pokolenie zdoła poradzić sobie z licznymi wynaturzeniami, nekającymi świat polityki. Nie znaczy to, że powinniśmy je bagatelizować

lub udawać, że ich nie ma. Powinniśmy jednak postrzegać je w kontekście historii i zdawać sobie sprawę, że są częścią kondycji ludzkiej.

Weźmy na przykład wojny. Wybuchały od zawsze i niewiele z nich toczono w szlachetnych celach. A zbrodnie? Przestępczość jest wielkim problemem, lecz zbrodnie na ulicach popełniano, odkąd ktoś wynalazł ulicę. Podobnie

korupcja urzędników publicznych istnieje, odkąd wymyślono urzędy publiczne.

Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy zamartwiać się przez okrągłą dobę złem współczesności. Musicie przyznać, że chłodnego, deszczowego wieczora miło jest rozeprzeć się w wygodnym fotelu, przypalić fajkę, postawić obok popielniczki szklanę z martini z lodem i uciec między stronice ekstrawaganckiej przygody.

My, pisarze uprawiający literaturę heroic fantasy, definiujemy ją jako wartkie, barwne opowieści, toczące się w przedindustrialnym świecie, w którym działa magia i obecni są bogowie, a heroiczny bohater stacza walkę z siłami nadnaturalnego zła.

Snucie takich opowieści jest profesją o wielowiekowych tradycjach, sięgających czasów Homera. Walka bohatera ze złymi potworami występuje już w anglo-saksońskim eposie Beowulf, w którym geacki książę stawia czoło Grendelowi, czy też germańskiej Pieśni o Nibelungach, gdzie Siegfried zabija smoka Fafnira.

Jest niezaprzeczalnym faktem, że zasadnicze składniki tworzące opowieść „miecza i magii” są równie stare jak sama literatura. Jednak obecnie mało kto tworzy poematy o objętości książki, dlatego też dopiero w tym wieku omawiane wyżej motywy literackie weszły w skład utworów fantasy.

Człowiekiem, który dokonał tej syntezy, był pisarz tworzący dla brukowych magazynów awanturnych lat trzydziestych (pulp magazines), nazwiskiem Robert E. (Ervin) Howard. Urodził się w 1906 roku w Peaster w stanie Teksas i spędził większość przedwcześnie zakończonego życia w Cross Plains, miasteczku położonym w samym sercu tego stanu, między Brownwood i Abilene. Zmarł tam w 1936 roku, gdy byłem małym chłopcem. Nigdy go nie poznałem.

Howard pisywał opowieści przygodowe starej daty, w których pobrzmiwała chlubna tradycja Talbota Mundy’ego, Harolda Lamba, Edgara Rice Burroughsa i innych autorów piszących dla magazynów typu „pulp”. Tak naprawdę chciał pisać utwory o piratach z czasów hiszpańskiej Wielkiej Armady, opowieści dziejące się w sercu Czarnej Afryki lub opowiadania grozy, dotyczące tajemniczego Tybetu. Chciał przedrzeć się na łamy Weird Taks Farnswortha Wrighta, podobnie jak jego przyjaciele, H.P. Lovecraft i Clark Ashton Smith, dlatego też musiał włączyć do swoich wartkich utworów elementy magii i nadnaturalnej grozy.

Kolega i korespondent Howarda, Clark Ashton Smith, odniósł wówczas wielki sukces publikowanym w Weird Tales cyklami opowieści, dziejących się w egzotycznej scenerii takich zaginionych cywilizacji, jak Hyperborea czy Atlantyda. W tych bajecznych, romantycznych królestwach roilo się od fantastycznych, legendarnych stworów, cudów, magów, enigmatycznych bogów i demonów. Mniej więcej w tym samym okresie Lovecraft znalazł zbyt na swoje opowiadania grozy, w których współcześni ludzie stawali w obliczu kosmicznego zła. Były to historie jedna w drugą solidne, dające rozrywkę i pełne dreszczyków...

Howard włączył te wszystkie motywy do swoich rozbuchanych awanturnych opowieści. W rezultacie powstał cykl doskonałych opowiadań o Conanie z Cymmerii, potężnym wojowniku barbarzyńskiego pochodzenia. Areną życia był prehistoryczny świat, w którym dokonał się awans bohatera od tak nędznych profesji jak złodziej, pirat, bandyta czy najemnik, po stanowisko królewskiego generała, a wreszcie na własny tron. Cykl opowiadań okazał się wielkim sukcesem.

Łącząc tak zróżnicowane elementy, jak metafizyczny horror, starożytna magia i legendarne prehistoryczne cywilizacje, w kontekście niewyrafinowanej wartkiej opowieści przygodowej, Howard przyczynił się do powstania nowego gatunku literatury popularnej zwanego heroiczną fantazy lub fantazy „magii i miecza”.

Howard stworzył swą prywatną domenę literacką w 1932 roku. W grudniu tego roku w *Weird Tales* zostało opublikowane opowiadanie „Feniks na mieczu”. Pierwsza z opowieści o Conanie odniosła natychmiastowy sukces. Czytelnikom podobała się tak bardzo, iż ślali do redakcji listy z żądaniami następnymi. Howard mógł z satysfakcją przystąpić do tworzenia świata „ery hyboryjskiej” i spisywania kronik jego najdostojniejszego obywatela. Nie wiedział, że pozostało mu tylko cztery lata życia.

Przez ten czas stworzył żywą legendę. Czytelnicy połykali każde opowiadanie o Conanie i domagali się więcej. Dziś, trzydzieści dziewięć lat później, im i ich potomkom nadal jest mało. Dlatego też powstała ta powieść, napisana wspólnie z L. Sprague de Campem.

Niewielu pisarzy miało szczęście stworzyć legendę. Udało się to Conan Doyle’owi z Sherlockiem Holmesem, Edgarowi Rice Burroughsowi z Tarzanem. Być może tego samego cudu dokonał Ian Fleming z Jamesem Bondem (jeszcze za wcześnie, by to orzec). W ciągu zaledwie czterech lat opowiadania Roberta Ervina Howarda stworzyły legendę, która nie tylko przeżyła jej twórcę, lecz również pismo, w którym się ukazywała, oraz wydawnictwo, które dodało im prestiżu, publikując je w twardej oprawie.

Podobnie jak w przypadku Sherlocka Holmesa, Tarzana i nawet nowicjusza w gronie „nieśmiertelnych dla mas”, komandora Jamesa Bonda w służbie Jej Królewskiej Mości, inni pisarze nie zdołali utrzymać rąk z dala od Conana.

Pierwsi imitatorzy zadowalali się jedynie powielaniem wzorca howardowskiego bohatera. W taki właśnie sposób powstały opowiadania Henry’ego Kuttnera o Elaku z Atlantydy, żony Kuttnera, CL. Moore, o Jirel z Joiry oraz dwie krótkie powieści Norvella F. Page’a o Wan Tengrim. Później pisarze wpadli na pomysł, by osadzać swe opowieści w światach analogicznych do howardiańskiej ery hyboreańskiej, kreując bardziej oryginalnych bohaterów — jak we wspaniałej sadze Fritza Leibera o Fafhrdzie i Szarym Kocurze, powieściach o nieszczęsnym księciu — albinosie, Elryku z Melnibone Michaela Moorcocka, czy zręcznych, pełnych wytrawnej ironii utworach mojego współpracownika, L. Sprague de Campa, o erze pusadiańskiej bezpośrednio po upadku Atlantydy.

Sprague de Camp dość późno przekonał się do opowiadań o Conanie, podczas gdy ja zaczytywałem się nimi jako nastolatek. Różnica wieku między nami jest znaczna — Sprague de Camp jest ode mnie starszy o dwadzieścia trzy lata. Chociaż Sprague przez całe życie był miłośnikiem fantastyki, po okładkach wystawianych w kioskach egzemplarzy *Weird Tales* sądził, że wypełniają je horrory, do których zawsze odnosił się bez entuzjazmu. W świat heroic fantazy wprowadził go egzemplarz edycji w twardej oprawie Conana zdobywcy, wepchnięty mu przez jego kolegę, Fletchera Pratta, do zrecenzowania. Kiedy Sprague de Camp przeczytał książkę, nie można było go już powstrzymać; stał się zapalonym miłośnikiem opowiadań o Conanie. Gdy dowiedział się, że na terenie Stanów znajdują się rozproszone teki z nie publikowanymi i czasem nie dokończonymi utworami, zaczął je wyszukiwać, uzupełniać, redagować i wydawać przy pomocy agenta Howarda, Glenna Lorda.

Tymczasem ja skończyłem dwadzieścia lat, odbyłem służbę wojskową w piechocie w Korei i przeprowadziłem się do Nowego Jorku, gdzie uczestniczyłem w warsztatach pisarskich na Uniwersytecie Columbia. W 1965 roku zacząłem publikować powieści w miękkiej oprawie, począwszy od *The Wizard of Lemmuria*, który został raczej łaskawie określony jako „zderzenie czołowe Howarda z Burroughsem”. Pierwsza powieść o Lemurii stała się zaczątkiem sześciotomowego cyklu. Prócz książek o Thongorze Potężnym, barbarzyńskim królu — wojowniku z zaginionej Lemurii, napisałem sześć czy siedem innych powieści typu „magii i miecza”.

Wspólny entuzjazm dla fantazy sprawił, że wielokrotnie spotykaliśmy się ze Sprague de Campem na konwentach miłośników fantastyki i utrzymywaliśmy luźną korespondencję. W 1967 roku opracowałem i zredagowałem tom opowiadań Howarda King Kull, nieudanego, poprzedzającego stworzenie postaci Conana cyklu opowieści o barbarzyńcy rodem z Atlantydy.

W tym samym roku Sprague de Camp zaprosił mnie do współpracy nad „kilkoma nowymi opowiadaniemiami o Conanie, które pozwolą wypełnić luki między już istniejącymi”. Od tamtego czasu pracujemy nad tym dziełem.

Niniejsza powieść o korsarzach i czarnoksiężnikach jest według wewnętrznej chronologii sagi szóstym utworem, opisującym życie i karierę Conana. Obejmuje ona niedostatecznie scharakteryzowany okres biografii Conana — dwa lata, podczas których był zingarańskim korsarzem. Wykorzystaliśmy tę okazję, by wzmocnić wewnętrzne powiązania sagi: w powieści pojawia się ten sam, co w Conanie z wysp, zapalczywy i szczerzy Vanir Sigurd. Przewija się w niej również jeden ze starych towarzyszy Conana, krzepki, czarny wojownik Juma, który po raz pierwszy pojawił się w opowiadaniu „Miasto czaszek” w pierwszym tomie, zatytułowanym Conan. Dla dalszego zacieśnienia logicznych powiązań cyklu wprowadziliśmy tutaj postać pojawiającego się po raz pierwszy Zarona (który powraca w „Skarbie Tranicosa” w tomie ósmym, Conan uzurpator). Skorzystaliśmy też z głównego czarnego charakteru — przewijającego się przez cały cykl księcia czarnoksiężników, Thoth-Amona ze Stygii. Warto dodać, że Conan w tym okresie swojego życia ma trzydzieści siedem lub osiem lat.

Howard dożył publikacji osiemnastu swoich opowiadań o Conanie. Wśród jego spuścizny odkryto jeszcze osiem utworów, począwszy od skończonych maszynopisów, na fragmentach i szkicach kończąc. Nasza dwójka dopisała do tej liczby osiem kolejnych utworów, w tym dwie powieści, nie licząc drobiazgów w rodzaju „Ręki Nergala” (Howarda i Cartera) czy „Ryja w ciemnościach” (Howarda, de Campa i Cartera). Sprague de Camp, uzupełniając utwory Howarda oraz we współpracy ze mną i Bjornem Nybergiem, napisał więcej historii o Conanie niż sam twórca cyklu.

Widać jednak koniec naszego dzieła, co oczywiście, nie oznacza końca Conana.

Będzie z nami jeszcze przez wiele lat. Nie wątpię, że książki z tego cyklu będą ciągle w sprzedaży bardzo długo... może dłużej, niż można by spodziewać się w tej chwili.

Prócz książek powstał również poświęcony wyłącznie Conanowi magazyn komiksów (Conan barbarzyńca Marvela).

Od czasu do czasu wygląda na to, że również Hollywood zaczyna odkrywać hardego Cymmerianina.

A czytelnicy wciąż proszą o jeszcze...

Hollis, Long Island, Nowy Jork, 1971

PROLOG KRWAWY SEN

Księżniczka Chabela obudziła się na dwie godziny przed świtem. Naciągnąwszy na gołe ciało lekką kołdrę, leżała napięta i drżąca. Utkwiwszy wzrok w ciemności, czuła, jak napawające lodowatą grozą złe przeczucie wibruje w jej rozdygotanych nerwach. Za oknem o pałacowe dachy bębnił deszcz.

Czegóż dotyczyła ciemna i przerażająca mara, z której niepojętego uchwytu ledwie zdołała się wyrwać? Teraz, gdy upiorny sen skończył się, z trudem mogła przypomnieć sobie jego szczegóły. Pamiętała ciemność i błyskające w mroku złe oczy. Światło odbijające się od

ostrzy mieczy. I krew. Była wszędzie: na prześcieradłach, na wykładanych mozaiką posadzkach, przesączała się pod drzwiami — czerwona, lepka, ospale płynąca krew!

Zadygotawszy, Chabela zabroniła sobie dalszego rozpamiętywania snu. Jej spojrzenie trafiło na chwiejny płomyk olejnej lampki stojącej na niskim, zdobnym kłęczniku. Obok znajdowała się również niewielka ikona Mitry, Pana Światła, naczelnego bóstwa hyboryjskiego panteonu. Nagły impuls sprawił, że księżniczka spuściła stopy na lodowatą posadzkę. Owinąwszy koronkową tkaniną bujne śniade ciało, przyklękła przed wizerunkiem swojego boga. Czarne błyszczące włosy staczały się po jej plecach jak katarakta księżycowego blasku.

Na pulpicie kłęcznika stał również srebrny pojemnik z kadzidłem. Księżniczka odkręciła jego wieczko i wrzuciła kilka brązowych ziaren w pelgający płomień lampki. Komnatę wypełniła silna woń nardu i mirry.

Chabela stuliła dłonie i skłoniła się jak do modlitwy, ale z jej ust nie padło ani jedno słowo. W myślach dziewczyny panował chaos. Mimo usilnych starań nie potrafiła osiągnąć stanu wewnętrznej koncentracji, niezbędnego do skutecznego przywołania pomocy bóstwa.

Księżniczka uświadomiła sobie, że nie wyjaśnione okropności, takie jak z jej koszmaru, już od wielu dni czają się w pałacu. Stary król stał się oschły i nieprzystępny, zajęty sobie tylko znanymi sprawami. Postarzał się zdumiewająco, jakby jego siły życiowe wysysała upiorna pijawka ze świata fantazmatów. Niektóre z dekretów monarchy tak dalece odbiegały od dotychczasowych, jak gdyby nie wyszły spod jego ręki. Chwilami ze spłowiałych oczu króla wydawał się wyglądać duch innego człowieka, ujawniający się również w powolnym, chrapliwym głosie. Odmienny wydawał się też podpis, bazgrany drżącą dłonią na państwowych dokumentach. Wrażenie obcości, bijące od starego monarchy, było równie absurdalne, jak nieodparte.

Na domiar złego księżniczkę zaczęły nękać koszmary o nożach, krwi i obserwujących ją nieustannie, gęstniejących, czujnych cieniach!

Nagle w jej głowie przejaśniło się, tak jak świeży wiatr od morza spędza bagienne mgły. Chabela stwierdziła, że jest w stanie nazwać przytłaczające ją uczucie grozy. Zrozumiała, że jakaś ciemna siła stara się zdobyć władzę nad jej umysłem.

Przepelniło ją przerażenie. Jęk odrazy wstrząsnął jej szczodrze obdarzonym przez naturę ciałem. Dumne półkule skrytych pod koronkami piersi wznosiły się i opadały gorączkowo. Księżniczka rzuciła się na posadzkę u stóp ołtarzyka. Lśniące zwoje czarnych włosów rozpostarły się na terakocie. Chabela zaczęła się modlić:

— Panie Mitro, obrońco rodu Ramiro, mistrzu łaski i prawości, prześladowco występku i okrucieństwa, wspomóż mnie, zaklinam cię, w godzinie potrzeby! Powiedz mi, co mam czynić, błagam cię, o potężny Panie Światła!

Wstała, otworzyła złotą szkatułkę stojącą koło pojemnika z kadzidłem i wyjęła z niej kilkanaście cienkich laseczek z rzeźbionego drewna sandałowego. Niektóre ze służących do wieszczenia drewnienek były krótsze od innych, inne pogięte lub rozdwojone, pozostałe zaś proste i długie. Chabela cisnęła je na posadzkę przed ołtarzykiem. W panującej w alkwie ciszy stuk drewnienek o podłogę wydał się nienaturalnie głośny.

Księżniczka utkwiała wzrok w leżących na posadzce drewnienkach. Czarne włosy opadły jej na twarz, oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

Drewnienka ułożyły się w słowo: T-O-V-A-R-R-O.

— Tovarro — dziewczyna powtórzyła powoli imię. — Płyn do Tovarra... — w jej ciemnych oczach zabłysła determinacja. — Popłynę! — przysięgła. — Jeszcze dziś! Namówię kapitana Kapelleza...

Zaczęła krążyć po komnacie, gorączkowo wygarniając ubiory ze skrzyń. Jej krzątaninę oświetlały kolejne błyskawice. Chabela założyła na koniec pancierz, rapier z pochwą i ciepły płaszcz. Płynnym, pełnym gracji krokiem wyslizgnęła się z komnaty.

Wydawało się, że Mitra obserwuje ją znad kłęcznika. Czyżby w jego malowanym spojrzeniu pojawił się wyraz wszechwiedzącej inteligencji, a na ustach surowe współczucie? Czy gromy odległych piorunów były w istocie jego głosem? Któż to wie?

W ciągu godziny córka króla Ferdruga opuściła pałac. Łańcuch wydarzeń ruszył z miejsca...

ROZDZIAŁ 1 STARY ZINGARAŃSKI ZWYCZAJ

Zerwał się wiatr i popędził przed sobą strugi deszczu. Było już po północy. Zimny morski powiew zawodził w prowadzących do portu brukowanych uliczkach, kołysał malowanymi szyldami nad drzwiami zajazdów i tawern. Drżące, wygłodniałe kundłe kuliły się we wnękach bram.

O tak późnej godzinie trudno było nawet o wracających z zabaw i uczt biesiadników. Niewiele świateł paliło się w domostwach Kordawy — położonej nad Zachodnim Oceanem stolicy Zingary. Gruba powłoka chmur skrywała księżyc, postrzępione pasma mgły wędrowały po ponurym niebie jak potępione dusze. Nastąpiła ciemna, sekretna godzina — pora nocy, gdy mężczyźni o twardych spojrzeniach szeptali o zdradzie i rabunku, gdy zamaskowani najemni zabójcy przemykali przez pograżone w ciemnościach pokoje, dzierżąc w czarnych rękawicach zatrute sztylety. Pora zbrodni i spisków...

Przez dźwięki deszczu i wiatru przebiły się odgłosy kroków i poszczekiwania mieczy. Oddział straży nocnej — sześciu ludzi w płaszczach, wysokich butach i z naciągniętymi na czoła kapturami, uzbrojonych w piki i halabardy, kroczyło pograżoną w ciemności ulicą. Zachowywali się cicho, rozglądali się bacznie na prawo i lewo, nasłuchiwali podejrzanych odgłosów. Pełnili służbę, dumając o dzbanach wina, które osuszają, jak tylko skończy się ta pieska służba.

Gdy strażnicy minęli stajnię z krzywym dachem, dwie sylwetki, stojące nieruchomo w pograżonym w ciemnościach wnętrzu, ożyły. Jeden z kryjących się ludzi wyciągnął spod płaszcza niewielką latarnię. Snop światła trafił na ciemną plamę na podłodze stajni.

Schyliwszy się, mężczyzna z latarnią omiótł kurz i odsłonił kamienną płytę ze spiżowym pierścieniem. Obydwaj mężczyźni pociągnęli za pierścień. Płyta uniosła się ze skrzypieniem nie naoliwionych zawiasów. Odziani w ciemne stroje ludzie zniknęli we wnętrzu i po chwili kłapa wróciła z łoskotem do poprzedniej pozycji.

W dół prowadziły wąskie, kręcone kamienne schody. Słabe światło latarni umożliwiło mężczyznom bezpieczne zejście po wytartych stopniach. Ich buty ślizgały się na pleśni i grzybach. Wokół unosiła się woń stuleci rozkładu.

Dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach zachowując milczenie dotarli na dół. Ich rysy skrywały jedwabne maski. Posuwali się naprzód jak nieme widma. Niespodziewany powiew rozwiął ich płaszcze jak skrzydła gigantycznych nietoperzy.

Wysoko nad śpiącym miastem na tle posępnego nieba wznosiły się wieżycy zamku Villagra, księcia Kordawy. W wysokich, szczelinowatych oknach paliło się niewiele świateł, ponieważ tylko paru mieszkańców zamku jeszcze nie spało. Głęboko w trzewiach pradawnej budowli gospodarz zamku czytał szeleszczące pergaminy w świetle wysokiego złotego kandelabru, którego rozwidlenia wykonano na podobieństwo splecionych węży.

Nie szcędzono kosztów, by zamienić kamienną kryptę w luksusową komnatę. Wilgotne mury z chropawego kamienia pokryto pysznymi, wyszywanymi draperiami. Zimne płyty posadzki skrywał gruby, miękki dywan, pyszniący się mnóstwem barw układających się w charakterystyczne dla dalekiej Vendhii skomplikowane, kwietne motywy. Na obitym złotem,

drewnianym taborecie, pokrytym kunsztownymi płaskorzeźbami, przedstawiającymi nagie sylwetki oddające się cielesnym rozkoszom, znajdowała się srebrna taca z kryształową karafką wina z Kyros oraz srebrnymi misami z owocami i ciastkami. Wielkie biurko, przy którym siedział czytający mężczyzna, pokryte było płaskorzeźbami w stylu modnym obecnie w sąsiedniej Aquilonii. Obok kałamarza ze złota i kryształu tkwiło służące do pisania pawie pióro. Wąski miecz leżał w poprzek biurka jak przycisk do papieru.

Mężczyzna był w średnim wieku. Miał około pięćdziesięciu lat, lecz trzymał się prosto i pewnie. Jego szczupłe nogi okrywały czarne jedwabne rajtuzy i eleganckie pantofle z miękkiej kordawskiej skóry ze sprzączkami ozdobionymi klejnotami, migającymi w rytm niespokojnego postukiwania piętą o posadzkę. Tors mężczyzny krył się pod kaftanem z błękitnego aksamitu, którego bufiaste rękawy ukazywały w rozcięciach podszewkę z brzoskwiniowej satyny. Na wszystkich palcach starannie pielęgnowanych dłoni pyszniły się pierścienie z wielkimi klejnotami.

Wiek mężczyzny można było rozpoznać po obwisłych policzkach i sinawych workach pod ciemnymi oczami o zimnym spojrzeniu. Człowiek ten najwyraźniej starał się ukryć swój wiek, o czym świadczyło to, iż sięgające ramion, gładko zaczesane włosy były farbowane, a zmarszczki wypełniał puder. Lecz kosmetykom nie udało się zatuszować psującej się cery, przebarwień pod twardymi oczami o znużonym wyrazie i obwisłych fałdów skóry na szyi.

Mężczyzna gładził upierścienioną dłonią pergaminy wypełnione staranną kaligrafią, opatrzone pieczęciami na jedwabnych wstęgach i sznurach. Jego niecierpliwość zdradzały ruchy stopy, częste spojrzenia na zegar wodny oraz na ciężki gobelin w rogu komnaty.

Za siedzącym mężczyzną stał milczący, kushycki niewolnik z muskularnymi ramionami skrzyżowanymi na obnażonej piersi. Jego wydłużone małżowiny uszne zdobiły złote kolczyki, światło świec odbijało się na natartej oliwą muskulaturze piersi. Za karmazynowy pas ze zwoju tkaniny Murzyn miał zatknięty zakrzywiony pałasz bez pochwy.

Zegar wodny zadzwonił przy akompaniamencie klekotu trybików, oznajmiając, iż jest druga nad ranem.

Ze stłumionym przekleństwem mężczyzna za biurkiem odrzucił przeglądany właśnie pergamin. W tej samej chwili gobelin został odsłonięty, ukazując wylot sekretnego przejścia. Widać w nim było dwóch ludzi w płaszczach i czarnych maskach. Blask świec odbijał się na mokrych tkaninach ich strojów. Jeden z mężczyzn trzymał niewielką latarnię.

Siedzący człowiek położył dłoń na rękojeści broni leżącej w poprzek biurka, Kushyta zaś dotknął szabli. Jednak gdy dwaj goście weszli do środka i zdjęli maski, starzejący się mężczyzna rozluźnił się.

— W porządku, Gomani — powiedział do Murzyna, który ponownie złożył ramiona na piersiach i utkwiał przed sobą obojętne spojrzenie.

Nowo przybyli zrzucili płaszcze na posadzkę. Jeden z przybyszy miał łysą lub też wygoloną czaszkę, jastrzębie rysy, wyniosłe czarne oczy i wąskie usta. Gość złożył dłonie na piersiach i skłonił się.

Drugi mężczyzna odstawił latarnię i szurnął nogą w dwornym ukłonie, zamiatając podłogę ozdobionym piórami kapeluszem.

— Wielmożny panie! — zawołał. Wyprostowawszy się, przybrał nonszalancką pozę, opierając dłoń na rękojeści rapiera. Gdy zdjął płaszcz, okazało się, że jest wysoki, szczupły i czarnowłosy. Miał ziemistą cerę i ostre rysy twarzy o drapieżnym wyrazie. Jego cienkie wąsiki były tak precyzyjnie wypielęgnowane, iż można by pomyśleć, że są dziełem artysty. Teatralnej próżności młodzieńca towarzyszyła domieszka pirackiej zuchwałości.

Villagro, księżę Kordawy, obrzucił szczupłego Zingarańczyka lodowatym spojrzeniem.

— Kapitanie Zarono, nie przywykłem czekać — stwierdził.

Przybysz powtórzył dworny ukłon.

— Tysięczne przeprosiny, wasza łaskawość! Nawet za cenę błogosławieństwa wszystkich bogów nie chciałbym wzbudzić twojego niezadowolenia.

— W takim razie dlaczego spóźniłeś się o pół godziny, drogi panie?

— Błahostka — w tym miejscu Zarono zrobił wdzięczny gest. — Głupi wybryk...

— Bójka w knajpie, panie — wtrącił się mężczyzna z wygoloną głową.

— W jakiejś podrzędnej mordowni? — zapytał z naciskiem Villagro. — Czy ci rozum odebrało, hultaju? Jak do tego doszło?

Zarono, którego ziemiste policzki pokryły się szkarłatem, rzucił kapłanowi spojrzenie pełne wymownej groźby. Ten zniósł to z obojętną miną.

— Nic takiego, wasza dostojność! Nic, co powinno cię...

— Ja to osądzę, Zarono — odparł książe. — Niewykluczone, że doszło do zdrady naszego planu. Jesteś pewny, że ta... hm, blahostka nie była prowokacją?

Dłonie Villagra zacisnęły się na złożonym liście, aż zbieleły mu kłykcie. Zarono zaśmiał się dyskretnie.

— Nic podobnego, panie. Być może słyszałeś o tępym barbarzyńcy imieniem Conan, który zdołał zostać kapitanem zingarańskiego statku korsarskiego, chociaż jest synem jakiejś pospolitej ladaczniczki z Cymmerii?

— Nic mi o nim nie wiadomo. Mów dalej.

— Jak powiedziałem, nic takiego się nie stało. Kiedy dotarłem do tawerny „Pod Dziewięcioma Wyciągniętymi Mieczami” na spotkanie ze świętym mężem Menkarą, wypatrzyłem piekącą się na rożnie sztukę mięsa, a że od rana nie miałem nic w ustach, postanowiłem ubić jedną strzałą dwa gołębie. Ponieważ byłoby ujmą, gdyby człowiek z moim urodzeniem musiał czekać, poleciłem gospodarzowi tawerny, by podał mi ten połec. Wówczas ów cymmeriański cham ośmielił się sprzeciwić, twierdząc, że to jego kolacja. Trudno spodziewać się, by szlachetnie urodzony człowiek znosił pokornie panoszenie się nieokrzesanych cudzoziemców, którzy chcieliby mieć pierwszeństwo...

— Dowiem się wreszcie, co się stało? — spytał zniecierpliwiony książe.

— Doszło do wymiany zdań, a następnie ciosów. — Zarono zachichotał, dotykając ciemnego sińca pod okiem. — Ten osilek jest krzepki jak byk, chociaż stwierdzam, iż również zdołałem zostawić ślad na jego szpetnej gębie. Nim zdołałem mieczem dać nauczkę temu kmiotkowi, rozdzielili nas gospodarz tawerny i kilku gości. Nie przyszło im to bez wysiłku. Każdego z nas musiało trzymać pięciu chłopów. Tymczasem pojawił się czcigodny ojciec Menkara, który przyczynił się do uśmierzenia naszych temperamentów. Biorąc wszystko pod uwagę...

— Rozumiem. Najprawdopodobniej był to zwykły przypadek. Sądzę jednak, że gdybyś miał więcej rozumu, szanowny panie, nie zaczynałbyś takich burd. Zabraniam, by się to powtórzyło! A teraz do rzeczy. Zakładam, że to jest...?

— Wybacz mi złe maniery, wasza dostojność. — Zingarańczyk podkręcił wąż. — Przedstawiam ci świątobliwego Menkarę, kapłana Seta, którego przekonałem, by przyłączył się do naszego szczytnego dzieła i który obecnie trzodzi się, by dopomóc w jego realizacji.

Mężczyzna z wygoloną głową znów skrzyżował dłonie na piersi i skłonił się. Villagro odwzajemnił uprzejmość minimalnym skinieniem głowy.

— Dlaczego nalegałeś na osobistą rozmowę, święty ojczu? — rzucił. — Wolę działać przez agentów, jak na przykład Zarono. Czyżby coś nie w porządku? Nie odpowiada ci proponowana zapłata?

— Złoto to mierzwa, jednak mimo wszystko trzeba jakoś podtrzymywać swój byt na tej podrzędnej płaszczyźnie egzystencji — w szklistych oczach łysego Stygijczyka malowała się zwodnicza obojętność. — Nasz kult wie, iż ten świat jest jedynie złudzeniem, maską na nagim obliczu chaosu... Racz wybaczyć uniżonemu słudze, dostojny panie. Teologiczne dyskusje są w naszym kraju obyczajem, jednak moją obecność tutaj uzasadnia zwyczaj

twojego królestwa, czyż nie? — Stygijczyk uśmiechnął się melancholijnie, dając do zrozumienia, że był to żart. Diuk Villagro uniósł pytająco brew. Menkara kontynuował:

— Chodzi mi o zamiar waszej wysokości, by zmusić poczciwego, lecz ogarniętego starczym nadwątleniem króla Ferdruga, by oddał ci rękę księżniczki Chabeli, nim jego ziemską egzystencja dobiegnie kresu. Przed chwilą uczyniłem aluzję do powszechnie znanej maksymy: „Zdrada i spiskowanie to ulubiona rozrywka Zingarańczyków”.

— Tak, tak, kapłanie, znamy ją wszyscy — mars na czole Villagra świadczył, że nie uznał żartu za zabawny. — Jakie przynosisz wieści? Jak postępuje walka o opanowanie umysłów zajmujących nas osób?

— Nie najlepiej, panie. — Stygijczyk wzruszył ramionami. — Nad umysłem Ferdruga łatwo zapanować, ponieważ król jest stary i chorowity. Natknąłem się jednak na przeszkodę.

— Słucham.

— Kiedy król znajduje się pod wpływem mojej woli, mogę bez trudu wydawać mu rozkazy. Będę w stanie zmusić go do oddania ci ręki księżniczki, jednak ona nie wyraża na to ochoty, co nie powinno dziwić, zważywszy na różnicę wieku między wami.

— W takim razie opanuj również jej umysł, jajogłowy głupcze! — warknął Villagro rozdrażniony aluzją do swego wieku.

W martwym spojrzeniu Stygijczyka zapłonęły zimne ognie, które jednak po chwili zgasły.

— Dziś wieczorem podjąłem działania zmierzające w tym kierunku — zamruczał. — Mój duch dotarł do alkierza księżniczki i wniknął w jej sny. Chabela jest młoda, silna i pełna życia. Udało mi się z najwyższym wysiłkiem zapanować nad jej umysłem, lecz gdy mój cień szeptał rozkazy jej śpiącej duszy, czułem, że tracę kontrolę nad umysłem króla. Szybko zerwałem więź z dziewczyną, by przywrócić panowanie nad myślami jej ojca. Księżniczka obudziła się, czując grozę i chociaż nie pamiętała nic z moich podszeptów, bez wątpienia zaczęła coś podejrzewać. Na tym polega mój kłopot: nie mogę równocześnie rozkazywać królowi i księżniczce... — urwał na widok palącego, gniewnego spojrzenia księcia.

— Więc to twoje dzieło, partaczu! — zagrzmiał Vil — lagro.

Na obojętnej twarzy Menkary odmalowały się przez moment zaskoczenie i niepokój.

— Co wasza wysokość ma na myśli? — powiedział gładko. Do jego pytania przyłączył się Zarono. Książę rzucił zduszone przekleństwo.

— Czy to możliwe, że mój szczywany szpieg i wytrawny czarownik nie słyszeli o czymś, od czego trzęsie się pół miasta?! — krzyknął. — Durnie! Żaden z was nie wie, że księżniczka zniknęła z Kordawy? Wszystkie nasze plany idą na marne!

Diuk Villagro starannie obmyślił swój plan. Ferdrugo był wyniszczony chorobą. By zapewnić pokojowe następstwo tronu, jego córka Chabela musiała wkrótce wyjść za mąż. Któż byłby lepszym kandydatem do ręki córki króla niż Villagro, od wielu lat wdowiec, najbogatszy i najpotężniejszy po monarsze człowiek w Zingarze?

Krypta pod wiekowym zamkiem służyła księciu do wprowadzania w życie kolejnych etapów swoich machinacji. Skaptował do ich realizacji korsarza Zarono, wywodzącego się ze szlachty, ale o zbrukany honorze. Jemu właśnie Villagro powierzył zadanie zwerbowania kapłana o giętkim sumieniu, który wpłynąłby na umysł i wolę starzejącego się króla. Przebiegły Zarono wybrał do tego celu Menkarę, kapłana–czarnoksiężnika stygijskiego kultu Seta.

Ucieczka Chabeli pokrzyżowała jednak plany Villagra. Jaki cel miała władza nad umysłem monarchy, skoro zniknęła jego jedyna córka?

Niewzruszony jak skała Menkara zdołał w końcu uspokoić wzburzonego księcia.

— Wasza wysokość, moja skromna wiedza z zakresu nauk tajemnych powinna pozwolić mi odkryć, gdzie w obecnej chwili znajduje się księżniczka — powiedział.

— Zatem zrób to — odrzekł ponuro Villagro.

Na polecenie kapłana Kushyta Gomani przyniósł spiżowy trójnóg i węgiel drzewny. Zwinięto dywan i ustawiono trójnóg na gołej kamiennej posadzce. Stygijczyk wydobył spod szaty sznur z mnóstwem zawieszonych na nim sakiewek. Z jednej z nich wyjął kawałek lśniącej zielonej kredy, którą nakreślił na posadzce skomplikowany wzór, przypominający węża trzymającego ogon w paszczy. Tymczasem Kushyta rozżarzył węgle w misie trójnogu. Kapłan wylał na nie zielony płyn z kryształowej fiołki. Z sykiem, jaki wydaje rozgniewany wąż, komnatę wypełniła ostra, aromatyczna woń. W nieruchomym powietrzu bladezielone pasma dymu zaczęły splatać się w chwiejne spirale.

Kapłan usiadł ze skrzyżowanymi nogami w nakreślonym zieloną kredą kręgu. Po wygaszeniu kandelabrow komnata pograżyła się w upiornym blasku trzech źródeł światła: tłących się czerwono węgli na trójnogu, jarzącego się zielono węzowego koła oraz błyszczących żółto oczu czarnoksiężnika. Stygijczyk zaintonował śpiewnym, wznoszącym się i opadającym głosem:

— Iao, Setesh... Setesh, Iao! Abrathax kuraim mizraeth, Setesh!

Gardłowe, świszczące zgłoski ścichły do monotonnego szeptu. Gdy Stygijczyk zamilkł, w komnacie rozlegał się jedynie powolny rytm jego oddechu. Czarnoksiężnik zapadł w trans.

— Na Mitrę! — jęknął Zaron, lecz kleszczowy uścisk dłoni księcia na jego ramieniu sprawił, że zamilkł.

Kołyszące się sploty dymu utworzyły świetlisty obłok nefrytowej barwy, w którym zaczęły formować się jaśniejsze i ciemniejsze pola. Przed oczami księcia i korsarza, we wnętrzu obłoku pojawił się obraz. Widok przedstawiał niewielki statek żaglowy, płynący szybko pod ciemnymi niebiosami. Na przednim pokładzie stała młoda kobieta. Silny wiatr przyciskał ciężki płaszcz do kształtnego dziewczęcego ciała...

— Chabela! — szepnął Villagro.

Jego głos przerwał zakłęcie. Świetlisty obłok rozpadł się na mnóstwo wirujących pasem. Węgle zgasły z sykiem. Kapłan padł w przód i z trzaskiem uderzył czołem o posadzkę.

— Dokąd płynie Chabela? — spytał Villagro, gdy łyk wina przywrócił kapłanowi świadomość. Stygijczyk zastanowił się.

— Wyczytałem w jej myślach nazwę Asgalun. Czy waszej wysokości znany jest powód, dla którego miałyby tam się udać?

— Rezyduje tam obecnie brat króla, Tovarro — powiedział zamyślony książę. — Jako ambasador włóczy się od jednego shemickiego miasta do drugiego, lecz obecnie przebywa właśnie w Asgalun. Rozumiem! Uciekła do Tovarra, by namówić go do powrotu do Kordawy. Kiedy ten wścibski pyszałek wróci tutaj, bogom jednym wiadomo, co stanie się z naszymi planami. Co w takim razie powinniśmy zrobić, skoro brak ci mocy, by równocześnie opanować myśli króla i księżniczki?

— Za pozwoleniem waszej dostojności? — Zaron wyciągnął dłoń ku srebrnej tacy. Gdy Villagro skinął głową, korsarz poczęstował się owocem. — Mniemam, że powinniśmy zwerbować jeszcze jednego czarnoksiężnika.

— Rozsądna propozycja — rzekł książę. — Kogo poleciłbyś, kapłanie?

Stygijczyk stał chwilę z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu.

— Przełożonego naszego zakonu — powiedział w końcu. — Największego maga, który żyje w tej chwili na tej płaszczyźnie egzystencji, wielkiego Thoth–Amona.

— Gdzie jest ten Thoth–Amon?

— Mieszka w swojej rodzinnej Stygii, w oazie Khajar — odparł Menkara. — Muszę jednakże ostrzec waszą wysokość, że talentów potężnego Thoth–Amona nie można kupić za pospolite złoto — gorzki uśmiech wykrzywił śniade usta kapłana. — Za złoto można kupić tylko maluczkich, jak ja, Thoth–Amon zaś to prawdziwy książę czarów. Temu, który rozkazuje duchom ziemi, niepotrzebne jest ludzkie bogactwo.

— Czym więc można go skusić?

— Sercu Thoth–Amona bliskie jest jedno marzenie — powiedział Menkara. — Setki lat temu w zachodnich królestwach stoczyły walkę kultu przeklętego Mitry i mego boga Seta. Los zrzucił, że moje wyznanie zostało obalone, kult Mitry zaś wyszedł z tych zmagania zwycięsko. Zakazano oddawania czci Wężowi, a mój zakon został skazany na wygnanie. Gdyby wasza wysokość przysiągł, iż zburzy świątynie Mitry, zbuduje w ich miejscu świątynie Seta i wyniesie Starego Węża nad uzurpujących sobie pierwszeństwo bogów Zachodu, ośmielam się twierdzić, że Thoth–Amon wsparłby twoje plany swoją potęgą.

Diuk przygryzł wargę. Bogowie, świątynie i ich kapłani nic dla niego nie znaczyły, o ile tylko regularnie płacili podatki. Wzruszył ramionami.

— Niech tak się stanie — powiedział. — Przysięgnę na wszystkich bogów i demony, które wymieni twój cudotwórca. Co do waszych zadań, są następujące: o świcie ruszacie na morze. Obierzecie kurs na południowy wschód i dogonicie statek, na którego pokładzie znajduje się księżniczka. Porwiecie ją, a statek zatopicie z całą załogą, by nie pozostali żadni świadkowie. Zarono, twój „Petrel” powinien z łatwością dogonić małą „Królową Morza”. Po pojmaniu córki króla ruszycie dalej, do Stygii. Ty, Menkaro, pojedziesz do Thoth–Amona i będziesz służył jako mój ambasador. Kiedy zapewnicie jego wsparcie dla naszej sprawy, wróćcie z nim i księżniczką do Kordawy. Macie jakieś pytania?

ROZDZIAŁ 2 NÓŻ W CIEMNOŚCI

Wschodni horyzont pobladał przed nadejściem świtu. Burza skończyła się. Czarne, poszarpane obłoki przemykały jeszcze po mrocznym nieboskłonie. Przez odstępy między nimi chwilami widać było kilka słabych gwiazd, które ociągając się z zachodem, odbijały się w błotnistych kałużach kordawskich rynsztoków.

Zarono, dowódca korsarskiego okrętu „Petrel” i zausznik księcia Kordawy, przemierzał wilgotne ulice miasta w podłym nastroju. Wymiana ciosów z olbrzymim Cymmerianinem nie poprawiła mu humoru, nie mówiąc o tym, że przepadła mu kolacja. Połajanka Villagra jeszcze bardziej skwasiała młodzieńca i tak już otepiałego od braku snu i potwornie głodnego. Uchylający się przed spadającymi z rynien strugami wody Zarono czuł w ustach gorzki smak hamowanego gniewu. Marzył, by dorwać się do jakiegoś bezbronnego nieszczęśnika, na którym mógłby wyładować swoją wściekłość. Tuż za nim kroczył milczący Menkara.

Niski, żylasty człowieczek, którego nogi wystawały spod postrzępionego skraju połatanego sutanny, starał się nie tracić równowagi na śliskich brukowcach. Szedł szybko, klaszcząc sandałami o mokre kamienie. Jedną dłonią zaciskał na piersi wełniany szal, a w drugiej trzymał płonący kawał nasączonej smołą liny, którym oświetlał sobie drogę. Szeptał pod nosem poranną litanie do Mitry. W tej chwili była to dla niego zbieranina pozbawionych znaczenia słów, ponieważ jego umysł błądził gdzie indziej. I tak Ninus, pośledni kapłan świątyni Mitry, śpieszył przez mokre, wietrzne ulice na spotkanie swojego przeznaczenia.

Ninus zwał się z pryczy przed świtem i uważając, by nie natknąć się na swojego preceptora, wymknął się ze świątyni na pogrążony w mroku zaułek i ruszył w stronę kordawskiego portu na spotkanie z cudzoziemskim korsarzem, Conanem z Cymmerii.

Pospolity niski człowieczek miał kołkowate, chude nogi i kołyszający się brzuch. Nad wielkim nochalem usadowiły się wodniste oczka. Okutany był w szatę pokrytą czerwonymi plamami czegoś, co wyglądało jak zakazane kapłanom wino. Za młodu, nim ujrział światło Mitry, Ninus był jednym z najzręczniejszych w hyboryjskich krajach złodziei. W ten sposób zawarł znajomość z Conanem, bowiem stroniący od świątyń krzepki barbarzyńca również parał się złodziejskim fachem. Połączyła go z Ninusem ugruntowana przez wiele lat przyjaźń.

Chociaż kapłańskie powołanie Ninusa było szczere, nigdy nie udało się mu powściągnąć cielesnych zachcianek, którym tak chętnie folgował za młodu.

Niski kapłan przyciskał do piersi dokument, który Conan obiecał od niego odkupić. Korsarz potrzebował skarbu, a Ninus złota, albo przynajmniej srebra. Mapa od dawna znajdowała się w posiadaniu byłego złodzieja, który często myślał, by udać się po bajeczne bogactwo, którego miejsce ukrycia wskazywała mapa. Wstąpił jednak do stanu kapłańskiego i mało prawdopodobne było, by kiedykolwiek wyruszył na poszukiwanie skarbów. Dlaczego więc nie miałby sprzedać planu?

Myśli Ninusa wypełniały błogie wizje słodkiego wina, soczystych sztuk mięsa i pulchnych dziewczek, na które będzie mógł sobie pozwolić za gotówkę Conana. Dlatego też nie rozglądając się, spiesznie minął zakręt i o mało nie wpadł z rozpędu na dwóch mężczyzn w ciemnych płaszczach. Nieznajomi rozstąpili się. Mamrocząc przeprosiny, niski kapłan obrzucił krótkowzrocznym spojrzeniem chudego mężczyznę, któremu kaptur szaty zsunął się z głowy. Zaskoczenie sprawiło, że Ninus zapomniał o zwykłej przezorności.

— Menkara! — zawołał piskliwie. — Ty tutaj? Ohydny czcicielu węża, jak śmiesz!

Podnosząc ze świętego oburzenia głos, Ninus krzykiem wezwał strażę. Zmełszy przekleństwo, Zarono chwycił swojego towarzysza za łokieć, by go pociągnąć za sobą, lecz Stygijczyk wyrwał się i zwrócił ku Ninusowi gorejące złością oczy.

— Ten kundel mnie zna! — syknął. — Zabij go natychmiast, inaczej wszystko na nic!

Zarono wahał się zaledwie chwilę, po czym wyciągnął sztylet i pchnął. Życie jakiegoś nędznego kapłana nic dla niego nie znaczyło. Liczyło się tylko to, by uniknąć pytań nocnej straży. Szare w mętym świetle świtu stalowe ostrze pograżyło się w szatach mitraisty. Ninus zatoczył się ze zduszonym okrzykiem, stęknął i osunął się na bruk. Strużka krwi pociekła mu z ust. Stygijczyk splunął.

— Tak zginie cały wasz szpetny ród! — syknął. Rozglądając się nerwowo, Zarono spiesznie wytarł ostrze o płaszcz ofiary.

— Znikajmy stąd! — mruknął, jednak Stygijczyk dostrzegł wybrzuszenie szaty Ninusa. Przykucnął i wyciągnął zza poły kapłana Mitry niewielki zwój pergaminu. Rozpostarł go, trzymając oburącz.

— Jakaś mapa — powiedział z zamyśleniem czarnoksiężnik. — Myślę, że uda się mi ją odcyfrować...

— Później, później! — rzucił kategorycznie Zarono. — Śpiesz się, inaczej nas znajdą!

Menkara skinął głową i schował zwój. Obydwaj zniknęli w czerwieniejących mgłach poranka, pozostawiając rozciągniętego na bruku Ninusa.

Za sprawą marnego wina, nie zakończonej bójki z Zaronem i paru godzin nadaremnego wyczekiwania, humor Conana systematycznie się pogarszał.

Niespokojny jak wielki kot z dżungli, krążył po zadymionej głównej izbie tawerny. Jej powała znajdowała się tuż nad jego głową. Chociaż „Pod Dziewięcioma Wyciągniętymi Mieczami” wcześniej było tłoczno, obecnie pozostało tu zaledwie paru klientów, między innymi trzech rozpartych w rogu pijanych żeglarzy. Dwóch z nich śpiewało szanty fałszując okrutnie, trzeci zaś chrapał w najlepsze. Dzięki służącej jako zegar świecy z pierścieniami Conan wiedział, że zbliża się świt. Ninus spóźniał się już kilka godzin. Kapłanowi musiało się coś przytrafić. Jedyne to tłumaczyło jego niestawienie się tam, gdzie czekały pieniądze.

— Sabral! Wychodzę zaczerpnąć świeżego powietrza — mruknął Conan po zingarańsku do krępego oberżysty. — Gdyby ktoś o mnie pytał, niedługo wrócę.

Po deszczu pozostały jedynie ściekające z rynien strużki. Porozrywana powłoka chmur odsuwała się za horyzont. Znów wyrzał srebrny księżyc, rozświetlając końcówkę nocy. Z drugiej strony horyzont rozjaśniał się blaskiem świtu. Z kałuż unosiły się pasemka mgły.

Beknąwszy donośnie, Conan ruszył ociężale po wilgotnym bruku, zamierzając okrzyć dzielnicę, w której stała tawerna. Cymmerianin przeklinał Ninusa pod nosem. Świątoszkowaty moczymorda sprawił, że Conan nie mógł teraz wypłynąć „Szelmą” z kordawskiego portu.

Barbarzyńca stanął nagle w bezruchu. Jego wzrok padł na skuloną, bezkształtną postać w wyświechtanym odzieniu siedzącą w zalanym wodą rynsztoku.

Cymmerianin rozejrzał się bacznie na lewo i prawo, sprawdzając, czy w drzwiach, na dachach lub u wylotów zaułków nie czają się napastnicy. Delikatnie odsunął połę czarnego płaszcza i obluzował w pochwie krótki marynarski miecz. W tej dzielnicy trup nie był niczym niezwykłym. W rozpadających się ruderach po obu stronach krętych zaułków gnieździł się złodziej, najemni mordercy i im podobna ludzka mierzwa. W pobliżu miejsca, gdzie leżała ofiara, mógł czasem czyhać zabójca. Była to jedna z lekcji, której Conan nauczył się już dawno.

Zwalisty Cymmerianin podkraść się pod osłonę cieni do skulonego w rynsztoku człowieka. Przyklęknął i ostrożnie położył go na plecach. W czerwieniejącym świetle wschodzącego słońca błyszczała ciemna krew. Kaptur zsunął się, odsłaniając twarz.

— Na Croma! — mruknął Conan, bowiem miał przed sobą byłego złodzieja, obecnie kapłana, Ninusa z Messancji, na którego czekał tak długo.

Błyskawicznie obmacał kapłana. Mapy, którą Ninus obiecał przynieść na sprzedaż, nie było.

Nie podnosząc się z kuczków, Conan myślał szybko. Jego nieruchome rysy przybrały zacięty wyraz. Komu mogło zależeć na śmierci nic nie znaczącego, podrzędnego kapłana, który w sakiewce miał najwyżej parę miedziaków? Mapa była jedyną wartościową rzeczą, jaką miał przy sobie. Skoro jej nie było, logika nakazywała przypuszczać, że nieszkodliwego Ninusa zasztyletowano, by napastnik mógł wejść w jej posiadanie.

Górny skraj wschodzącego słońca wychynął nad dachami starej Kordawy. Jego promienie odbiły się w gorejących jak dwa wulkany błękitnych oczach Cymmerianina, który zaciskając pięść poprzysiągł, że ktokolwiek dokonał tej zbrodni, zapłaci za nią krwią.

Niosąc w potężnych ramionach drobne ciało kapłana, Cymmerianin wrócił szybko „Pod Dziewięć Wyciągniętych Mieczów”. Wszedłszy bokiem do izby biesiadnej, krzyknął do gospodarza tawerny:

— Sabra! Daj mi pojedynczy pokój i ściągnij medyka, ale szybko!

Gospodarz wiedział, że gdy Cymmerianin mówi takim tonem, niebezpiecznie jest zwlekać. Pośpieszył, by pomóc Conanowi wnieść jego brzemię po rozchwierutanych schodach na pierwsze piętro.

Oczy niedobitków nocnej popijawy z ciekawością podążyły za Cymmerianinem. Mieli przed sobą potężnie zbudowanego, wysokiego mężczyznę, niemalże olbrzyma. Ciemna, poznaczona bliznami twarz pod zniszczoną marynarską czapką była gładko wygolona. Grubo ciosaną, ogorzałą twarz okalała równo przycięta grzywa czarnych włosów. Nad głęboko osadzonymi niebieskimi oczami nawisały czarne krzaczaste brwi. Korsarz niósł kapłana na rękach tak lekko, jak małe dziecko.

W tawernie nie było nikogo z załogi Conana. Cymmerianin upewnił się, że jego żeglarze odwiedzają inne gospody, nim umówił się tu z Ninusem, ponieważ nie chciał, by wśród piratów zbyt wcześnie rozniosła się wieść o mapie z zaznaczonym miejscem ukrycia skarbu.

Sabrał zaprowadził Conana do pokoju zarezerwowanego dla lepszej klienteli. Cymmerianin nachylił się, by złożyć Ninusa na łóżku, jednak znieruchomiał, gdy Sabrał wyrwał spod kapłana prześcieradło.

— Nie życzę sobie krwi na mojej najlepszej pościeli! — obruszył się.

— Do czorta z twoją pościelą! — warknął Conan kładąc Ninusa. Obejrzał kapłana, podczas gdy Sabral składał prześcieradło. Niegdysiejszy złodziej oddychał płytko, dawał się wyczuć słaby puls. — Przynajmniej żyje! — westchnął Conan. — Rusz się, człowieku, i sprowadź tu jakiegoś konowała! Nie stój jak kołek!

Gospodarz tawerny zniknął bez słowa. Conan rozebrał Ninusa i prowizorycznie opatrzył broczącą ranę piersi.

Sabrał wrócił z ziewającym medykiem w nocnej koszuli i wymykającymi się spod szlafmycy pasemkami siwych włosów.

— Doktor Cratos — przedstawił go oberżysta. Medyk rozsypał bandaż, oczyścił ranę i założył nowy, czysty opatrunek.

— Na szczęście ostrze minęło serce i wielkie naczynia krwionośne. Zawadziło ledwie o płuco — stwierdził. — Przeżyje przy dobrej opiece. Zapłacisz za moją wizytę, kapitanie?

Conan potwierdził mruknięciem. Kilka łyków wina sprawiło, że Ninus częściowo odzyskał mowę. Głosem ledwie głośniejszym od szeptu opowiedział, co się wydarzyło:

— Wpadłem... na dwóch ludzi... na ulicy. Jeden... Men — kara, kapłan Seta. Poznałem... krzyknąłem... Kazał... drugiemu... zabić mnie.

— Kim był ten drugi?

— Nie widziałem dobrze... miał płaszcz i szeroki kapelusz... Zda się... Zarono.

Conan zmarszczył brew. Zarono! Ten sam szyderca, z którym pokłócił się kilka godzin wcześniej. Czyżby Zarono dowiedział się o jego spotkaniu z Ninusem i napadł na kapłana, by odebrać mu mapę? Wszystko wskazywało na przebiegły spisek, zmierzający do pozbawienia Conana skarbu. Cymmerianin wyprostował się z twarzą pobladłą z gniewu.

— Masz! — mruknął, wciskając w dłoń Cratosa garść wygrzebanych z sakiewki monet. Drugą garść sypnął Sabralowi. — Macie zadbać, by miał dobrą opiekę i szybko wyzdrowiał! — powiedział. — Co do reszty zapłaty, pogadamy o tym, kiedy wrócę. Biada wam, jeśli nie dolożycie należytych starań. Jeśli Ninus umrze, pochowajcie go jak należy. Żegnaj!

Cicho jak duch wydostał się na korytarz i zbiegł po schodach. Pchnięciem otworzył frontowe drzwi tawerny „Pod Dziewięciona Wyciągniętymi Mieczami” i ruszył spiesznym krokiem w stronę portu. Ciężki czarny płaszcz obijał się o cholewy jego wysokich butów.

Gdy wschodzące słońce pozłociło maszty i reje, nabrzeże zaroilo się od gorączkowo pracujących ludzi. Marynarze wspinali się i zlazili po olinowaniu, oficerowie wykrzykiwali rozkazy przez tuby, skrzypiały portowe żurawie, napędzane mięśniami robotników trzających się przy kołowrotach i kabestanach.

Conan dotarł szybko do portu. W odpowiedzi na jego zwięzłe pytanie kapitan straży portowej powiadomił go, że „Petrel” Zarony wypłynął ponad godzinę temu i zniknął już za cyplem, ograniczającym port od południa. Conan wymamrotał spieszne podziękowanie, zawrócił na pięcie i wkroczył po trapie na pokład swojej karaki „Szelmy”.

— Zeltran! — zagrzmał.

— Tak, kapitanie? — odrzekł bosman, nadzorujący rozmieszczenie zapasów w ładowni. Był to niski, krępy Zingaranczyk z sumiastym wąsem. Mimo otyłości poruszał się zgrabnie jak kot.

— Zarządź zbiórkę tych obiboków! — polecił Conan. — Odbijamy najszybciej, jak to możliwe!

Po chwili na śródkręciu zebrała się cała korsarska załoga. Większość stanowili śniadzi Zingaranczyki, ale było też kilku przedstawicieli innych narodowości. Brakowało trzech żeglarzy. Goniec portowy popędził wyciągnąć ich z knajp, w których zamieszali. Pozostali członkowie załogi, podcięci jak batem przemową Conana, przystąpili do śpieszniejszego niż do tej pory załadowywania statku.

Trójka brakujących marynarzy wróciła wreszcie biegiem. Załadowano ostatnie zapasy. Rzucono cumy. Ośmiu marynarzy harowało przy wiosłach szalupy, by wyholować „Szelmę” na otwarte wody. Gdy pierwszy powiew oceanicznej bryzy poruszył żagle, łódź wciągnięto z powrotem na pokład. Za moment wiatr wydał żagle karaki, a drobna fala wokół dziobu zmieniła się w białe, spienione odkosy. „Szelma” kołysał się rytmicznie. Pisk kołujących mew mieszał się z chlupotem wody, skrzypieniem rei i westchnieniami wiatru w takielunku. Conan oparty o burtę spoglądał zamyślnym wzrokiem ku odległemu widnokręgowi. Nakazawszy obranie zaleconego przez Cymmerianina kursu i ustaliwszy wachty, Zeltran stanął obok dowódcy.

— Cóż, kapitanie — rzekł. — Dokąd zmierzamy tym razem?

— Znasz „Petrela” Czarnego Zaronu? — spytał Conan.

— Tę wielką balię, która wypłynęła godzinę przed nami? Owszem, znam. Powiadają, że Zaronu to dobry żeglarz, ale też łotr o czarnym sercu. Ma krewnych wśród pomniejszej szlachty, jednak wyrzekli się go, ponieważ popełnił ponoć coś, czego nie mogli znieść ci wysoko urodzeni nicponie. Właśnie po tym został korsarzem. Pokłóciłeś się ze szlachetnie urodzonym Zaronem, kapitanie? Radziłbym ci zastanowić się przed wejściem w paradę temu szubienicznikowi.

— Zatrzymaj dla siebie to, co ci powiem. — Conan opowiedział pokrótce o Ninusie, mapie i ingerencji Zaronu. — Jeśli dorwę go na otwartym morzu, dam mu posmakować uczciwej stali za to, co zrobił. „Petrel” jest większy, ale „Szelma” ma zgrabniejszą linię i może ostrzej płynąć pod wiatr.

— Och, na pewno go dogonimy — odparł Zeltran, podkreślając z zapalem wąsa. — Nie wątpię też, że zdołam usieć sześciu czy siedmiu obwiesiów Zaronu, ale czy nie byłoby rozsądniej, kapitanie, trzymać się go niepostrzeżenie, by sam doprowadził nas do skarbu?

Conan uśmiechnął się i poklepał niższego bosmana po plecach.

— Na Croma i Mannanana, zasługujesz na swoją zapłatę, kurdupu! — popatrzył na grupkę żeglarzy, którzy przytrzymując się rei, stali na linie brzeżnej topsła czekając na polecenie postawienia żagla.

— Zostawcie to, obiboki! — zagrzmiął. — Wracajcie na pokład! — zwrócił się do Zeltrana: — Nie postawimy topsła, bo Zaronu dostrzegłby nas. Możemy płynąć pod wiosłami równie szybko, jak on pod żaglami. Mówiłeś mi, że jeden z chłopaków ma orli wzrok?

— Riego z Jeridy.

— Właśnie. Niech włazi na bocianie gniazdo i mówi, co widzi.

Po chwili młody Zingarańczyk znalazł się w koszu na szczycie głównego masztu. Utkwiwszy spojrzenie w południowo-wschodnim horyzoncie, zawołał:

— Karaka na wprost przed dziobem, kapitanie! Widzę jej topsel, a kiedy unosi ją fala, także czarny pokład!

— To „Petrel” — stwierdził Conan. — Trzymaj kurs, sterniku. — Odwrócił się do gładzącego sumiasty wąs Zeltrana. — Za dnia będziemy trzymać się z tyłu, a w nocy podpływać tak, żeby było widać jego światła. Jeśli dopisze nam szczęście, nie zostaniemy wypatrzni!

Uśmiechnął się hardo. W jego oczach zabłysło zadowolenie, odetchnął pełną piersią, czując przyływ radości. To było życie: dobry pokład pod nogami, pół setki krzepkich obwiesiów pod komendą, morze do żeglowania, nieprzyjaciel do pokonania i szykująca się nieokiełznana, szaleńcza, wspaniała przygoda!

Oślepiające słońce dźwigało się coraz wyżej na lazurowe niebo. Z wody wyskakiwały delfiny i pogrążały się z powrotem w turkusowych falach. Pod wszystkimi żaglami z wyjątkiem zdradzieckiego topsła „Szelma” płynął śladem „Petrela” na południowy wschód, zostawiając za sobą spieniony kilwater.

ROZDZIAŁ 3 ZAGŁADA „KRÓLOWEJ MORZA”

Karawela „Królowa Morza”, luksusowy królewski statek, przepłynęła między zingarańskim wybrzeżem i Wyspami Barachańskimi. Archipelag był osławioną siedzibą piratów, w większości argosańskiego pochodzenia, lecz statek księżniczki nie natknął się na łupieżców przeczesujących wody Zachodniego Oceanu. Karawela minęła następnie granicę między Zingarą i Argos.

Kiedy argosańskie wybrzeże zniknęło za wschodnim horyzontem, stosownie do polecenia księżniczki kapitan Kapellez obrał kurs na lewą burzę, tak aby ład było widać jedynie z orlego gniazda.

Powody takiego postępowania były dwojakie. Po pierwsze, chciano jak najszybciej dopłynąć do Asgalun. Po drugie, miało to zmniejszyć ryzyko napaści przybrzeżnych argosańskich piratów.

Mimo to od ranka widać było za rufą dużą czarną karakę. Wczesnym popołudniem zbliżyła się do „Królowej Morza” na tyle, że żeglarz o najbystrzejszym wzroku zdołał rozpoznać jej banderę.

— Nie ma się czego obawiać, pani — stwierdził kapitan Kapellez. — To okręt korsarski w służbie twojego ojca. Sądzę, że to „Petrel”, dowodzony przez kapitana Zaronę.

Mimo to Chabela była niespokojna. W powolnym zbliżaniu się masywnego czarnego statku było coś złowróżbnego. Oczywiście, korsarski okręt mógł znaleźć się na tym samym kursie co oni zupełnie przypadkowo.

O niepokój przypawiło ją również imię Zaronę. Chabeli znany był on wyłącznie z widzenia, z dworskich uroczystości, lecz wiedziała, że o korsarzu krążą złowieszcze plotki. Jedną z jej przyjaciółek, dworkę Estrellada, zdradziła Chabeli, że Zaronę jest ponoć oczarowany wdziękami księżniczki. Chabela jednak nie przykładała do tego wagi, ponieważ w jej przekonaniu kręcący się po królewskich dworach pieczeniarze z reguły tracili głowę dla księżniczek. Zawsze można było ludzić się, że przy pewnej dozie szczęścia uda się wżenić w królewski ród...

Tym razem podejrzenia Chabeli ożyły na nowo. Minęły trzy dni od opuszczenia Kordawy. Do tej pory fakt zniknięcia księżniczki niewątpliwie stał się powszechnie znany. Prawdę mówiąc, Chabela była pewna, że na dworze zapanowało duże zamieszanie. Nieobecność królewskiego statku na przystani zapewne zdradziła sposób jej ucieczki. Ponieważ trudno było przypuszczać, że udała się na północ, ku wybrzeżom Kraju Piktów, czy na zachód, na nie zbadane przestwory bezkresnego oceanu, było oczywiste, że skierowała się na południowy wschód, wzdłuż wybrzeża głównego kontynentu. Znajdowało się tam Argos, miasta-państwa Szemu, złowieszcza Stygia, a jeszcze dalej Czarne Królestwa.

Księżniczka miała nadzieję, że zamieszanie wywołane jej zniknięciem okaże się wystarczająco ambarasujące, by wyrwać króla Ferdruga z ogarniającego go letargu. Być może właśnie on wysłał Zaronę z misją sprowadzenia córki z powrotem na łono rodziny.

Chabela podziękowała kapitanowi i odwróciła się do niego plecami. Kilkakrotnie przemierzyła niespokojnie pokład, po czym oparła się łokciami o nadburcie, pokryte rzeźbami przedstawiającymi wyskakujące z wody delfiny i dzierżących trójzęby wodników. Jak zahipnotyzowana utkwiała wzrok w doganiającym ich okręcie.

„Petrel” był coraz bliżej. Jego dziób rozbijał wysokie fale. W tym tempie za pół godziny okrąży „Królową Morza” po nawietrznej, kradnąc jej wiatr z żagli i zmuszając mniejszy statek do zatrzymania się.

Chabela nie była ignorantką w kwestiach żeglarstwa i walki na morzu. W odróżnieniu od jej gardzącego pływaniami ojca, którego stopa nigdy nie stała na pokładzie „Królowej Morza”, księżniczka od dziecka była pupilką marynarzy. Dopiero od paru lat, gdy z dziewczątka

zamieniła się w kobietę, rozkazy ojca zabroniły jej wdziwania marynarskiego stroju i wspinania się z żeglarzami po olinowaniu.

Księżniczka nakazała sobie spokój. Manewry karaki jak do tej pory nie były wrogie czy groźne. Zingarański korsarz musiałby oszaleć, by zaatakować osobisty statek króla Zingary.

Na zalany słonecznym blaskiem pokład padł cień. Co dziwne, cień ten miał ciemnozieloną barwę. Uniósłszy głowę, Chabela nie dostrzegła nic, co mogłoby stanowić źródło tajemniczego mroku, który spowił „Królową Morza”. Ani chmury, ani żadnego latającego stwora. Okrywający karawelę szmaragdowy całun przypominał gęstą, nieuchwytną mgłę. Poblądle twarze i szeroko otwarte oczy członków załogi świadczyły, że oni również nie znają przyczyny tego zjawiska.

Wtedy zaczął się koszmar. Pasma zielonego cienia owinęły się wokół najbliższego marynarza, którzy wrzasnął ze zgrozy, jakby znalazł się w uścisku giętkich macek krakena — potwora z morskich głębin. Dziewczyni udało się jeszcze dojrzeć zamarłą w bezbrzeżnej rozpacz, zbiełała twarz wymachującego ramionami marynarza. Po chwili żeglarz zeszywniał jak posąg. Jego skóra, a nawet ubranie nabrały zielonego odcienia, co nadało mu wygląd jak nefrytovej rzeźby.

Chabela wykrzyknęła imię Mitry. Cały statek wypełnił się krzyczącymi mężczyznami, walczącymi szaleńczo — i bezskutecznie — z czołgającymi się po pokładzie pasmami szmaragdowej mgły, które przemieniały ich w nieruchome zielone posągi.

Chwilę później zielone macki otoczyły również księżniczkę. Przy dotknięciu niematerialnego dymu ciało księżniczki przeszył dreszcz przerażenia, potem ogarnął ją lodowaty paraliż. Szmaragdowe pasma przeniknęły przez skórę Chabeli i jej umysł ogarnęła zimna ciemność.

Na nadbudówce „Petrela” Zaron z podziwem i lękiem obserwował rzucającego czar stygijskiego czarnoksiężnika. Nieruchomy jak mumia Menkara przykucnął przed szarym kryształem, zawieszonym nad bardzo starym ołtarzykiem z czarnego drewna. Ołtarz pokrywały w półzatarłe miniatury, przedstawiające nagich ludzi, uciekających w panice przed kolosalnym wężem. Wykonane z opali ślepia węża już dawno zmętniały.

W odpowiedzi na zaklęcia Menkary, kryształ zaśnił niesamowitym blaskiem. Wokół ołtarzyka rozbłysł nimb pulsującego szmaragdowego światła, w którym śniade rysy maga wyglądały jeszcze bardziej trupio niż przedtem.

Gdy zielone światło nabrało odpowiedniej mocy, Stygijczyk zasłonił sobie twarz czarnym zwierciadłem, okolonym wieńcem splecionych potworów. Zaron przyglądał się z narastającym lękiem, jak szmaragdowa poświata skupia się na powierzchni zwierciadła i odbita, kieruje się w stronę pokładu oddalonej „Królowej Morza”. Łącząca obydwie statki biała zielona wiązka była wyraźnie widoczna mimo światła słońca. Na karaweli zaczęło dziać się coś, czego Zaron nie widział dokładnie z powodu oddalenia.

Gdy po utracie kontroli nad sterem „Królowa Morza” ustawiła się burtą do wiatru, karaka Zaroną podpłynęła do niej. Stygijczyk ocknął się z transu i wyczerpany, oparł o nadburcie. Jego ciemne rysy nabrały barwy brudnej pościeli, a czoło pokrył zimny pot.

— Skończyłem — westchnął Menkara. — Ten czar wyczerpuje ludzkie siły, lecz to pospolite zaklęcie, przed którym łatwo się ochronić... Na szczęście ci prostaczkowie nie znajdują się na magii. Możecie wejść na pokład karaweli; załoga będzie bezbronna jeszcze przez godzinę.

— Nie żyją?

— Nie, zostali uśpieni. Pomóż mi zejść do kajuty. Zaron wsparł ramieniem osłabionego czarnoksiężnika i odprowadził potykającego się Stygijczyka. Za nimi bosman niósł ołtarz z kryształowym stożkiem.

Zamknawszy drzwi za wyczerpanym kapłanem, Zarono koronkową chusteczką otarł pot z czoła. Nie miał nic przeciwko magii, lecz była to potężna, napawająca lekkiem broń. Czarny Zarono przedkładał nad nią szcęk kordów, świst strzał i bełtów, łoskot pocisków katapult i łomot spiżowego taranu o burtę wrogiego statku. Zingarańczyk popełnił w ciągu swojej kariery niejedno łotrństwo, jednak były to zwykłe, ludzkie grzechy, a nie paranie się ciemnymi mocami z nieziemskich płaszczyzn egzystencji.

— Ernando! — krzyknął do kuka. — Przynieś dzban wina, najmocniejszego, jakie mamy w ładowni!

Wkrótce dokonano abordażu „Królowej Morza” i przeniesiono nieruchome ciało księżniczki na „Petrela”. Część korsarzy zajęła się układaniem wokół osad masztów zdobytego statku stert łatwopalnych materiałów i nasączaniem ich olejem. Potem wszyscy wrócili na pokład karaki. Odbito od burty karaweli, odpychając się bosakami i tykami.

Gdy statki znalazły się w bezpiecznej odległości, kilku łuczników wypuściło w stronę „Królowej Morza” zapalone strzały. Żagle zapłonęły z hukiem, siejąc na wszystkie strony dymiącymi kawałami płótna. Płomienie ogarnęły cały statek wraz z żywymi, zamartwymi w bezruchu członkami załogi.

„Petrel” podniósł żagle i skręcił dostojnie w stronę wybrzeża Shem, pozostawiając za sobą płonący wrak.

Conan przyglądający się grzybowi dymu, znaczącemu zagładę „Królowej Morza”, wezwał pod nosem imię swojego posepnego, cymmeriańskiego boga Croma. Niewidoczny z pokładu „Petrela” „Szelma” znajdował się na północny zachód od niego. Gdyby któryś z członków załogi Zarona pofatygował się wejść na bocianie gniazdo, dojrzałby szczyty masztów unoszonej toczącymi się falami karaki Conana.

Cymmerianin obserwował z bocianiego gniazda cały atak na królewski statek i nie mógł pojąć, dlaczego Zarono zatopił okręt swego pana. Conan doszedł do wniosku, że musiało chodzić tu o coś więcej niż kradzież mapy oraz wyprawę po bajeczny skarb i przestał się nad tym zastanawiać. Potężny barbarzyńca już dawno nauczył się, że lepiej odkładać pytania bez odpowiedzi do chwili, gdy nowe wiadomości rozjaśnią tajemnicę, niż zamartwiać się daremnie.

Pomyślał, że kimkolwiek były ofiary Zarona, pomści je przy okazji wyrównania rachunków z zingarańskim korsarzem. Liczył na to, że już wkrótce nadarzy mu się okazja.

ROZDZIAŁ 4

BEZIMIENNA „WYSPA

Zmierzch zamienił niebiosą w pełne splendoru, bajecznie kolorowe sklepienie. Czarny dziób posuwającego się rażno na południowy zachód, gnanego zachodnim wiatrem „Petrela” wyrzucał śnieżnobiałe odkosy nad ciemne fale pokryte szmaragdowymi odbłaskami. Daleko z tyłu, nie zauważony przez nikogo, podążał za nim „Szelma” Conana.

W kapitańskiej kajucie, rozparty w wielkim fotelu, Zarono dumiał nad srebrnym kielichem wykładanym szmaragdami. Obitą boazerią kabinę wypełniał bukiet mocnego shemickiego wina. Kołyszące się, zawieszane na łańcuchach lampy rzuciły chybottliwe światło na przypięte między wręgami ścian splekane pergaminy oraz miecze i sztylety z ozdobionymi klejnotami rękojściemi.

Ziemiste rysy Zarona miały posepny wyraz; spojrzenie jego czarnych oczu było nieobecne, a gęste czarne włosy splekane. Korsarz miał na sobie luźną koszulę z brudnego jedwabiu, ozdobioną koronkowymi mankietami. Był bardzo pijany.

Gdy rozległo się ciche stukanie do drzwi, Zarono wymamrotał przekleństwo, po czym niechętnie rzucił zaproszenie. Do środka wszedł Menkara, trzymający w dłoni zwiniętą mapę.

Szczupły Stygijczyk obrzucił wyciągniętego w fotelu Zaroną spojrzeniem pełnym świętoszkowatej dezaprobaty.

— Znowu czary? — prychnął Zaron i czknął. — Nie możesz dać normalnemu człowiekowi nacieszyć się winem, nie podtykając mu pod nos swojej szpetnej gęby? Mów, po co przyszedłeś!

Ignorując pokaz pijackiej swarliwości, Menkara rozwinął mapę na stoliku przed Zaronem i wskazał kościstym palcem zdobiące ją rzędy liter.

— Zastanawiałem się nad mapą kapłana Mitry od chwili, kiedy mu ją odebraliśmy — powiedział Stygijczyk. W jego zazwyczaj monotonnym głosie brzmiała obecnie niezwykle napięcie. — Mapa przedstawia bez wątpienia wybrzeża Stygii. Chociaż nie znam tego języka, stwierdziłem, że niektóre słowa są mi znajome. Odczytywałem je, podczas gdy ty jak prostak żłopałeś wino...

Zarono zarumienił się i zaczął wstawać, opuszczając dłoń ku głowicy miecza, lecz Menkara powstrzymał go uniesieniem ręki.

— Poskrom swoją porywczość, kapitanie. To sprawa wyjątkowej wagi. Słuchaj, w czasie swojego nowicjatu studiowałem rozmaite języki, stąd wiem, że starożytny waluzjański, podobnie jak języki starożytnej Stygii i Archeonu, zapisywano pismem alfabetycznym, w którym każdy znak przedstawia określoną głoskę. Ponieważ część mapy przedstawia krainy znane nam jako Shem i Stygia, z miastami Asgalun i Khemi, zdołałem wydedukować, co znaczą niektóre litery, pojawiające się w napisach przy tych miejscach. Inne inskrypcje dotyczą o wiele starszych, zniszczonych grodów, jak Kamula i Python...

Brzmienie tych przeklętych przez bogów nazw sprawiło, że pogrążony w pijackim oszołomieniu Zaron natychmiast otrzeźwiał. Zmarszczywszy brwi, nachylił się, by lepiej słyszeć kapłana, który kontynuował:

— Tak więc, rozpoznawszy symbole, oznaczające znane miejsca i pomagając sobie znajomością pradawnych języków, zdołałem w końcu zrozumieć treść inskrypcji, dotyczącej tej oto wyspy, której nie widziałem jeszcze na żadnej mapie.

Zmarszczywszy czoło, Zaron utkwił wzrok w plamce na mapie, przy której wsparł się chudy palec wskazujący Menkary.

— Ja również nie znam tej wyspy, kapitanie. Mów, proszę.

— Treść inskrypcji z nazwą wyspy brzmi mniej więcej: siojina-kisua. Wydaje się, że pierwsze słowo pochodzi z języka stygijskiego lub pokrewnego. Określenie siojina z najstarszej postaci stygijskiego można przetłumaczyć jako „nie mająca imienia”.

Czarne, ale trzeźwe oczy Zaroną zaślniły.

— Bezimienna Wyspa — wyszeptał.

— Tak! — syknął Menkara. W jego gadzim spojrzeniu malowało się zimne zadowolenie. — Możemy być pewni, że kisua znaczy „wyspa”, ponieważ to samo słowo występuje przy kilku innych przedstawionych na mapie wyspach — przesunął palcem po kilku plamkach na pergaminie. — Zakładam, że w czasie uprawiania korsarskiego rzemiosła poznałeś legendy, dotyczące nawiedzanej przez demony Bezimiennej Wyspy. Ponoć jest to pozostałość pradawnej Waluzji, gdzie przetrwała rozpadająca się ruina, świadcząca o potędze przedludzkiej, wężowej rasy.

— Wiem tylko, że starzy żeglarze opowiadają o wyspie bez nazwy, na której znajduje się największy skarb, jaki kiedykolwiek zgromadzono w jednym miejscu — powiedział Zaron.

— To prawda — odparł Menkara. — Jest jednak coś, o czym być może nie wiesz. Prócz marnego złota i klejnotów znajduje się tam, jak powiadają, wielki magiczny skarb; pierwotny rękopis Księgi Skelos.

— Nie zależy mi na piekielnych zaklęciach, ale zwyczajnym złocie!

— Tak, ale zastanów się. — Menkara uśmiechnął się słabo. — Zależy nam na przekonaniu najpotężniejszego czarnoksiężnika świata, by pomógł naszemu panu zdobyć tron Zingary.

Thoth–Amon będzie zadowolony, jeśli przyrzeczymy, iż kult Mitry zostanie obalony, a Set przywrócony do dawnej świetności, jednak gdybyśmy złożyli mu dar w postaci tak wspaniałego magicznego skarbu, jakim jest Księga Skelos, tym pewniej zaskarбилиbyśmy sobie jego wdzięczność i poparcie. To zbrodnia przeciw uświęconej wiedzy tajemnej, że tak wybitny tom mądrości starożytnych marnuje się bezużytecznie. Sądzi się, że istnieją tylko trzy egzemplarze księgi. Jeden znajduje się w krypcie pod królewską biblioteką w Aquilonii, drugi w sekretnej świątyni w Vendhii. Trzeci jest właśnie tu. — Stygijczyk stuknął paznokciem w mapę.

— Skoro ta diabelska księga jest tak cenna, dlaczego nikt nie zabrał jej z Bezimiennej Wyspy? — zapytał Zaron.

— Ponieważ, zanim ujrzałem tę mapę, ani ja, ani żaden inny poszukiwacz wyższych prawd nie znał dokładnego położenia Bezimiennej Wyspy. Jak widzisz, znajduje się ona daleko od Czarnego Wybrzeża i znanych nam wysp. W promieniu stu mil nie ma żadnego lądu ani ruchliwych szlaków żeglugowych. Szukający jej na oślep żeglarz mogły do końca życia krążyć po morzu i nic nie znaleźć. Co więcej, jak wiesz, marynarze są przesądni. Ich wyobraźnia zaludniła południowe morza śmiercionośnymi rafami i pożerającymi ludzi potworami.

— Nawet przy sprzyjającym wietrze dotarcie do wyspy zajmie nam kilka dni — powiedział z zamyśleniem Zaron, wsparłszy na pięści podbródek.

— Jakie to ma znaczenie? Dziewczyna jest w naszych rękach. Możemy pozwolić sobie na kilka dni zwłoki. Mając taki argument, jak Księga Skelos, zyskujemy pewność, że uda się nam zdobyć pomoc Thoth–Amona. Nie sądzę również, byś pozostał nieczuły na urok złota.

W zazwyczaj pozbawionym wyrazu spojrzeniu Menkary płonął teraz ogień fanatyzmu. Zaron potarł szczękę. Magia nie obchodziła go wcale, jednak dołożenie wszelkich starań, by zapewnić wsparcie księcia czarnoksiężników dla spisku Villagra, wydawało się sensownym postępowaniem, jeśliby zaś Zaronowi udało się przywłaszczyć skarb Bezimiennej Wyspy, zyskałby nie tylko bogactwo, lecz również rangę, przywileje i szacunek, będące niegdyś udziałem jego rodu. W ciemnych oczach korsarza błysnęło zdecydowanie. Zerwał się na równe nogi i otworzywszy drzwi kajuty, krzyknął:

— Vancho!

— Tak, kapitanie? — spytał bosman.

— Obierz kurs na południe, aż Gwiazda Polarna znajdzie się rumb nad horyzontem!

— Zawracamy na otwarte morze, kapitanie? — zapytał z niedowierzaniem Vancho.

— Powiedziałem wyraźnie, przeklęty obiboku! Prosto na południe!

Zaszczekały kołowroty, zaczęły trzaskać liny. Reje „Petrela” zwrócono, by żagle chwyciły wiatr prosto od rufy. Pod rozgwieżdżonym niebem karaka zmieniła kurs.

Menkara wrócił do swojej kajuty, by nadal studiować mapę. Gorzał żądzą odzyskania dawnej, ponurej wiedzy. Posługując się Księgą Skelos Thoth–Amon stałby się wszechpotężny. Sprawienie, by wkrótce potem Villagro zyskał tron, byłoby dla niego błahostką. Wielki stygijski czarnoksiężnik mógłby stworzyć imperium obejmujące cały świat. Kiedy synowie Seta odzyskają panowanie nad całą Ziemią, któż nie pokłoni się kapłanowi Menkarze, dzięki któremu to wszystko stało się możliwe?

Conan ze zdumieniem przyglądał się światłom „Petrela”, skręcającym z kursu południowo-wschodniego prosto na południe. Nie miał pojęcia o obecności Chabeli na jego pokładzie, spisku Villagra ani o ambicjach Menkary. Wiedział tylko, a przynajmniej tak mu się wydawało, że Zaron odebrał mapę Ninusowi i zmierzał w stronę Bezimiennej Wyspy po skarb.

Olbrzymi Cymmerianin zręcznie jak małpa zlął z orlego gniazda.

— Zeltran!

— Tak, kapitanie?

— Sześć rumbów na sterburtę! Postawić pełne żagle, ster prawo na burt! Trzymać się świateł „Petrela”!

— Tak jest, kapitanie!

Conan w milczeniu przyglądał się z nadbudówki, jak „Szelma” obiera nowy kurs na nieznane wody. Po porzuceniu widocznego w dali brzegu kontynentu jedynym sposobem nawigacji pozostawało obserwowanie pozycji Gwiazdy Polarnej, która w bezchmurne noce pozwalała określić, jak daleko przemieszczono się na północ lub południe. Jednak Zarono wiedział lepiej, dokąd się kieruje. Gdyby „Szelma” zgubił go na bezkresnej wodnej równinie, byłby skazany na zagładę.

Z wiadomości Conana wynikało, że migocząca w ciemnościach wodna gładź ciągnie się bez przerwy po kres świata. Nie domyślał się nawet, co leży poza nią. Stare legendy wspominały o bajecznych wyspach, obcych kontynentach i niesamowitych potworach.

Legendy mogły głosić prawdę. Nie dalej jak rok temu na pokładzie tego samego „Szelmy” Conan dotarł z jego poprzednim kapitanem, melancholijnym Zaporavo, do nieznanej wyspy na zachodzie, gdzie dopełniło się przeznaczenie kapitana i kilku innych członków zingarańskiej załogi. W czasie pełnego przygód życia Cymmerianina jedynie parę rzeczy okazało się bardziej niesamowitych niż Staw Czarnej Istoty i jego nieludscy mieszkańcy. Niewykluczone, że tym razem kierował się ku jeszcze większemu niebezpieczeństwu.

Conan wciągnął głęboko powietrze i zaśmiał się serdecznie. Na Croma! Człowiek może umrzeć tylko raz, więc jaki sens ma biadanie nad wymaginanymi niebezpieczeństwami? Nie lękał się stawić czoło swemu przeznaczeniu na Bezimiennej Wyspie gdzieś het, na krańcu świata.

ROZDZIAŁ 5 NA KRAŃCU ŚWIATA

Przez całą noc dwie karaki pokonywały ciepłe fale południowych wód. Z nadejściem świtu na „Szelmie” opuszczono żagle, jak czyniono to od pięciu dni, by w świetle wstającego słońca nie dostrzeżono ich z „Petrela”. Ostry kil karaki Conana miarowo przecinał nie kończące się zielono — niebieskie wodne pagórki. Latające ryby wyskakiwały przed dziobem, chwilę unosiły się w powietrzu i z powrotem pogrążały w morzu.

Po pewnym czasie na bezchmurnym do tej pory niebie pojawiło się stado obłoków. „Petrel” wystrzył kurs na sterburtę i po paru godzinach zza linii horyzontu wyłoniła się wyspa, nad którą wisały chmury.

Zarono przyglądał się uważnie nieznanej wyspie. Wyglądała całkiem nieszkodliwie, za płowymi piaskami plaży widać było wysokie, szczupłe palmy o szmaragdowym listowiu. Nikt jednak nie wiedział, co może kryć się za palisadą drzew.

Do Zarona dołączył Menkara w narzuconym na chude ramiona czarnym płaszczu.

— To Bezimienna Wyspa — powiedział martwym głosem.

— Istotnie, kapłanie, istotnie! — zęby Zarona zabłysły w ziemistym obliczu. — Powiedz mi co nieco o tym skarbie: jak jest strzeżony? Przez duchy, demony, czy tylko przez parę smoków? Tuszę, że zdołasz powstrzymać je swoimi nadnaturalnymi mocami, podczas gdy my będziemy plądrować grobowce, krypty, czy cokolwiek się tam znajduje. Vancho! Wprowadź „Petrela” w tę zatokę, o ile okaże się wystarczającą głęboka...

Pół godziny później Zarono rozkazał:

— Rzucić kotwicę! Opuścić wszystkie żagle! Vancho, spuść pierwszą szalupę. Wybierz ludzi do lądowania, samych dobrze uzbrojonych chwatów!

Po spuszczeniu szalupy zeszło do niej dwunastu szczękających bronią Zingarańczyków i rozlokowało się na ławkach wiosłarzy. Odbili od burty „Petrela” i po dotarciu do plaży, z rozpędu zaryli się dziobem w piasek. Brodząc w płytkiej wodzie, żeglarze wpełnęli łódź jeszcze dalej. Na komendę bosmana, podejrzliwie przypatrując się drzewom, ustawili się w szereg z wyciągniętymi mieczami i z palcami na spustach kusz. Niebawem cała grupka zniknęła za palmami. Wrócili wkrótce i dali znać, że wszystko w porządku.

— Spuścić drugą szalupę! — polecił Zaron. Wsiedli do niej kapitan, Menkara i ośmiu marynarzy. Vancho pozostał na pokładzie „Petrela”.

Druga szalupa dotarła bez kłopotów na brzeg. Zaron zarządził zbiórkę. Po chwili Menkara i większość żeglarzy ruszyli w stronę palm. Pozostawiono trzech korsarzy, by strzegli szalup: smagłego Szemite o haczykowatym nosie, giganta rodem z Kush oraz łysego Zingarańczyka o rumianej twarzy.

Conan obserwował to wszystko z żywym zainteresowaniem ze szczytu głównego masztu „Szelmę”. Jego okręt dryfował tuż za horyzontem ze spuszczonego przednim żaglem, podrzucany niespokojnie przez długie oceaniczne fale.

Oddziałek Zaron wyrąbał sobie drogę przez gęstą tropikalną dżunglę. Słysząc było stękanie i ciężkie oddechy utrudzonych ludzi, łoskot rąbanych pałaszami lian i pni młodych drzewek oraz szelest rozrącanych stopami liści.

Powietrze było gorące i parne. Pot lśnił na muskularnych ramionach, perlił się na kędzierzawych nagich piersiach, skapywał z poprzecinanych bliznami brwi. Odór rozkładającej się roślinności mieszał się z wonią egzotycznych kwiatów, zdających się płonąć bielą, złotem i karmazynem na tle ciemnej zieleni puszczy.

Zaron uświadomił sobie obecność jeszcze jednego zapachu. Minęło trochę czasu, nim go rozpoznał. Z dreszczem odrazy zdał sobie sprawę, że jest to piżmowy smród węży. Mrucząc przekleństwo, przycisnął do nozdrzy gałkę zapachową, wydzielającą aromat skrawków skórki pomarańczy i okruczeństwa cynamonu. Wciąż jednak wyczuwał smród węży. Gdy się nad tym zastanowił, poczuł niepokój. W czasie swej korsarskiej kariery znalazł się na mnóstwie oceanicznych wysp, jednak na żadnej z nich nie mieszkały węże.

Panował duszący żar. Pnie palm udrapowane pętlami kwitnących lian odcinały wiew świeżej morskiej bryzy. Zlany potem Zaron rozglądał się czujnie po zaroślach.

— Z wyjątkiem tego przekłętą smrodu węży nie wyczuwam żadnego zagrożenia — powiedział do Menkary.

— Więc też to zauważyłeś? — Menkara obdarzył go słabym uśmiechem.

— Czuję tylko smród i upał. — Zaron wzruszył ramionami. — Jestem rozczarowany, spodziewałem się jakichś nieziemskich potworności. Czyżby nie było tu duchów ani demonów? Nawet jakiegoś powstałego z grobu, toczącego pianę nieszczęśnika? Pni!

Menkara obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

— Jak nieczułe są zmysły mieszkańców Północy! Nie zauważyłeś nawet ciszy?

— Hmm... — mruknął Zaron. — Skoro o tym wspomniałeś...

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Rzeczywiście, w dżungli panował złowieszczy spokój. Na niewielkiej wysepce nie można było spodziewać się wielkich zwierząt, mimo to powinien rozlegać się łopot ptasich skrzydeł, szmer przemykających się jaszczurek i krabów lądowych czy szelest potrząsanego wiatrem listowia. Panowała jednak zupełna cisza, jak gdyby dżungla wstrzymała dech i przyglądała się im niewidzialnymi oczami.

Zaron wymamrotał przekleństwo, opanował jednak swój lęk. Jego ludzie, torujący sobie drogę przez zarośla, niczego nie spostrzegli. Zaron gestem nakazał Menkarze milczenie i pobrnął za swoimi żeglarzami w głąb wyspy. Teraz jednak towarzyszyło mu wrażenie, że są obserwowani.

Gdy nadeszło południe, korsarze dotarli na miejsce. W jednej chwili przedzierali się przez gęste poszycie, w następnej znaleźli się na otwartej polanie. Dżungla skończyła się nagle, jakby roślinność bała się przekroczyć niewidzialną granicę. Za kolistą barierą rozpościerała się połać płaskiego, piaszczystego gruntu, na której rosło jedynie kilka rachitycznych kępek bezbarwnej trawy. Menkara i Zarono wymienili znaczące spojrzenia.

Na środku tej martwej strefy wznosiła się tajemnicza budowla, którą przybyli splądrować. Zarono nie był w stanie określić, jakiemu celowi niegdyś służyła. Mogła to być równie dobrze świątynia, grobowiec lub magazyn. Przysadzisty, masywny budynek wykonano z matowego czarnego kamienia. Z niejasnego powodu trudno było ocenić rozmiary budowli.

Gmach miał mniej więcej sześcienny kształt, lecz jego boki nie były gładkie, składały się z mnóstwa skierowanych we wszystkie strony nieregularnych krzywizn i płaszczyzn.

Brak było jakiegokolwiek symetrii, jak gdyby każdy element budowli został zaprojektowany przez innego architekta lub złożono ją z części dziesiątków innych gmachów z rozmaitych krajów i wieków.

Czarna Świątynia — o ile to była świątynia — wznosiła się przed wędrowcami w parnym, mętym powietrzu. Zarono poczuł lodowate dotknięcie nigdy dotąd nie doświadczanej grozy. Aura strachu, promieniująca z przysadzistej czarnej budowli, wstrząsnęła nawet tym zahartowanym łotrem o stalowych nerwach. Mrużąc oczy, utkwiał w niej gniewne spojrzenie, starając się zidentyfikować przyczynę lęku sprawiającego, że brak mu było tchu.

Świątynia była obca. Obca ludziom. Styl, w jakim ją zbudowano, był odmienny od wszystkich, z jakimi Zarono zetknął się w czasie swoich licznych wypraw. Nawet nawiedzane przez demony stygijskie katakumby nie były tak obce, jak ta nieregularna bryła czarnego kamienia. Zdawało się, że budowniczkowie kierowali się własną, nieludzką geometrią, jakimś niezemskim kanonem proporcji.

Twarz Menkary poszarzała i pokryła się potem.

— Tak jak myślałem — wymruczał na poły do siebie. — Odprawiono tu rytuał Z'thoun. — Zadygotał. — Sądzę, że od trzech tysięcy lat nie wypowiedziano tych mrocznych zaklęć...

— O czym mówisz, tchórze? — warknął Zarono kryjąc złością własny strach.

Stygijczyk zwrócił ku niemu spojrzenie rozszerzonych oczu.

— To czar ochronny — wyszeptał. — Jeden z najpotężniejszych magicznych ceremoniałów. Gdyby ktokolwiek okazał się na tyle głupi, by wkroczyć do świątyni bez przeciwczaru, jego obecność przebudzi śpiącą w niej istotę.

— Znasz ten przeciwczar?

— Znam, dzięki Ojcu Setowi. Niewiele wiadomo o przedludzkiej wężowej rasie z Valuzji, lecz za pomocą okrucich mojej wiedzy mogę rzucić odpowiednie zaklęcie. Pamiętaj tylko, że nie będzie ono długo działać.

— Mam nadzieję, że wystarczająco długo, bym mógł splądrować tę czarną okropność — burknął Zarono. — Najlepiej zabieraj się do tego natychmiast, człowieku.

— W takim razie zawróć z twoimi ludźmi do dżungli i nie patrzcie w moją stronę — odparł Menkara.

Zarono dopilnował, by wszyscy żeglarze wrócili pod osłonę drzew i usiedli plecami do polany. Nasłuchiwali z zaciśniętymi ustami płynnego głosu Menkary, zawodzącego w nieznanym języku. Nie wiedzieli, co jeszcze robił, jednak padające przez korony palm światło przygasało co chwila, jak gdyby gigantyczne cienie przesuwały się nad nimi w tę i z powrotem. Zdawało się, że Stygijczykowi odpowiadają inne, nieludzkie głosy, których sucha, skrzypliwa artykulacja sugerowała, że nie są zdolne do wydawania ludzkiej mowy. Ziemia dygotała lekko, światło pociemniało, jakby słońce przysłoniła chmura...

— Chodźcie! — zawołał w końcu słabym głosem Menkara. Zarono spostrzegł, że kapłan przygarbił się i wyglądał na postarzałego.

— Śpiesz się — jęknął Stygijczyk. — Przeciwczar nie utrzyma się długo.

Menkara i Zarono weszli do świątyni. Wnętrze oświetlał jedynie blask, wpadający przez stojące otworem wejście. Czarne kamienie posadzki pochłaniały go, odbijając światło tylko w znikomym stopniu.

W drugim końcu sali wznosił się wielki czarny ołtarz. Na ołtarzu znajdował się szary kamienny posąg siedzącego w kucki stworzenia. Idol stanowił połączenie cech człowieka i ropuchy. Jego męskie atrybuty były obscenicznie wyolbrzymione. Figura nadymającego się stwora o pokrytej brodawkami skórze zajmowała cały wierzch ołtarza. Powierzchnia szarego kamienia była chropowata i pozornie krucha, jak gdyby sam kamień psuł się i łuszczył.

Bezzębne usta idola były lekko uchylone w odrażającym uśmiechu. Para jamek nad nimi odpowiadała nozdrzom. Siedem kulistych klejnotów, osadzonych rzędem nad nozdrzami, wyobrażało oczy. Szlachetne kamienie odbijały wpadające przez wejście światło słońca.

Drżąc pod wpływem emanującej od posągu aury kosmicznego zła, Zarono oderwał od niego wzrok. Przed ołtarzem stały dwie niewielkie sakwy ze starej skóry. Jedna z nich pękła na szwie i ze szczeliny wysypała się struga migoczących klejnotów. Kopczyk wspaniałych kamieni na kamiennej posadzce świecił w półmroku jak wyglądający zza chmur gwiazdozbiór.

Pod sakwami klejnotów leżała wielka księga, zaopatrzona w pozieleniałe przez stulecia brązowe okucia. Oprawiono ją w skórę jakiegoś gada, którego łuski były większe niż łuski jakiegokolwiek stworzenia żyjącego w erze hyboryjskiej.

Dwaj mężczyźni wymienili triumfalne spojrzenia. Zarono podniósł ostrożnie pękniętą sakwę, starając się nie uронić więcej klejnotów. Ułożywszy ją w zgięciu łokcia, wolną dłonią chwycił drugi worek. Menkara natychmiast rzucił się na księgę i przycisnął ją do piersi. Jego wychudłe oblicze pokrywał rumieniec. W zwilgotniałych oczach malowała się mroczna ekstaza. Bez spoglądania za siebie, wyszli na palcach ze świątyni, pokonali biegiem polanę i dołączyli do oczekujących ich na skraju dżungli korsarzy.

— Z powrotem na statek, a żywo! — rozkazał Zarono.

Wyprawa pośpieszyła wyrąbaną w zaroślach drogą. Wszyscy chcieli jak najszybciej oddalić się od siedziby pradawnego zła, którego przekłete miazmaty wciąż wisiały w powietrzu. Pragnęli nacieszyć się świeżą, morską bryzą i błogosławnym widokiem otwartego morza.

ROZDZIAŁ 6 PŁONĄCE OCZY

Po okresie zgrozy i rozpaczki księżniczkę Chabelę ogarnął względny spokój. Nie wiedziała, dlaczego zdrajca Zarono zwrócił się przeciwko swojemu suwerenowi ani dlaczego została porwana, jednak nie paraliżował jej już strach. Przynajmniej zdołała uwolnić ręce.

Zarono zamknął ją w małej kabinie z rękami związanymi za plecami jedwabną szarfą. Cienki kawałek szkarłatnego materiału wydawał się niewłaściwym materiałem na więzy, jednak Zarono nauczył się od wędrującego vendhiańskiego sztukmistrza wiązać supły nie do rozwiązywania nawet przez najzręczniejsze palce. Jedwabna tkanina, mimo swojej lekkości, okazała się wytrzymała jak rzemień. W porach posiłków Zarono zjawiał się, by rozwiązać i ponownie związać księżniczkę. Odmawiał odpowiedzi na wszelkie jej pytania.

Chabela nie była jednak bezbronna. Miała ukryty w sukni mały nożyk. Noszenie takiej broni było obyczajem wysoko urodzonych Zingaraneek. Honor nakazywał im odebranie sobie życia w wypadku zagrożenia gwałtem.

Pomysłowa dziewczyna wykorzystwała nóż do innego celu. Wyginając się, udało się jej wydostać nóż, po czym wetknęła go rękojeścią w szparę w drewnianym obramowaniu bulaju.

Ściągnęła zeń pochwę i obróciwszy się plecami do okna, zaczęła przesuwając więzami po nagim ostrzu.

Było to ciężkie zadanie, ponieważ nie mogła patrzeć za siebie. Od czasu do czasu pocałunek ostrej jak brzytwa stali palił jej delikatne ciało. Nim udało się jej przepiłować jedwabną szarfę, dłonie miała śliskie od krwi. W końcu jednak uwolniła się.

Chabela wyjęła nóż ze szczeliny, włożyła go do pochwy i ukryła za pasem. Rozcięty jedwab wykorzystwała do zabandażowania kilku powierzchownych ran na nadgarstkach.

Jak mogła wykorzystać teraz swoją swobodę? Zarona nie było na pokładzie. Wiedziała to, gdyż udało się jej podsłuchać jego ostatnie komendy. Na „Petrelu” zostało jedynie kilku marynarzy, jednak Chabela wiedziała, że przed wejściem do jej kajuty pełni straż jeden korsarz, kabina zaś jest zaryglowana z zewnątrz. Pozostawał jej tylko bulaj, przez który roztaczał się widok na turkusowe morze, pas kremowej plaży i rąbek palm, których szmaragdowe listowie sterczało na tle błękitnego nieba.

Na szczęście Chabela była o wiele silniejsza, śmielsza i odważniejsza niż większość wydelikacowanych dam z zingarańskiego dworu. Niewiele z nich poważyłoby się na to, czego dokonała.

Otworzyła bulaj i założyła skraj sukni za pas tak, że szata sięgała jej teraz znacznie ponad kolana. Kilka łokci niżej wznosiły się i opadały leniwe fale. Chabela zdołała przecisnąć się przez otwór, wisiała przez chwilę, przytrzymując się ościeżnicy, i skoczyła. Wpadła do wody z cichym pluskiem, zanurzyła się pod powierzchnię i szybko wypłynęła odgarniając sprzed oczu ciężkie, czarne włosy. Woda była chłodniejsza niż gorące, wilgotne powietrze w kajucie, co sprawiło, że księżniczka poczuła się jak uderzona obuchem. Od soli zaczęły palić ją skaleczenia na nadgarstkach.

Chabela nie miała czasu na napawanie się chłodnymi objęciami morza. W każdej chwili mógł ją wypatrzeć jakiś marynarz i podnieść alarm. Nad księżniczką wznosiła się wysoka rufa statku z szachownicą bulajów, a nad nią nadburcie, maszty i kołyszące się lekko olinowanie. Gdzieś na rufie zapewne pełnił wachtę jeden z żeglarzy, lecz w tej chwili nie było widać nikogo. Księżniczkę czekał długi dystans do pokonania. By nie zwracać na siebie uwagi, płynęła na plecach, wystawiając nad powierzchnię tylko twarz. Kierowała się równoległe do plaży, tak by zasłaniał ją kasztel rufowy. Gdy zaczynała odczuwać znużenie, unosiła się przez chwilę w miejscu, utrzymując się na powierzchni ruchami dłoni.

Wreszcie księżniczka oddaliła się od „Petrela” na tyle, że nie widziała wyraźnie sylwetek chodzących po pokładzie korsarzy. Skręciła prosto w stronę brzegu i zaczęła płynąć energiczniej.

W końcu, drżąc z wyczerpania, namacała pod sobą piaszczyste dno i wyczołgała się na żółtoszarą plażę. Po kilku krokach dotarła pod palmy, gdzie skryła się w kępie paproci, by odpocząć.

Pomyślała, że trafiła z deszczu pod rynnę, ponieważ nie wiedziała, jakie niebezpieczeństwa mogą czyhać na nią na wyspie. W najgorszym razie mogła wpaść na Zarona i jego siepaczy. Pokładając jednak wiarę w Mitrze, powiedziała sobie, że wymknięcie się z rąk nieprzyjaciół niewątpliwie oznacza odmianę jej losu na lepsze.

Kiedy odzyskała siły, wstała i zaczęła się zastanawiać, w którym kierunku podążyć. Krzywiła się, gdy kamyki i gałązki raniły podeszwy jej stóp. W ostatnich latach niewiele miała okazji chodzić boso. Wzdychająca między palmami bryza ziębiła jej mokrą szatę. Chabela rozwiązała pasek i ściągnęła suknię przez głowę. Wycisnęła z niej wodę i rozłożyła ją na paprociach, by wyschła. Odcieła nożykiem pas tkaniny od spodu, przecięła go na pół i owinęła sobie stopy. Gdy szata wyschła, włożyła ją i dzierżąc nóż w dłoni ruszyła, by zbadać wyspę. Chociaż nie miecz, było to lepsze niż nic. Skierowała się w głąb lądu. Parna dżungla zamknęła się wokół niej. Słodkawa woń gnijącej roślinności i tropikalnych kwiatów

zaatakowała nozdrza. Chropowate pnie, zębate szypuły liści palm i cierniste liany wczepiały się w szatę, rozdzierały ją i znaczyły czerwonymi pręgami ręce i nogi księżniczki.

Dalej w głębi lądu poszycie było rzadsze. Wiatr zdawał się tu nie docierać. Niesamowita cisza napełniała Chabelę niepokojem, jej serce łomotało.

Nagle potknęła się o korzeń i upadła. Podniosła się, lecz kilka kroków dalej przewróciła się ponownie. Za trzecim razem zdała sobie sprawę, że zupełnie opadła z sił. Musiała zmuszać nogi, by niosły ją dalej.

Niespodziewanie na jej drodze wyrosła zwalista, ciemna sylwetka z gorejącymi oczami. Chabela wrzasnęła, spróbowała odskoczyć i znów runęła na ziemię. Postać rzuciła się w jej stronę.

Zamyślony Conan spoglądał na morze. Przed sobą miał zakotwiczonego w zatoce „Petrela”.

— Moglibyśmy ruszyć pod pełnymi żaglami i zaatakować. Na pokładzie znajduje się tylko część załogi — powiedział do Zeltrana. — Po powrocie Zaronu miałby odcięty odwrót. Co ty na to? — Cymmerianin rzucił bosmanowi gwałtowne spojrzenie, jakby już przeskakiwał na drugi pokład, szykując się do koszenia załogi „Petrela” swoim wielkim kordem. Zarono potrząsnął głową.

— Nie, kapitanie, nie podoba mi się ten pomysł.

— Dlaczego?! — prychnął Conan. Atak całością sił odpowiadał jego barbarzyńskiej naturze, jednak lata przygód na lądzie i morzu nauczyły go rozważli. Wiedział, że niski Zingarańczyk jest zarówno dzielny w bitwie, jak i roztropny. Warto było słuchać jego przebiegłych rad. Zeltran zwrócił w stronę Conana przenikliwe czarne oczka.

— Bo nie wiemy, ilu ludzi Zarono zostawił na statku, kapitanie. Jego załoga jest liczebniejsza od naszej. Tych, którzy nie odpłynęli, może być więcej od nas.

— Na Croma, jedną ręką pokonam połowę tych łajdaków!

Bosman poskrobał się po czarnej szczecinie na podbródku.

— Niewątpliwie jesteś wart tuzina przeciwników, kapitanie, jednak reszta naszej załogi może nie walczyć z taką zaciętością.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ żeglarze Zarony to zingarańscy korsarze, rodacy naszych ludzi, którzy zapewne nie zechcą przelewać ich krwi, jeśli nie będą mieli dobrego powodu. Poza tym „Petrel” jest większy, ma wyższe burty i dlatego jest łatwiejszy do obrony. Czy zwróciłeś uwagę na katapultę na nadbudówce, kapitanie? O ile cię zrozumiałem, przybyliśmy tu po skarb, nie dla czezej przyjemności walki, której wynik jest wątpliwy. Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli opłyniemy wyspę i przybijemy do brzegu z drugiej strony. Wtedy możemy pokusić się o dotarcie do skarbu przed łotrami Zarony. Jeśli to się nie uda, po policzeniu, ilu ludzi Zarony zabrał na brzeg, rozważymy, jakie mamy szansę napaść na nich i odebrać łup...

Po namyśle Conan ustąpił, chociaż nie było mu to w smak.

— Płyniemy wokół północnego krańca wyspy — zarządził ponuro.

Kilka godzin później „Szelma” rzucił kotwicę po wschodniej stronie wyspy, za cyplem, który zapewniał osłonę przed nagłymi porywami wiatru z północy. Na rozkaz Conana obsadzono uzbrojonymi ludźmi dwie szalupy i po — wiosłowano przez rozmigotane fale ku brzegowi. Po wylądowaniu wciągnięto łodzie na żółtoszary piasek poza zasięg przyływu.

Poklepując kordem o wysoki but, olbrzymi Cymmerianin rozejrzał się po okolicy. Wyspa wydawała się osobliwie posępna, spowita przygnębiającym cieniem, co kontrastowało z morzem skapanym palącym słońcem tropików.

Po zabezpieczeniu łodzi i pozostawieniu na straży dwóch korsarzy, Conan ruszył z pozostałymi w stronę ściany paproci i lian. Po chwili zniknęli z oczu strażnikom na brzegu.

Cymmerianin i jego ludzie dotarli w końcu na kolistą polanę w dżungli. Skąpany w mętym świetle krąg martwej trawy i gołej ziemi był pusty. Zmarszczywszy brwi, Cymmerianin przecesał wzrokiem polanę. Nie widział żadnych oznak życia, lecz wrogowie mogli kryć się w dżungli lub w przysadzistej czarnej świątyni.

Ta ostatnia nie spodobała się Conanowi. Aura przyczajonej groźby obudziła wszystkie instynkty barbarzyńcy. Nie miał wątpliwości, że zagadkowa czarna konstrukcja nie jest dziełem rąk ludzkich. Domyślił się, że jest to pozostałość po osławionej, węzowej rasie z Valuzji. Przyprawiająca o zawrót głowy geometria, nieczytelne, starte niemal do cna ornamenty i płaskorzeźby oraz pas gołej ziemi i martwej lub ledwie wegetującej trawy — to wszystko przypominało mu podobną budowlę, którą wiele lat temu widział na stepach Kush. Tamten gmach również był dziełem dawno wymarłej rasy.

Instynkt podpowiadał mu, by zawrócić z tego okropnego miejsca, i nie zbliżać się do chylącej się ku ziemi budowli. Conan był jednak pewny, że w jej wnętrzu jest to, po co przybył na wyspę.

— Pozostańcie w ukryciu, zachowujcie się cicho i rozglądajcie się, czy nie grozi wam jakieś niebezpieczeństwo! — wyszeptał do swoich ludzi.

Luzując kord w pochwie, wyszedł z dżungli i szybko pokonał pas jałowej ziemi. Dotarł do ziejącej paszczy tajemniczej budowli i po chwili zniknął wewnątrz.

Ignorując cmentarny chłód, który ogarnął go po wejściu do środka, ostrożnie posuwał się naprzód. Wyciągnął kord, szerokie ostrze załśniło w półmroku. Gorejące spojrzenie Cymmerianina padło na kamiennego żabiego idola, który jeszcze niedawno siedział w kucki na ołtarzu, a obecnie spoczywał na posadzce przed ofiarnym stołem.

Conan znieruchomiał. Jakikolwiek skarb się tu znajdował, zniknął. Na pokrytej grubą warstwą kurzu posadzce widniały ślady dwóch par obuwia, prowadzące do ołtarza i z powrotem. Jeden ślad zostawiły marynarskie buty, drugi — sandały. Zarono i ktoś jeszcze, pomyślał barbarzyńca.

Przed ołtarzem znajdował się wolny od kurzu prostokąt. Leżało na nim kilka szlachetnych kamieni, które wysypały się z pękniętej sakwy. Zarono zapomniał o nich w pośpiechu.

Rzuciwszy szpetne przekleństwo, Conan ruszył do przodu, by zgarnąć resztę klejnotów. To, że znalazł się w roli szakala, podczas gdy Zarono okazał się lwem, wprawiło Cymmerianina w furję, nie zamierzał jednak wracać z pustymi rękami.

Po chwili zatrzymał się ponownie. Kamienny idol poruszył się. Siedmioro pokrytych kurzem, mętnych, kryształowych kul nad szeroką, pozbawioną warg paszczą stwora zamieniło się w żywe zielone ślepia, które na widok Cymmerianina rozjarzyły się zimną, bezlitosną furją.

ROZDZIAŁ 7 KAMIENNY IDOL

— Na Croma! To żyje! — wymknął się Conanowi okrzyk zaskoczenia.

Potem zeszywniał, puls zaczął łomotać mu w skroniach, przeszył go dreszcz nadnaturalnego lęku. Istotnie, pokryty brodawkami i liszajami kamienny idol napełniał się upiorną imitacją życia. Za moment wyprostował opuchłe kończyny, przeciągając się.

Utkwiwszy gorejące ślepia w barbarzyńcę, idol sprężył się i ruszył depcząc lśniące klejnoty. Niezgrabnie, lecz zdumiewająco prędko popędził w stronę Conana. Kamiennie kończyny szorowały i zgrzytały o płyty posadzki. Stwór był rozmiarów bawołu. Siódemka gorejących zielonych ślepi znajdowała się na wysokości oczu człowieka.

Conan zamierzył się do ciosu kordem, jednak rozsądek podpowiedział mu, że nie zda się to na nic. Sądząc po wydawanych przez istotę dźwiękach, była nadal z kamienia, chociaż

ożywionego. Mieczem nie można było wyrządzić jej szkody. Cios złamałby jedynie ostrze i Conan stanąłby bezbronny w obliczu rozdziawionej paszczy potwora.

Nim dosięgła go pozbawiona warg gęba, Conan wypadł na polanę. Ostrożność przestała być potrzebna, więc zagrzemiał:

— Z powrotem na statek! Żywo!

Gdy ropuchowaty stwór wyłonił się ze świątyni tuż za Conanem, rozległy się okrzyki przerażenia przyczajonych na skraju polany korsarzy. Nie trzeba było powtarzać rozkazu. Cały oddział pierzchnął z trzaskiem roztrącanych krzewów. Gnająca z szybkością biegnącego człowieka bestia nie zatrzymywała się. Conan przystanął na chwilę, by upewnić się, że uwaga potwora jest skupiona na nim, i ruszył w inną stronę, by odciągnąć go od swoich ludzi.

— A to co? Dziewucha, tutaj? Na piersi Isztar i brzuch Dagona, ta przeklęta wyspa kryje więcej niespodzianek, niż się spodziewałem — ludzki głos, aczkolwiek szorstki i z barbarzyńskim akcentem, sprawił, że Chabela uspokoiła się nieco. Zaczerpnąwszy tchu, chwyciła podaną dłoń i wstała. Mężczyzna nie przestawał mówić:

— No, panienko, czyżbym cię wystraszył? Usmażcie mi flaki, nie miałem nic złego na myśli. Skąd się wzięłaś na tej zapomnianej przez bogów wyspie na krańcu świata?

Gdy minęła początkowa panika, Chabela ujrzała, że mężczyzna, którego się tak przestraszyła, jest krępkim rudowłosym olbrzymem w postrzępionym marynarskim stroju. Nie należał do siepaczy Zarona. Zbyt uczciwie wyglądał. Miał spaloną przez słońce jasną cerę, szczerze niebieskie oczy i czerwone jak marchew, skołtunione loki i brodę. Po karnacji Chabela oceniła, że pochodzi z Północy.

— Zarono! — jęknęła zdyszczonym głosem. Jej pierś falowała z wyczerpania i przestachu. Zatoczyła się i pewnie by upadła, gdyby rudy żeglarz nie podtrzymał jej.

— Ta czarna świnia, co? Zabrał się teraz do porwania dziewcząt? Niech mnie usmażą jak szczura lądowego, ale wolałbym psy całować, niż patrzeć na jego gębę. Teraz już nic ci nie zrobią, na róg Heimdala i topór Mitry! Nie bój się, ze mną jesteś bezpieczna, ale cóż tu się wyprawia?!

Marynarz z Północy odwrócił się, wyciągając wielki kord z pochwy. Za krzakami rozlegał się coraz głośniejszy łoskot. Po chwili zza zasłony zarośli wypadł zwalisty mężczyzna i zatrzymał się na ich widok. Ku zaskoczeniu Chabeli, mężczyzna był jej znajomy.

— Kapitan Conan! — zawołała.

Oczy Cymmerianina zwięziły się. Popatrzył na rudowłosego chwata z wyciągniętym kordem i kryjącą się za nim czarnowłosą dziewczynę w postrzępionej szacie, ledwie okrywającej jej zmysłową figurę. Dziewczyna była dziwnie znajoma, lecz nie miał czasu na rozważanie, gdzie ją poznał.

— Uciekajcie! — krzyknął. — Goni mnie potwór z świątyni! Biegnijcie za mną, pogadamy później! — Słowom Conana przydał powagi znacznie głośniejszy hałas za jego plecami. Cymmerianin chwycił nadgarstek Chabeli i pociągnął ją za sobą na przełaj przez zarośla. Marynarz z Północy ruszył ich śladem. W końcu uznali, że udało się im odsądzić od prześladowcy. Gdy przystanęli dla złapania tchu, Conan zapytał drugiego żeglarza:

— Czy na tej przeklętej wyspie nie ma żadnego pagórka ani urwiska? Ta kamienna ropucha pewnie nie umie się wspinać.

— Na włócznie Wodena, nie ma tu ani jednego wzniesienia, druhu — zabrzmiała odpowiedź rudzielca. — To najwyższe miejsce na wyspie, z wyjątkiem ostrogi na północnym wschodzie, która się kończy urwiskiem. Ale to na nic, ład wznosi się łagodnie; potwór pogoni za nami bez trudu... Znowu się zbliża!

— Pokaż mi drogę do tego urwiska — powiedział Conan. — Mam plan.

Rudzielec wzruszył ramionami i pobiegł przez dżunglę. Gdy Chabeli zabrakło sił, Conan wziął ją na ręce. Hoża dziewczyna sporo ważyła, lecz olbrzymi Cymmerianin niósł ją bez wysiłku. Za sobą słyszeli łoskot tratowanych przez potwora zarośli.

Godzinę później, gdy słońce zniżało się ku horyzontowi, trójka podrapanych, obszarpanych i wyczerpanych uciekinierów dotarła do podstawy wzniesienia. Trójkątna ostroga zwężała się w szpic, jak dziób okrętu. Conan przypomniał sobie, że widział ją, gdy „Szelma” okrążał północny brzeg wyspy.

Rudzielec przejął dziewczynę od Cymmerianina. Potykając się, posuwali pod górę. Dżungla kończyła się u podstawy wzniesienia. W połowie drogi do szczytu rudzielec posadził Chabelę na ziemi. Dwaj śmiałkowie przystanęli, by zorientować się, czy kamienny potwór nadal ich ściga.

Monstrum nie ustało w swoich wysiłkach, o czym świadczył trzask łamanych palm.

— Na Ymira i Mitrę, jaki masz plan? — rzucił zdyszany żeglarz.

— Biegniemy na szczyt — mruknął Conan i ruszył pierwszy. Na wierzchołku cypla wychylił się za jego skraj i popatrzył w dół. Kilkadziesiąt łokci niżej spienione fale przelewały się w tę i z powrotem przez szeroką rafę ze zwałonych głazów, których ostre krawędzie sterczały w górę, a połamane powierzchnie lśniły wilgocią. Między kłami skał widniało parę utworzonych przez przyptyw kałuż.

Obejrawszy się, Chabela krzyknęła zduszonym głosem. Przysadzisty kamienny idol wynurzył się z dżungli. Włokąc liście paproci, które uczepliły się jego skóry, biegł właśnie pod górę. Jego siedmioro oczu po chwili wypatrzyło trójkę zbiegów. Potwór przyśpieszył kroku.

— Odciał nam drogę odwrotu — powiedział rudzielec. — I jak teraz biedni żeglarze mają opuścić statek?

— Bez obawy — odparł Conan i zwięźle przedstawił swój plan.

Tymczasem olbrzymia ropucha posuwała się pod górę. Jej siedmioro ślepi lśniło w świetle zachodzącego słońca. Znalazłszy się bliżej, potwór zmienił krok, zaczął poruszać się żabimi skokami. Za każdym razem, gdy kamienne cielsko spadało na ziemię, grunt dygotał. Zbliżający się idol rozdziawił wyczekująco paszczę.

Schyliwszy się, Conan zebrał kilka kamieni.

— Teraz! — krzyknął.

Na jego rozkaz Chabela i rudowłosy żeglarz pobiegli w przeciwne strony. Conan został na skraju urwiska, by samotnie zmierzyć się z potworem. Gdy dwójka uciekinierów rozbiegła się, potwór przystanął. Toczył zielonymi ślepiami, wyraźnie zastanawiając się, kogo ścigać.

— Chodź tu! — ryknął Conan ciskając kamień. Pocisk odbił się z hukiem od pyska potwora. Zaraz za nim poleciał kolejny kamień, trafiając w jedno ze ślepi. Zielony blask oka przygasł.

Nim Conan zdołał rzucić trzeci kamień, potwór napiął masywne zadnie łapy, szykując się do ostatniego skoku, którym dotarłby na szczyt urwiska. Spodziewając się łatwego łupu, szeroko rozdziawił odrażającą paszczę.

Gdy żabi stwór odbił się od ziemi, Conan odwrócił się i skoczył z urwiska. Wywinał kozła w powietrzu i prosto jak strzała poszybował pomiędzy dwie postrzępione skały. Rozbił tafłę wody wyciągniętymi nad głową ramionami i natychmiast wypłynął na powierzchnię.

Na szczycie potwór wylądował dokładnie w tym samym miejscu, w którym stał Conan. Skraj urwiska rozkruszył się pod uderzeniem przednich łap bestii. Posypał się grad kamieni i osypującej się ziemi. Przednie łapy ześlizgnęły się z urwiska, a rozpędzone cielsko poszło ich śladem. Przez chwilę kamienny idol balansował na kruszącej się grani, po czym stracił równowagę i spadł z łoskotem. Obracające się powoli cielsko, nabierając szybkości, zważyło się z piekielnym rumorem na skały u podnóża urwiska.

Ociekający wodą Conan wydzwignął się na skałę. Nie wylądował dokładnie tak, jak zamierzył. Rozdarte ubranie ukazywało krwawiącą szramę na żebrach i udzie, gdzie zawadził o ostrą kamienną krawędź. Ignorując ból, przyjrzał się resztkom ropuszego idola.

Kamień, chociaż w magiczny sposób tchnięto w niego życie, obumarł. Potwór rozleciał się na setki odłamków, porozrzucanych u podstawy urwiska. Trzeba było się dobrze przyjrzeć, by stwierdzić, że głąz wklinowany koło miejsca, w którym zanurkował Conan, jest łapą potwora, a inny stanowi fragment jego łba. Odłamki monstrum zwały się ze skalnym chaosem, jak gdyby leżały tu od eonów.

Przeskakując ze skały na skałę, Conan ruszył wzdłuż urwiska, po czym wspiął się na nie. Niebawem dołączył do dwójki towarzyszy na wierzchołku cypla. Rudowłosy żeglarz kontemplował szczątki kamiennej ropuchy.

— Na pazury Nergala i trzewia Marduka, było na co popatrzeć, druhu! Myślę, że teraz, gdy poradziliśmy sobie z tym stworem, nadszedł czas, byśmy się poznali. Zwę się Sigurd z Vanaheimu. Jestem uczciwym żeglarzem, który trafił na tę przeklętą wyspę po zatonięciu mojego statku. A ty?

Conan przyglądał się księżniczce.

— Na Croma! — zawołał w końcu. — Ty chyba jesteś Chabela, córka Ferdruga?

— Owszem — powiedziała dziewczyna. — A ty jesteś kapitanem Conanem.

Wymieniła jego imię już wcześniej, gdy natknął się na nich, uciekając przed kamiennym idolem. Fakt, że dziewczyna go poznała, ułatwił mu odgadnięcie, kim jest. Dowódcy korsarskich okrętów nie spotykają się z księżniczkami z królewskich rodów, mimo to Conan często widywał Chabelę na dworskich bankietach, paradach i innych ceremoniach. Ponieważ ponad połowa łupu przypadała królowi, Ferdrugowi wypadało od czasu do czasu gościć korsarzy. Długie nogi, szerokie bary i poważne rysy Cymmerianina zapadły w pamięć Chabeli. On z kolei rozpoznał ją bez trudu, mimo postrzępionego odzienia i rozczochranych włosów.

— Co tu robisz, księżniczko, na wszystkich bogów? — zapytał zdumiony.

— Księżniczka! — zawołał zdumiony Sigurd. Jego rumiana twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. Oniemiały, utkwiał wzrok w dziewczynie, którą do tej pory traktował tak bezceremonialnie.

— Na brodę Ymira i gorejące ognie Baala, wybaczcie mi mój język, wasza wysokość! Jak mogłem nazwać szlachetnie urodzoną damę dziewczuchą... — przypadł na kolano.

— Wstań, panie Sigurdzie, i nie trap się tym więcej — powiedziała Chabela. — Dworska etykieta jest tu równie nie na miejscu jak koń na dachu. Znasz kapitana Conana, naszego wybawcę?

— Conan... Conan... — powiedział zamyślony Sigurd. — Ten Cymmerianin?

— Tak — mruknął Conan. — Słyszałeś o mnie?

— Oczywiście, nasłuchałem się o tobie w Tor... — urwał.

— W Tortage, chciałeś rzec? — powiedział Conan. — Od razu wyglądałeś mi na Barachańczyka. Ja również należałem do Bractwa, dopóki nie zrobiło się tam dla mnie zbyt gorąco. Teraz jestem kapitanem „Szelmę”, korsarzem w służbie króla Zingary. Będziemy przyjaciółmi?

— Tak, na rybi ogon Llyra i młot Thora! — odparł Vanir, potrząsając dłonią Conana. — Ale musimy dopilnować, by nasi chłopcy nie żarli się między sobą. Moi to przeważnie Argosańczycy, a ty zapewne dowodzisz głównie Zingarańczykami. Gdy się zbierze ich razem, tylko patrzeć, jak skoczą sobie do gardeł. Ale ponieważ żaden z nas nie należy do tych nacji, nie mamy powodów, by znosić ich stare waśnie.

— Owszem — potwierdził Conan. — Jak tutaj trafiliście?

— Wpadliśmy na skałę przy południowym brzegu. Statek zatonął, a nam udało się dotrzeć na plażę z większością broni i jedzenia. Nasz kapitan rozchorował się i umarł. Byłem

bosmanem, więc od miesiąca dowodzę. Przez ten czas staraliśmy się sklecić tratwę na tyle wytrzymałą, by dopłynąć nią na kontynent.

— Wiadomo ci coś o Czarnej Świątyni?

— Och, oczywiście. Zajrzałem tam ze swoimi chłopakami, ale zaiste, cuchnie złem, dlatego od tej pory jej unikaliśmy. — Sigurd utkwił spojrzenie niebieskich oczu na znikającej za horyzontem czerwonej kuli słońca. — Usmażcie mnie jak szczura lądowego, ale powiadam ci, chłopie, ganieńce po dżungli i zapasy z potworami przyprawiły mnie o wielkie pragnienie! Wracajmy do mojego obozu! Zobaczymy, czy uda się utoczyć kroplę wina dla pokrzepienia ducha. Myślę, że sobie na nie zasłużyliśmy!

ROZDZIAŁ 8

KORONA KOBRY

Gdy Zarono po powrocie na pokład „Petrela” dowiedział się o zniknięciu księżniczki, wpadł w niepohamowaną furję. Na jego rozkaz przeciągnięto pod kilem korsarzy, którzy pełnili wachtę przed kajutą Chabeli. Pozostałe po tym zabiegu krwawe ochłapy wyrzucono do morza.

Następnego dnia przed świtem Zarono zabrał na brzeg niemalże wszystkich swoich ludzi. Dzień minął im na przeczesywaniu wyspy w poszukiwaniu zbiegłej księżniczki. Natrafiono na parę oderwanych od jej szaty strzępów tkaniny. Świadczyło to, że Chabela dotarła na wyspę, nie pozwalało jednak odgadnąć, gdzie znajduje się obecnie. Marynarze odkryli również pozostałości obozu Sigurda, jednak sami barachańscy piraci zniknęli jak kamfora.

O zachodzie słońca zdezorientowany i jeszcze bardziej wściekły Zarono wrócił na „Petrela”.

— Menkara! — wrzasnął, gdy tylko wszedł na pokład.

— Tak, kapitanie?

— Jeśli twoje czary mają się na cokolwiek przydać, to nadeszła na nie pora. Pokaż mi, gdzie uciekła ta przeklęta dzierlatka!

Niedługo potem Zarono przyglądał się w swojej kajucie, jak Stygijczyk rozstawia przybory, z których korzystał w lochu Villagra. Węgielki z sykiem tliły się w koszu, a czarnoksiężnik zawodził:

— Iao, Setesh...

Nefrytowozielony obłok dymu zgęstniał. Pojawił się w nim obraz spokojnego morza, na którym stała wąska, zgrabna karaka. Żagle zwisały luźno, a statek nie ruszał się z miejsca.

— „Szelma” Conana, unieruchomiona przez ciszę morską — powiedział Zarono, gdy obraz zniknął. — Ale gdzie?

— Przykro mi, ale czar tego nie powie. — Menkara bezradnie rozłożył ręce. — Gdyby widać było słońce, mógłbym przynajmniej określić kierunek, dokąd zmierza statek, ale w tej sytuacji...

— To znaczy, że może być gdziekolwiek za horyzontem, ale nie masz pojęcia gdzie?! — prychnął gniewnie Zarono.

— Zrobiłem co w mojej mocy, ale nie jestem wielkim Thoth–Amonem.

— Widziałeś, czy dziewczyna jest na pokładzie?

— Nie, ale to pewne, że tam jest, bo inaczej statek nie ukazałby się. Niewątpliwie śpi w jednej z kajut.

— Powinienem być sobie z nią pofolgować, kiedy miałem okazję — mruknął Zarono. — I co mam teraz zrobić?

— Cóż, „Szelma” może zmierzać do wybrzeża Kush, ale pewniejsze jest, że płynie do Zingary. Kapitan Conan chce się jak najszybciej znaleźć w Kordawie, by odebrać od króla sowitą nagrodę.

— Gdybyśmy ruszyli na północ, czy moglibyśmy ich dogonić?

— Nie sądzę. Ocean jest zbyt wielki, do tego unieruchomiłaby nas ta sama cisza morska, co Conana. Niewykluczone, że Cymmerianin chce wylądować na shemickim wybrzeżu i zwrócić się o pomoc do brata króla, Tovarra, ale tego się nie dowiemy. W każdym razie nie możesz zapomnieć o naszym głównym celu.

— Naszym głównym celem była dziewczka i skarb!

— Nie, mówię o wielkim Thoth–Amonie. Jeśli zdołamy zapewnić sobie jego pomoc, przestanie się liczyć, czy księżniczka wróci do ojca lub sprowadzi swojego wuja. Księżę magów potrafi sterować nimi z równą łatwością co lalkarz pociągający za sznury marionetek. Płynmy na północny wschód, do Stygii. Jeżeli po drodze napotkamy statek Conana, bardzo dobrze, jeśli nie, nie będzie to mieć znaczenia.

Ze stygijskiego wybrzeża Zarono i Menkara ruszyli w głąb lądu z karawaną. Połowę załogi pozostawiono do pilnowania „Petrela”, podczas gdy druga połowa, uzbrojona po zęby, towarzyszyła swojemu kapitanowi. Za przeprawę Zarono musiał zapłacić szczerym złotem, co przyprawiło o wielki ból złodziejskie serce kapitana.

Jak większość żeglarzy, Zarono czuł się niepewnie na lądzie. Pozbawiony swego naturalnego żywiołu, był nieswój i bezradny. Chociaż pustynia była na swój sposób podobna do morza, mimo to była czymś obcym. Zingarańczykowi nie odpowiadało też rytmiczne podskakiwanie na grzbiecie flegmatycznego wielbłąda ani rozpalone pustynne powietrze, wysuszające z gardła ostatnią kroplę wilgoci. Musiał jednak znieść te niewygody.

Trzeciego dnia na horyzoncie pojawiła się oaza Khajar. Była to ciemna, samotna kępa zasłgłych w bezruchu palm, otaczających osobliwy czarny staw. Zza listowia wyłaniała się również masywna budowla.

Karawana powoli zbliżyła się do oazy. Na czele jechał Menkara. Jego strój kapłana Seta był widoczny z daleka.

Oazę spowijała cisza. Ani jeden ptak nie brodził w stawie, nie śpiewał w koronach palm. Karawany nie okrzyknął żaden strażnik. Na skraju drzew wędrowcy zatrzymali się. Wielbłądy uklęły na komendę, o mało nie zrzucając podróżników na piasek.

— Miej oko na poganiaczy wielbłądów — powiedział Zarono bosmanowi. — Te psy boją się czegoś. Mogą uciec i nas tu porzucić.

Zarono i Menkara ruszyli brzegiem czarnego stawu ku widocznej w oddali budowli. Czarna jak płynny węgiel powierzchnia stawu odbijała wieczorne światło. Na zamarłej w bezruchu wodzie migotały wijące się powoli oleiste odbłyски. Obok stawu znajdował się przypominający ołtarz blok czerwonego kamienia. Jego wierzch i boki pokrywały ciemne, rdzawe plamy. Zarono pobladł i zadrzał na myśl, jakiego rodzaju istota wynurzała się czasami ze stawu, by pożreć składane jej na ołtarzu ofiary.

Wędrowcy ominęli złowieszczy staw i zbliżyli się do siedziby Thoth–Amona. Gdy minęli palmy, ujrzeni, że budowlę zbudowano z takich samych jak ołtarz bloków czerwonego piaskowca. Siedziba czarnoksiężnika była tak wielka, że bardziej zasługiwała na miano pałacu niż domu. Zeszlifowane przez wiatr i piasek ściany gmachu świadczyły, że jest on bardzo stary.

Nikt nie był w stanie orzec, w jakiej zapomnianej epoce postawiono tę olbrzymią budowlę. Zdobiałe łuk wejściowego nadproża płaskorzeźby były odmienne od wszystkich, jakie Zarono widział w czasie swych licznych podróży. Plan budowli przytłaczał surową prostotą. Zarono stwierdził, że nie może skojarzyć jej z żadnym znanym mu stylem architektonicznym, może z wyjątkiem sterczących w niebo gigantycznych piramid na pustyni w okolicach Khemi. Gmach przypominał bardziej grobowiec niż siedzibę żywego człowieka.

W masie krwawego piaskowca ziała paszcza czarnego wejścia. Menkara podszedł bez słowa do tej jamy i nakreślił dłonią w powietrzu enigmatyczny znak. Zarono spostrzegł z

dreszczem lęku, że kościsty palec czarnoksiężnika pozostawia za sobą gasnące dopiero po chwili linie zielonego światła.

W ciemnym wnętrzu gmachu panowała przytłaczająca cisza, w której każdy dźwięk odbijał się nie gasnącym echem. Nie widać było żadnych strażników ani sług. Gdy Menkara bez wahania ruszył w głąb budowli, Zaronowi nie pozostało nic innego, jak podążyć za nim.

Za przedsionkiem znajdował się rząd kamiennych stopni, wytartych przez wieki tak, iż utworzyły się w nich łagodne wklęsnięcia. Prowadziły one do pograżonych w ciemnościach podziemi. Zarono i Menkara zeszli pod poziom pustyni, dotarli do kresu schodów i znaleźli się w wielkiej komnacie.

Pomieszczenie było oświetlone złowieszczym zielonym blaskiem, padającym z trójnogów odlanych na kształt wijących się węży. Sala obramowana była dwoma rzędami gigantycznych monolitycznych kolumn, pokrytych tego samego rodzaju płaskorzeźbami, jak łuk nad wejściem. W końcu komnaty, gdzie w perspektywie zbiegały się rzędy kolumn, na tronie z czarnego lśniącego kamienia siedział pan rezydencji. Zbliżywszy się wraz z kapłanem do tronu, Zarono przyjrzał się dokładniej zasiadającemu na nim mężczyźnie.

Był to człowiek wysoki, o szerokich barkach i wyniosłych, jastrzębich rysach twarzy. Jego skóra miała głęboki, brązowy odcień. Z jamistych oczodołów wyglądały hipnotyzujące niebieskie oczy. Mężczyzna ubrany był w białą lnianą szatę o prostym kroju. Jediną widoczną ozdobą był miedziany pierścień w kształcie trzykrotnie zwiniętego węża, trzymającego ogon w paszczy.

Zarono po surowej prostocie budowli i skromnym stroju potężnego czarnoksiężnika odgadł prawdziwą naturę Thoth–Amona. Oto był człowiek, dla którego nic nie znaczyło posiadanie bogactw oraz krzykliwe atrybuty władzy. Pasją maga było coś innego — absolutna władza nad innymi ludźmi!

Gdy Menkara i Zarono zatrzymali się kilka kroków przed tronem, czarnoksiężnik przemówił silnym, czystym głosem:

— Witaj, braciszku Menkaro!

Menkara osunął się na kolana i dotknął czołem czarnych kamieni posadzki.

— Przybywam w imię Ojca Seta, straszny panie — wyszeptał.

Zaronowi przysłała do głowy niepokojąca myśl, że podrzędnego kapłana Seta ogarnął prawdziwy lęk. Na czoło korsarza wystąpił pot.

— Kim jest ten Zingarańczyk o czarnym obliczu, którego przyprowadziłeś do mojej rezydencji? — zapytał Thoth–Amon.

— To kapitan Zarono, korsarz, straszny panie. Jest wysłannikiem Villagra, księcia Kordawy.

Zimne, wężowe spojrzenie leniwie przesunęło się po Zaronie. Zingarańczyk poczuł, że za oczami o gadzim spojrzeniu kryje się inteligencja równie potężna, co nieludzka.

— Do czego jestem potrzebny Zingarze, albo Zingara mnie? — spytał czarnoksiężnik.

Menkara otworzył usta, lecz Zarono uznał, iż nadszedł czas, by zaznaczyć swoją obecność. Zrobił krok naprzód ze śmiałością, której wcale nie czuł, przypadł przed tronem na kolano i wyciągnął zza kaftana spisany na pergaminie list Villagra. Wręczył dokument Thoth–Amonowi, który ujął go w upierścienioną dłoń i położył sobie na kolanach.

— Najpotężniejszy z czarnoksiężników — zaczął Zarono. — Przynoszę ci braterskie posłanie księcia pana Kordawy, który pozdrawia cię i ofiaruje bogate dary w zamian za drobną przysługę, której naturę wyjawi ci to pismo.

Thoth–Amon nie rozwinął pergaminu. Zdawało się, że zna już jego treść. Czarnoksiężnik zamyślił się na chwilę.

— Leży mi na sercu wdeptanie w błoto przekłętego kultu Mitry i przywrócenie wiary w naszego Ojca Seta — mruknął. — Jestem jednak zajęty wielkimi magicznymi dziełami, a złoto Villagra niewiele dla mnie znaczy.

— To nie wszystko, straszny panie — powiedział Menkara, wyciągając spod swej szaty Księgę Skelos. — Prosimy cię, byś przyjął z naszych rąk ten dar na znak dobrej woli księcia.

Złożył starożytne tomiszcze u stóp Thoth–Amona, który pstryknął palcami. Księga uniosła się, otworzyła i delikatnie opuściła na kolana czarnoksiężnika. Najwyższy kapłan Seta z roztargnieniem przewrócił kilka kart.

— Cenny dar, zaiste — powiedział. — Nie spodziewałem się, że istnieje trzeci egzemplarz — a może splądrowaliście królewski księgozbiór Aquilonii?

— Nie, straszny panie — rzekł Menkara. — Ta księga pochodzi z Bezimiennej Wyspy, położonej na Zachodnim Oceanie...

Menkara urwał, ponieważ na obliczu majestatycznego czarnoksiężnika pojawiło się nagle napięcie. W węzowych czarnych oczach zamigotały zimne ognie. Zarona ogarnął nagły strach. Miał wrażenie, że w komnacie zrobiło się zimno. Korsarz wstrzymał oddech. Czyżby zrobili coś, co wzbudziło gniew wielkiego maga?

— Czy zabraliście coś jeszcze z ołtarza boga — ropuchy Tsathoggui? — zapytał Thoth–Amon tonem delikatnym jak dźwięk wysuwającego się z pochwy miecza.

Menkara skulił się.

— Nic poza tym, straszny panie, najwyżej wór klejnotów czy dwa...

— Które leżały na księdze przed ołtarzem, zgadza się?

Drżący Menkara skinął głową.

Thoth–Amon wstał. W jego oczach zamigotały piekielne ognie. Zielony blask rozgorzał w komnacie, posadzka zadygotała jak pod krokami olbrzyma. Mag przemówił grzmiącym głosem:

— Pełzające robaki! Że też tacy głupcy służą mnie, Thoth–Amonowi! Secie, wszechmocny ojciec, daj mi bystrzejszych ludzi za niewolników! Ai kan — phog, yaa!

— Potężny panie! Władco czarowników! Czym zasłużyliśmy na twój gniew? — zajączał Menkara, bijąc głębokie pokłony przy każdym słowie.

Pełen śmiercionośnego gniewu, srogi wzrok olbrzymiego Stygijczyka przygwoździł obydwóch przybyszy do posadzki. Grzmiący głos Thoth–Amona ścichł do węzowego syku:

— Wiedźcie, głupcy, że pod ołtarzem ukryto coś, czemu nie dorówna całe bogactwo Ziemi, przy czym Księga Skelos jest tyle warta, co dzienny spis zysków kupca! Mówię o Koronie Kobry!

Zarona rozpaczliwie złapał dech. Słyszał niegdyś mętne pogłoski o świętym talizmanie węzowego ludu Valuzji, najpotężniejszym z istniejących kiedykolwiek na Ziemi źródle magicznej władzy, wszechpotężnej koronie monarchów gadziej rasy, za pomocą której, w przedludzkiej epoce, zyskała ona władzę nad całą planetą. A oni połaszczyli się na księgę i klejnoty, zostawiając bezcenny skarb!

ROZDZIAŁ 9

WIATR W OLINOWANIU

Od wielu dni „Szelma” prawie nie ruszył z miejsca pod wpływem bezwietrznej pogody, która zapanowała wokół Bezimiennej Wyspy. Członkowie załogi przesiadywali na burtach, starając się łowić ryby. Przed dziobem statku załoga szalupy pociała się przy wiosłach, holując „Szelmę” do brzegu głównego kontynentu.

Conan kłął i nadaremnie wzywał swojego cymmeriańskiego boga. Dzień po dniu żagle zwisały smętnie z omasztowania. Drobne, niemrawe fale kołatały bezradnie o kadłub. Na południu na niebie ukazywały się pęczniejące powoli burzowe chmury, a w nocy horyzont rozświetlały błyskawice, jednak „Szelma” ciągle znajdował się w strefie nieruchomego powietrza.

Krzepki Cymmerianin martwiłby się, że w każdej chwili mogli zostać napadnięci przez statek Zaronu, gdyby nie to, że cisza morska unieruchomiła „Petrela” z równą pewnością, jak jego karakę. Zingarańczycy albo tkwili gdzieś za horyzontem, albo zdołali opuścić wyspę z innej strony i dlatego nie zetknęli się z „Szelmą”. Conan był zadowolony, że jakiegokolwiek lotrostwo uknuł teraz Zaronu, nie znaleźli się na jego drodze. Mieli dość własnych kłopotów, by dodatkowo zawracać sobie głowę „Petrelem”. Przede wszystkim kończyła się żywność i świeża woda.

Innym problemem był Sigurd i jego załoga. Conan polubił szczerego, nieustraszonego młodzieńca z Vanaheimu i zaproponował barachańskim rozbitkom zasilenie jego własnej załogi. Był pewny, że doprowadzi to do kłopotów, i tak się stało. Między zingarańskimi korsarzami i wyspiarskimi piratami, głównie Argosańczykami, zaczęły się waśnie. Przedstawiciele tych dwóch nacji walczyli ze sobą zbyt długo i zbyt często, by nagle się polubić. Jednak żeglarze są przede wszystkim żeglarzami, przedstawicielami tego samego fachu. Mimo że Conan bywał często bezwzględny, czuł, że nie może po prostu kazać podnieść kotwicę i odpłynąć, pozostawiając innych żeglarzy na pastwę losu. Wolał wierzyć, że wraz z Sigurdem zdołają uśmierzyć wszelkie zadrażnienia. Niestety, nie zawsze to się udawało. Zingarańczycy prowokowali bezradnych rozbitków, aż wybuchały bójki. Bez względu na to, jak często Conan i Sigurd rozdzielali warczących wilków morskich i kułakami wbijali im rozum do głów, wkrótce walka wrzała na nowo. Przekłęta cisza morska tylko zwiększała tarcia między zwaśnionymi załogami..

Zdesperowany i wściekły Conan wymamrotał przekleństwo i mocno zacisnął dłonie na krawędzi burty. Miał nadzieję, że gdy zacznie dąć błogosławiony wiatr, korsarze wrócą do swego marynarskiego rzemiosła i przestaną mieć czas na prowokowanie rywali.

Cymmerianina trafił również inny problem. Chabela powiedziała mu wszystko, czego dowiedziała się od Zaronu i stygijskiego czarnoksiężnika. To i owo wymknęło się spiskowcom, trochę udało się dziewczynie podsłuchać, a jeszcze więcej wydedukować. Odgadła, jakie powody tkwiły za wyprawą Zaronu i napaścią na jej statek. Jej bystry umysł przeniknął knowania przeciw koronowanemu władcy, czego nie omieszkała wyjawić Conanowi.

Cymmerianin znalazł się w rozterce. Jako pospolitego korsarza, nie obchodziły go dynastyczne konflikty. Nie miał również żadnego długu wdzięczności wobec Ferdraga III Zingarańskiego. Co prawda monarcha dał mu patent korsarski, a Kordawa stanowiła dla Conana bezpieczną przystań między wyprawami, jednak tego można było oczekiwać po każdym zingarańskim władcy. Niewykluczone, że następny król dałby mu większą prowizję od łupu.

Jednak w podobnych sytuacjach niewyrafinowane poczucie honoru przeważało u Conana nad własnym interesem. Natura dumnego barbarzyńcy nie pozwoliła mu zignorować błagań pięknej zingarańskiej księżniczki. Chociaż Conan nie wiedział dobrze, w co się pakuje, w końcu postanowił stanąć po stronie Chabeli.

Do takiego postępowania nie skłonił go jednak wyłącznie honor. Conan żywił również pewne ambicje. Nie zamierzał do końca swoich dni pozostać zwykłym korsarzem. Jeśli zdołałby uratować króla Zingary i jego córkę przed knowaniami zdrajców i wesprzeć chylący się ku upadkowi tron, miałby niewątpliwie prawo żądać szcudrej nagrody. Może tytułu księcia? Albo rangi admirała?

Conan bawił się nawet myślą o poproszeniu o rękę księżniczki Chabeli i ustatkowaniu się w roli królewskiego małżonka. W ciągu życia spędzonego na szaleńczych przygodach mnóstwo kobiet okazywało Cymmerianinowi swe łaski, a on, chociaż traktował je z niewyrafinowaną uczciwością, usilnie wykrcęał się przed jakimikolwiek legalnymi związkami. Starał się zawsze dotrzymywać swoich zobowiązań, a dla kogoś, czym żywiołem były podróże,

przygody i konflikty, sama myśl o przywiązaniu do jednego serca i głowieniu się nad utrzymaniem rodziny była przerażająca.

Miał już jednak trzydzieści pięć lat i nie była to pierwsza młodość. Choć prócz mnóstwa bliźni, znaczących mocarne ciało, niewiele wskazywało na jego lata, rozumiał, że nie może w nieskończoność kontynuować beztrudnego żywota. Chabela była śliczną, powabną, pełną werwy dziewczyną, stanowczą i inteligentną. Wydawało się też, że go lubi. Drugiej takiej mógłby nie znaleźć...

Zmarszczywszy brew, zamyślony Conan rozluźnił uchwyt na nadburciu, zszedł do swojej kabiny i rzucił się na fotel. Uśmiechnął się kwaśno na widok blasku klejnotów. Przynajmniej zyskał coś za swoje wysiłki. Leżąca na stole Korona Kobry migotała w smudze wpadającego przez bulaj światła. W drogocennych kamieniach zdawał się gorzeć ogień.

Po drodze z urwiska, z którego runął ropuchowaty idol, Conan i jego towarzysze zaszli do Czarnej Świątyni. Wyczuli, że otaczająca ją aura zła rozproszyła się. Tajemnicza budowla z czarnego kamienia kąpała się teraz w rozmigotanym słonecznym blasku. Upiorny dreszcz nadnaturalnej zgrozy nie przeszywał już przyglądających się jej ludzi.

Conan ostrożnie wszedł do wnętrza posępnej świątyni. W miejscu gdzie przez niezliczone stulecia tkwił żabi bóg, ział czarny otwór. Gdy Conan nachylił się nad nim, dostrzegł w ciemnej szczelinie blask klejnotów. Czyżby Zarono coś przegapił? Cymmerianin szybko włożył dłonie w otwór i wydobyl Koronę Kobry.

Był to wydrążony złoty stożek, inkrustowany tysiącami skrzących się białych klejnotów. Conan domyślił się, że są to rżnięte i wypolerowane diamenty, co zdumiało go, gdyż sztuka obróbki tych najtwardszych ze szlachetnych kamieni była nieznana w tych czasach. Koronę wykonano tak, iż przypominała węża, którego oploty obejmowały stożkowato głowę, a łeb pochylał się łukowato nad brwiami noszącej ją osoby. Pokrywające całość klejnoty stanowiły nieoszacowane bogactwo. Mimo wszystko wyprawa na Bezimienną Wyspę okazała się opłacalna!

Z chmurnego zamyślenia wyrwał Cymmerianina gorączkowy krzyk:

— Na cycki Friggi i ognisty członek Sheitana!

Conan uśmiechnął się, poznając głos Sigurda. W chwilę później w wejściu do kabiny pojawiła się twarz z rudą brodą. Nim Sigurd zdążył coś powiedzieć, Conan domyślił się przyczyny jego radości. Do jego uszu dobiegł odgłos łopoczących żagli i śpiew wiatru w takielunku. Podłoga kabiny przekrzywiła się, gdy cały statek pochylił się na burtę. Nareszcie wrócił wiatr!

I to jaki wiatr! Przez dwa dni i nocę „Szelma” na sztormowych żaglach chyżo ciął przemykające po morzu fale. Gdy wiatr wreszcie zelżał, rzucono kotwicę w zatoczce wybrzeża głównego kontynentu. Conan nie był pewny, gdzie dokładnie się znajdują, ponieważ przez ostatnie dni słońce i gwiazdy skrywały się za grubą powłoką chmur. Cymmerianin ocenił, że płynęli mniej więcej na wschód. Ponieważ wybrzeże było porośnięte dżunglą, zorientował się, że dobili do brzegu na południe od porośniętych łąkami równin Shem, nie wiadomo jednak było, czy trafili do Stygii, Kush czy do położonych jeszcze bardziej na południe mało znanych czarnych państw.

— Nie wygląda to dobrze, kapitanie — burknął Zeltran. — Gdzie mogło nas zanieść?

— Diabeł jeden wie i diabła jednego to obchodzi — mruknął Conan. — Przede wszystkim musimy znaleźć wodę. W beczkach mamy już prawie samo błoto. Zbierz ludzi i załadujcie beczki na szalupy, ale żywo!

Zeltran pośpieszył zwołać całą załogę na główny pokład. Gdy wybrani żeglarze zleźli po linach do łodzi, Sigurd popatrzył na brzeg, po czym nachmurzył się i wymamrotał jedno ze swoich religijnych przekleństw.

— Co się stało, człowieku? — zapytał zaniepokojony Conan.

Sigurd wzruszył ramionami.

— Może nic, kapitanie, ale te strony nie wyglądają mi na kushyckie wybrzeże.
— I co z tego?
— Jeśli tak jest, to trafiliśmy w okolice niegościnne dla uczciwych żeglarzy. Czarne diabły prędzej zjedzą człowieka, niż powiedzą mu co to za kraj. Opowiadają też o narodzie czarnych wojowniczków bardziej zażartych niż jacykol — wiek mężczyźni.
Conan popatrzył na sunącą do brzegu szalupę.
— Być może, ale musimy zdobyć wodę. Poza tym kończy się nam żywność. Kiedy uzupełnimy zapasy, ruszamy na północ do Kordawy.

ROZDZIAŁ 10 CZARNE WYBRZEŻE

Zatoczka znajdowała się u ujścia niewielkiej, ospałej rzeki, której brzegi były porośnięte wysokimi, smukłymi palmami i gęstym poszyciem. Szalupa zwolniła na płyciźnie, kilku korsarzy pobrnęło ku brzegowi, by wyciągnąć ją na plażę. Następnie pod osłoną łuczników ludzie z pustymi beczkami ruszyli do ujścia strumienia. Kryjąc się, szli wzdłuż jego brzegów w głąb łądu, od czasu do czasu przystając, by zaczerpnąć wody i stwierdzić, czy nie jest już słona.

Conan, który dotarł do brzegu w drugiej szalupie, stał na plaży, złożywszy potężne ramiona na obnażonej piersi i zmarszczywszy brwi. Ukształtowanie ujścia rzeki było dlań dręcząco znajome. Nagle w jego umyśle pojawiła się nazwa: Zikamba. Albo widział ją na mapach opisujących tę połąć wybrzeża, albo wiele lat wcześniej trafił tutaj podczas wędrówek z Belit. Wyraz surowych, poznaczonych bliznami rysów Conana złagodniał na myśl o latach spędzonych u boku Belit na czele hordy czarnych korsarzy. Belit... Zmysłowa, śniada Belit, gibka jak pantera... Belit, której oczy były jak ciemne gwiazdy... pierwsza i ostatnia jego miłość...

Wyjąca zgraja Murzynów wypadła z dżungli z szybkością tropikalnego sztormu. Blask ich hebanowych ciał przebijał przez paciorki, pióra i barwy wojennego malunku. Ich lędźwia okalały pasy ze skór dzikich zwierząt. Czarni wojownicy potrząsali włóczniami zdobnymi w kępki piór.

Wykrzyknąwszy przekleństwo, Conan poderwał się z miejsca. Wyszarpnął kord i zagrział:

— Do mnie, korsarze! Do broni! Do mnie, a żywo!

Przywódcą wojowników był wielki Murzyn o muskulaturze jak posąg gladiatora wyciosany z czarnego marmuru. Podobnie jak pozostali był nagi, jeśli nie liczyć przepaski biodrowej ze skóry lamparta i paru sznurów paciorków i bransolet. Nad jego głową powiewał pióropusz, a czarne, inteligentne oczy wyglądały z twarzy o wyrazistych rysach, na której malowała się majestatyczna godność.

Pierwszy rzut oka wystarczył Conanowi, by stwierdzić, że Murzyn jest znajomy, lecz Cymmerianin nie miał czasu grzebać w pamięci. Pognał wymachując obnażonym kordem i stanął na czele swojej załogi, zwierającej szyk obronny.

Niespodziewanie przewodzący napaści wojownik w pióropuszu zatrzymał się, wyrzucił przed siebie długie, potężne ramiona i krzyknął gromko:

— Simamani, wote!

Jego komenda sprawiła, że atakująca zgraja zatrzymała się. Z wyjątkiem jednego Murzyna, który gnał dalej, mijając swojego wodza i zamierzając się na Conana włócznią. Ramię atakującego już brało zamach z szybkością atakującej zmił, gdy wódz wojowników rąbnął go w ciemną palkę z twardego drewna, zwaną kirri. Nieprzytomny narwaniec zwałił się na żółty piasek.

Conan krzyknął do swoich ludzi, by opuścili broń. Przez długą chwilę Murzyni i Zingarańczycy mierzyli się wrogimi spojrzeniami, nie spuszczać strzał z cięciw i trzymając włócznie w gotowości do rzutu. Conan i czarny gigant stali zdyszani twarzą w twarz wśród pełnego napięcia milczenia, po czym zęby wodza Murzynów zabłyśły w uśmiechu.

— Conan! — zawołał po hyrkańsku. — Zapomniałeś starego towarzysza?

Gdy jego niedoszły przeciwnik przemówił, pamięć Conana obudziła się.

— Juma! Na Croma i Mitrę, Juma! — zagrział. Odrzuciwszy kord, ruszył, by uściskać śmiejącego się Murzyna. Oszołomieni korsarze przyglądali się, jak dwaj olbrzymi klepią się z rozczuleniem po ramionach i barkach. Wiele lat wcześniej Conan służył daleko na Wschodzie w legionach króla Yildiza Turańskiego. Kushyta Juma był jego towarzyszem broni. Wspólnie brali udział w przebiegającej pod złą gwiazdą wyprawie do Hyrkanii, podczas której eskortowali córkę Yildiza, mającą poślubić księżatko jednego z koczujących stepowych plemion.

— Pamiętasz bój w śniegach Talakmasu?! — zawołał Juma. — A tego szpetnego pokurcza, który mienił się królem — bogiem? Jak mu tam było; Jalunga Thongpa, czy coś w tym rodzaju?

— Pewnie! A pamiętasz, jak wysoki jak koń, ohydny, zielony posąg króla — demona Yamy ożył i zmiażdżył jak robaka jego jedyne syna?! — odpowiedział z zapalem Conan. — Na Croma, to były dobre czasy. Ale co tu robisz, na dziewięć szkarłatnych piekieł? I jak zostałeś wodzem tych wojowników?

— Gdzie jest miejsce czarnego wojownika, jeśli nie na Czarnym Wybrzeżu? — zaśmiał się Juma. — I gdzie miał się udać rodzony Kushyta, jeśli nie do Kush? Ale o to samo mógłbym ciebie zapytać, Conanie. Od kiedy zostałeś piratem?

— Trzeba jakoś żyć. — Conan wzruszył ramionami. — Poza tym nie jestem piratem, lecz prawowitym korsarzem z patentem koronowanego władcy Zingary. Ale nie sądzę, żeby między tymi dwoma fachami była jakaś różnica, jeśli się nad tym zastanowić. Opowiedz mi jednak o swoich przygodach. Jak doszło do tego, że opuściłeś Turan?

— Przywykłem do sawann i dżungli, a nie do wiecznego zimna Północy, jak ty, Conanie. To, że odechciało mi się odmrażać swoje rodowe klejnoty, było jednym z powodów, dla których znudziły mi się turańskie zimy. Poza tym, kiedy podążyłeś na Zachód, skończyły się przygody. Zaprañałem jeszcze raz ujrzeć palmy i wyobrać pod krzewem hibiskusa jakąś tłustą czarną dziewczkę, dlatego zrzekłem się swojej rangi i wróciłem do czarnych królestw, by samemu zostać tu monarchą!

— Monarchą, co? — rzucił ironicznie Conan. — Królem czego? Nie widzę tu nic, z wyjątkiem zgrai dzikusów z gołymi tyłkami.

— Tym właśnie byli — filuterny uśmiech rozjaśnił hebanowe rysy Jumy. — Przynajmniej dopóki nie pojawił się Juma, by nauczyć ich cywilizowanej sztuki toczenia wojen — odwrócił głowę i powiedział do jednego ze swoich ludzi: — Rahisi! — Murzyni rozluźnili się i posiadali na piasku. Korsarze za plecami Conana postąpili podobnie, jednak nie spuszczaali z czarnych wojowników ostrożnych spojrzeń. Juma kontynuował: — Gdy wróciłem, zastałem swoje plemię w trakcie wojny z sąsiednim. Pokonaliśmy przeciwników i przyłączyliśmy ich ziemie do naszych, a ja zostałem wodzem. Potem pokonaliśmy jeszcze dwa plemiona, a mnie nadano tytuł króla. Teraz władam pięćdziesięcioma milami wybrzeża, a moje plemię jest na dobrej drodze do przekształcenia się w naród. Zamierzam nawet zbudować stolicę z prawdziwego zdarzenia, gdy tylko znajdę na to czas.

— Psiakrew! — powiedział Conan. — Nauczyłeś się więcej tej tak zwanej cywilizacji niż ja. Przynajmniej zostałeś możliwym tego świata. Gratuluję! Kiedy twoje osiłki wypadły na nas z krzaków, myślałem, że bogowie znudzili się grą nami i zamierzają zmieść planszę, by rozstawić na niej nowe figury. Wylądowaliśmy tu, by nabrać wody, ponieważ cisza morska

przez długi czas trzymała nas u brzegów przeklętej wyspy, pełnej węży i wędrujących posągów.

— Dostaniecie dość wody, by zatopić w niej wasz statek — obiecał Juma. — Kiedy załadujecie, czego wam potrzeba, musicie wszyscy wziąć udział w uczcie, jaką wydam dziś wieczorem w swojej wiosce. Zapewniam was, nie utrzymacie się na nogach! Zakończyliśmy właśnie pędzenie wina z bananów, które powinno zaspokoić nawet wasze pragnienie!

Tej nocy większość załogi Conana wylegiwała się na ratanowych matach w siedzibie Juma — wiosce Kulało. Na pokładzie „Szelmny” została jedynie straż. Wioska, a właściwie pokaźne miasteczko, składała się z potrójnego kręgu stożkowatych chat z bambusa otoczonych wysoką palisadą oraz zaroślami ciernistego krzewu borna.

Na placu na środku wioski wykopano spore zagłębienie i wypełniono je płonącym drewnem. Teraz na roznach piekły się ze skwierczeniem wołowina, wieprzowina i połcie antylop. Przekazywano sobie z ręki do ręki tykwy pełne słodkawego bananowego wina. Czarni muzycanci wygrywali na bębnach, fletach oraz miejscowej odmianie lir skomplikowane rytmy, młode Murzynki zaś, odziane tylko w sznury paciorków, tańczyły wśród pomarańczowych płomieni. Klaszcząc i śpiewając, wykonywały skomplikowane kroki taneczne, których nie powstydziliby się trupa cesarskich baletnic. Marynarze opychali się mięsiwem dzikich świń, kukurydzianymi plackami osłodzonymi syropem z sorga i stertami dojrzałych, soczystych owoców. Ludzie Sigurda przyłączyli się do uczujących korsarzy Conana. Serdeczna, hałaśliwa czarna kompania zafascynowała Argosańczyków. Przynajmniej tym razem barachańscy piraci i Zingarańczycy byli zbyt zajęci jedzeniem, pićm i zabawą, by warczeć na siebie. Niejedna pulchna, hebanowa kusicielka o słodkich oczach przykuła marynarskie spojrzenie i ścigana, z piskiem znikła w ciemnościach pobliskiej chaty po to, by pół godziny później wynurzyć się z niej pełna błógiego zaspokojenia.

Conan obawiał się, że mogą z tego wyniknąć kłopoty, bowiem korsarze przez wiele tygodni byli pozbawieni kobiecego towarzystwa. Ku swemu zdumieniu stwierdził jednak, że wojownikom Juma to najwidoczniej nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, pożyczanie własnych kobiet zdawali się traktować jako komplement, aczkolwiek gdy jakiś korsarz zaspokoił już swoje żądze, najczęściej spotykał na swojej drodze uśmiechniętego męża z wyciągniętą po prezent dłonią. Czując ulgę, że kwestia kobiet nie okaże się powodem zadrażnień, Conan pomyślał, że dzikość jako sposób na życie ma wiele zalet.

Siedząca między Conanem i Jumą księżniczka Chabela uznała jednak tego rodzaju zachowanie za zwierzące i odrażające, czemu dawała dobitnie wyraz. Podczas gdy Conan i czarny król opowiadali sobie nad głową księżniczki, jakie przygody spotkały ich od czasu tak odległego w czasie rozstania w Turanie, Chabela zimnym wzrokiem obrzucała figlujące w mroku sylwetki. Cymmerianin przyglądał się temu z rozbawieniem.

Conan obawiał się, czy Juma przypadkiem nie spodziewa się, iż w rewanżu za gościnność, księżniczka zostanie oddana na tę noc w jego objęcia. Wśród Kushytów był to podstawowy sposób okazania dobrych manier. Podczas gdy Cymmerianin usilnie zastanawiał się, jak wybrnąć z niezręcznego położenia, Juma dał mu do zrozumienia, że zna obyczaje cywilizowanych narodów na tyle dobrze, by rozumieć, że obowiązują w nich inne zasady i księżniczka jest bezpieczna.

— Na Croma! — Conan beknął. — To się nazywa życie, druhu! Nie potrafię czytać z gwiazd, by zorientować się, dokąd trafiłem, a na „Szelmie” nie było map ziem położonych tak daleko na południe. Już zaczynałem dochodzić do wniosku, że trafiłem do osławionego królestwa Amazonek! — Pociągnął jeszcze jeden łyk bananowego wina.

Juma spowaźniał.

— Prawdę mówiąc, jesteś w nim. Wojowniczkę z Gamburu, głównego miasta Amazonek, twierdzą, że ta część wybrzeża należy do nich, brak im jednak siły na poparcie swoich twierdzeń. Poza tym między ich a moimi ziemiami mieszkają jeszcze inne plemiona.

— Istotnie? Słyszałem, że Amazonki są piekielnie harde w walce. Dobrze, że nie było mi dane tego sprawdzić, ponieważ nie odpowiada mi zabijanie kobiet. Miałeś z nimi kłopoty?

— Trochę, na początku. Staram się nauczyć moich ludzi strzelać jak Turańczycy, ale to ciężka sprawa. — Juma potrząsnął smętnie głową. — Brak tu porządnego drewna na łuki, a moje byczki nie chcą mocować upierzenia do strzał. Stają okoniem i twierdzą, że tak strzelano, odkąd Damballah stworzył świat, zatem musi to być właściwy sposób. Czasem myślę, że łatwiej byłoby nauczyć zebreg grać na cytrze. Ale i tak mam teraz najlepiej wyszkolonych łuczników w Kush. Ostatnim razem, kiedy Amazonki próbowały przekroczyć nasze granice, naszpikowaliśmy parę z nich strzałami tak, że wyglądały jak jeżozwierze.

Conan roześmiał się, lecz natychmiast przyłożył dłoń do ogarniętej bólem skroni. Bananowe wino miało słodki, pozornie łagodny smak, lecz kryła się w nim piorunująca moc. Bełkocząc przeprosiny, Conan wstał, zataczając się i ruszył za najbliższą chatę, by sobie ulżyć. Wracając stwierdził, że dosyć tego jak na jeden wieczór. Dotarłszy do sterty mat obok siedzenia króla, podniósł z niej zwinięty koc, w którym kryła się Korona Kobry. Nie zostawił jej na „Szelmie”, ponieważ warte fortunę klejnoty mogły skusić nawet najwierniejszego z jego ludzi. Zbyt lubił swoich zuchów, by narażać ich na pokusy i później wieszać na rei. Mamrocząc życzenia dobrej nocy Sigurdowi, Zeltranowi, Jumie i naburmuszonej księżniczce, ruszył chwiejnym krokiem do ofiarowanej mu przez króla chaty. Wkrótce chrapał jak grom.

Pijany Conan nie dostrzegł wrogich spojrzeń, rzucanych mu przez jednego z wojowników Jumy, krępego Murzyna imieniem Bwatu — tego, który chciał przebić Cymmerianina włócznią, nim powalił go czarny król. Cios ten był dla Bwatu palącą urazą. Zajmujący ważne miejsce w radzie plemienia Bwatu uznał, iż powalenie go jak zwykłego chłystka stanowi dlań wielkie upokorzenie. Przez cały czas trwania uczty nie spuszczał wzroku z Cymmerianina. Spojrzenie Murzyna wędrowało co chwila ku zawiniątku u stóp Conana. Troska, którą kapitan korsarzy obdarzał tobołek, dowodziła, że znajduje się tam coś wartościowego.

Bwatu pilnie przypatrzył się, do której chaty Conan udał się na spoczynek. Uczta ciągnęła się dalej w blasku księżyca tropików, czarny wojownik zaś dźwignął się chwiejnie na nogi — chociaż był zupełnie trzeźwy — i zanurzył w ciemność. Gdy tylko zniknął uczującym z oczu, zawrócił na pogrążoną w atramentowym mroku alejkę między chatami. Przypadkowy promień księżyca załśnił na ostrej stali jego sztyletu. Broń tę Bwatu dopiero co otrzymał od jednego z żeglarzy w zamian za uciechy zaznane z jedną z jego żon.

Daleko na północ, w oazie Khajar w Stygii, pogrążony w transie Thoth–Amon przez wiele godzin poszukiwał magicznego śladu, wskazującego gdzie znajduje się cenna relikwia węzowego ludu. Menkara i Zaronno spali w pokojach oddalonych od pracowni czarnoksiężnika, Thoth–Amon zaś w końcu zdał sobie sprawę z beznadziejności dalszych poszukiwań. Mag ocknął się, ale siedział nadal w bezruchu, utkwivszy przed sobą zadumane, zimne spojrzenie czarnych oczu.

W wielkiej kryształowej kuli, która nie tknięta żadną dłonią wisiała w powietrzu przed tronem czarnoksiężnika, migotały płynne cienie. Mętne, chybotliwa poświata, rzucona przez ukazujące się w jej wnętrzu obrazy, kreśliła trzepoczące cienie na pokrytych płaskorzeźbami ścianach komnaty.

Thoth–Amon zdołał stwierdzić, że Korona Kobry nie znajduje się już w pradawnej kryjówce pod cokołem posągu ropuszego boga Tsathoggui. Korona mogła opuścić Bezimienną Wyspę na statku, który za sprawą przypadku lub też celowo przybił do jej brzegu. Moc kryształowej kuli pozwoliła Thoth–Amonowi przeszukać wyspę piędź po piędzi. Nie tylko korona zniknęła. Wyspa była znów całkowicie bezludna. Nie było na niej

zingarańskiej księżniczki, o której ucieczce z pokładu „Petrela” dowiedział się od Zarona. Zniknięcie korony i księżniczki oraz zniszczenie kamiennego idola wskazywały na obecność kogoś obcego.

W komnacie panowała nieprzerwana cisza. Chwiejne cienie padały na ściany i siedzącą na tronie postać, tak nieruchomą, jakby i ją wyrzeźbiono z kamienia.

ROZDZIAŁ 11 SIEĆ PRZEZNACZENIA

Rzadko udawało się zaskoczyć we śnie Conana z Cymmerii, jednak tak właśnie stało się tym razem. Uderzający do głowy trunek o łagodnym smaku sprawił, że barbarzyńca pogrążył się w głębokim śnie, z którego wyrwało go poniewczasie uczucie zagrożenia. Conan powoli odzyskał świadomość, niejasno zdając sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Przez chwilę nie potrafił uprzytomnić sobie, co wyrwało go ze snu.

Wreszcie zrozumiał. W splecionych trzcinach, z których wykonano ściany chaty, widniało szerokie rozcięcie, ciągnące się od ziemi na wysokość głowy dorosłego mężczyzny. Wpadało przez nie nocne powietrze, studzące spocone ciało śpiącego Cymmerianina.

Conan sięgnął po zawiniątko, które położył obok siebie, po czym z przekleństwem zerwał się na równe nogi i rozejrzał po pogrążonej w ciemnościach chacie. Korona Kobry zniknęła. W sercu barbarzyńcy wezbrał szkarłatny gniew. Wściekły ryk wstrząsnął ścianami chaty i Conan, wyrwawszy z pochwy kord, wypadł na zewnątrz, miotając siarczyste przekleństwa.

Ci z wojowników, którzy jeszcze trzymali się na nogach, uctowali dalej. Olbrzymie ognisko dopalało się. Nad kiwającymi się palmami płonęły gwiazdy przypominające grona klejnotów, pomiędzy nimi lśniła tarcza zbliżającego się do pełni księżyca. Wśród tych, którzy jeszcze nie spali,

Conan wypatrzył Jumą i Sigurda. Jego krzyk sprawił, że pędem dołączyli do niego. Spiesznie opowiedział im, co się stało. Ponieważ korona stanowiła jedyny godny uwagi łup, jaki udało się zdobyć w czasie wyprawy, jego strata wzbudziła w Conanie niepohamowaną wściekłość.

Doliczono się wszystkich korsarzy, chociaż niewielu było jeszcze przytomnych. Szybkie sprawdzenie Kulało ujawniło jednak, że brak jednego z członków plemienia.

— Bwatu! Niech Damballah spali jego szpetną duszę! — Juma o mało nie udławił się z gniewu. Był wściekły, że jeden z jego ziomków zhańbił się obrabowaniem gościa.

— Znasz tego czarnego psa?! — zagrział Conan. Był tak rozgniewany, że nie baczył na swoje słowa. Juma jedynie skinął posępnie głową i opisał winowajcę.

— Ten sam ponury pokurcz, którego powaliłeś na ziemię na plaży? — zapytał z naciskiem Conan.

— Tak. Podejrzewam, że nosił w sercu urazę.

— Albo wypatrzył skarb w zawiniątku! — skomentował Sigurd. — Co mamy robić? Gdzie mógł się ukryć ten łotr, królu? Na trzewia Arymana i ogniste pazury Sheitana, musimy ruszać w pościg, zanim bardziej się od nas odsądzi!

— Najprawdopodobniej ruszył ku ziemiom naszych wrogów, plemienia Matamba. — Juma wskazał na północny wschód. — Idąc na północ Bwatu mógłby wpaść w łapy ghanackich łowców niewolników, którzy ostatnio zaczęli się szarogęsić w tych stronach. Z drugiej strony nie mógł podążyć daleko na południowy wschód, bowiem tam...

Conan nie był w stanie stać beczynnym, gdy Juma spokojnie rozważał możliwe drogi ucieczki Bwaty, a bezcenny skarb z każdą chwilą oddalał się w mrok nocy. Cymmerianin przerwał raptownie dywagacje króla.

— Myśl całą noc, jeśli masz ochotę, ale najpierw wskaż mi drogę do tych Matamba! — burknął.

— Droga za rozwidleniem przy Wschodniej Bramie. Szlak poprowadzi was na północny wschód...

Nie czekając na resztę wskazówek, Conan ruszył biegiem do swojej chaty. Po drodze przystanął, chwycił sagan z wodą i wylał ją sobie na głowę. Ruszył dalej, prychnąwszy jak wyrzucony na brzeg morski potwór, jednak ból przestał łomotać mu w skroniach i Cymmerianin odzyskał zdolność trzeźwego myślenia. Przetarłszy dłońmi oczy, dostrzegł księżniczkę Chabelę, która owinięta w koc przyglądała się mu z wejścia swojej chaty.

— Kapitanie! — zawołała. — Co się stało? Osada została napadnięta?!

— Nic takiego, dziewczyno. — Conan potrząsnął głową. — Skradziono mi tylko diamenty bajecznej wartości, gdy chrapałem jak — wieprz. Wracaj spać, ale to natychmiast!

Do Conana dołączył zdyszany Sigurd.

— Lwie! — powiedział. — Juma i jego starszyzna próbują pobudzić najszybszych biegaczy spośród wojowników. Nie wypuszczaj się sam w tę dżunglę. Bogowie jedni wiedzą, jakie drapieżne bestie w niej mieszkają. Zaczekaj na Jumą...

— Niech was wszystkich piekło pochłonie! — prychnął Conan. Jego oczy błyszczały jak ślepia polującego drapieżnika. — Ruszam za Bwatu, nim ostygnie jego ślad i niech Crom się zmiłuje nad dzikimi zwierzami, które wejdą mi w drogę!

Powiedziawszy to, ruszył w pościg. Przebiegł przez Wschodnią Bramę jak szarżujący bawół i zniknął z oczu.

— Przeklęty cymmeriański charakter! — zaklął Sigurd, po czym rzucił przeproszające spojrzenie księżniczce i rzucił się w ciemność za swoim towarzyszem, wołając: — Conanie, zaczekaj! Nie powinieneś zapuszczać się samotnie w dżunglę!

W osadzie zapanował zamęt. Juma i starszyzna wojowników krążyła między śpiącymi, budząc ich kopniakami, zrywając na równe nogi i wykrzykując rozkazy. W zamieszaniu nikt nie zauważył, że księżniczka Chabela wślizgnęła się do chaty, by wdziać prosty marynarski strój. W bryczesach i wysokich butach, uzbrojona, wyslizgnęła się z powrotem i ruszyła w stronę Wschodniej Bramy.

— Jeśli ten pijany osioł myśli, że może rozkazywać księżniczce rodu Ramiro... — wyszeptała gniewnie do siebie.

Oprócz irytacji wywołanej arogancją Conana istniał jednak inny, ważniejszy powód, dla którego wymknęła się z Kulało i ruszyła za Cymmerianinem. Mimo szorstkości charakteru, Conan traktował ją dobrze i zapewniał jej należyłą ochronę. Uznała, że obiecując jej bezpieczny powrót na dwór ojca, mówił szczerze. Dlatego też Chabela czuła, że może mu ufać znacznie bardziej niż jego korsarskiej załodze czy hordzie czarnych barbarzyńców Jumy. Przekonana, że przy nim będzie bezpieczniejsza, zanurzyła się w dżunglę, w której mroku rozbrzmiało echo ryku polującego lamparta.

W ciągu następnych kilku godzin Conan pokonał biegiem wiele mil traktu, prowadzącego do ziem plemienia Matamba. Sigurd pozostał daleko w tyle. Gdy Cymmerianin zatrzymał się, by złapać dech, zastanowił się, czy nie poczekać na swojego kompana, jednak myśl, że każda chwila odpoczynku pozwala przebiegłemu Kushycie odwlec moment czekającej go zemsty sprawiła, że Conan z odnowionym wigorem zaczął biec dalej.

Cymmerianin znał dobrze kushyckie dżungle z okresu, gdy dziesięć lat wcześniej był wodzem mieszkającego dalej na północ plemienia Bamula. Mniej doświadczony mężczyzna pomyślałby zapewne, że wyruszenie w środku nocy w gąszcz dżungli oznacza rzucenie się wprost w paszczę niebezpieczeństwa, Conan jednak wiedział, że jest inaczej. Wielkie koty, na przykład, są przebiegłymi myśliwymi, lecz niespecjalnie odważnymi. Dorosłego człowieka mogły zaatakować wyłącznie osobniki wygłodzone lub zbyt stare i powolne, by poradzić sobie z bardziej chyżą zdobyczą. Sam hałas, jaki czynił pędzący Conan, stanowił najlepszą gwarancję jego bezpieczeństwa. W dżungli mieszkają wszakże również inne zwierzęta,

czasem o wiele niebezpieczniejsze niż wielkie koty: zwałiste goryle, krępe bawoły, niezgrabne nosorożce i gigantyczne słonie. Te jednak zazwyczaj omijały ludzi szerokim łukiem. Mogły zaatakować wyłącznie wtedy, jeśli zostały wystraszone lub zapędzone w pułapkę. Na szczęście Conan nie napotkał przedstawicieli tych gatunków podczas pościgu za Bwatu.

Gdy niebo przejaśniało się przed nadejściem świtu, Cymmerianin padł na ziemię, by napić się z wodopoju i zmyć pot z piersi i ramion. Ciernie i kolce postrzępiły jego białą koszulę i pokryły skórę szkarłatnymi zadrapaniami. Gdy ochlapał się wodą, zaczęła z niego ściekać mieszanina błota, krwi i potu. Z przekleństwem przetarł oczy grzbietem dłoni.

Chwilę odpoczywał, po czym mamrocząc pod nosem przekleństwa, podniósł się i ruszył dalej, pokładając wiarę w swojej żelaznej sile. Wiele razy podczas długich, pełnych przygód lat wystawiał na szwank swoją wytrzymałość. Wiedział, że jest silniejszy od pospolitych śmiertelników, a może nawet najsilniejszy ze wszystkich żyjących ludzi.

Wstające nad kushycką dżunglą słońce sprawiło, że podniosły się gęste, lepkie opary. Odurzone dusznym powietrzem wielkie koty udały się na spoczynek z pełnymi lub pustymi, zależnie od szczęścia i przebiegłości, brzuchami, by przespać wstający upalny dzień.

W świetle wędrującego w górę słońca Conan widział tam, gdzie ścieżkę pokrywało błoto, świeże odciski długich bosych stóp o szeroko rozstawionych palcach. Był pewien, że to trop uciekającego Bwatu. Większość ludzi pokonawszy dystans, który Cymmerianin miał już za sobą, padłaby z wyczerpania, ale widok odcisków stóp dodał Conanowi jedynie nowych sił.

Chabela wkrótce pożałowała, że uległszy nierozsądnemu impulsowi, podążyła za Cymmerianinem. Nie wiedząc, że księżniczka ruszyła za nimi, Conan i Sigurd szybko zostawili ją daleko w tyle. Gdy ścieżka zakreśliła w gąszcz, Chabela wkrótce całkowicie straciła orientację. Po zachodzie księżyca w dżungli zrobiło się czarno jak w beczce ze smołą. Spod koron drzew Chabela nie widziała gwiazd, które pozwoliłyby jej zorientować się w stronach świata. Zataczała bezradnie koła, wpadała na drzewa oraz potykała się o korzenie i zarośla.

Ciemność rozbrzmiewała skrzypieniem, brzęczeniem i potrzaskiwaniem nocnych owadów. Chabela bała się dzikich zwierząt, ale na szczęście nie zobaczyła żadnego z nich. Jednak od czasu do czasu odgłos przebijającego się przez zarośla wielkiego cielska sprawiał, że serce podchodziło jej do gardła.

Przed świtem umęczona, dygocząca ze strachu i wyczerpania dziewczyna osunęła się na mech pokrywający niewielką polankę. Co jej strzeliło do głowy, by jak głupia pogonić w ten labirynt bez wyjścia? Znużona do szpiku kości Chabela szybko zapadła w sen.

Obudziła się ze zgrozą, gdy silne ramiona zamknęły ją w uścisku i dźwignęły na nogi. Otaczali ją chudzi Murzyni w postrzępionych szatach i turbanach. Związali jej ręce za plecami i stłumili kneblem jej krzyki.

Późnym rankiem stało się to, w co Conan nie wątpił: znalazł Bwatu. Murzyn nie był jednak w stanie zwrócić korsarzowi zrabowanej korony. Był martwy i miał puste ręce.

Zdradziecki poddany Jummy leżał na ścieżce w kałuży krwi twarzą ku ziemi. Porąbano go na kawałki. Conan przykucnął nad trupem i przyjrzał się ranom. Wyglądało na to, że zadały je ostrza stalowych mieczy, a nie wykonane z brązu lub krzemienia topory tubylców. Spiżowa i kamienna broń łatwo się szczyrbi, co sprawia, że zazwyczaj zadaje szarpane rany, a ciało Bwatu pokryte było cięciami o równych brzegach, charakterystycznych dla dobrze naostrzonej stali. Czarne plemiona z kushyckiej dżungli nie znały sztuki wytopu i kucia rud żelaza, dlatego też żelazna broń stanowiła rzadkość tak daleko na południu. Trafiała tu jedynie za pośrednictwem handlarzy z bardziej cywilizowanych państw, znajdujących się na północ: właściwego królestwa Kush, Darfaru i Keshanu.

Conan pomyślał, że być może czarne Amazonki usiekły złodzieja i zabrały koronę, pozbawiając Cymmerianina jego własności i zemsty. Gdy podnosił się znad trupa z obnażonymi w gniewie zębami, z konarów górujących nad nim drzew spadła sieć. Jej grube linki obciążone ołowiem unieruchomiły ręce Cymmerianina. Z gniewnymi krzykami Conan próbował oderwać ramiona od boków i usiłował rozciąć sieć swoim kordem, jednak ta ustępowała pod jego naporem po to tylko, by za moment tym ciaśniej go skrępować. Tłumiła siłę jego ciosów niczym jakaś upiorna pajęczyna. W końcu Conan osunął się na ziemię, nie będąc w stanie utrzymać się na nogach. Murzyni w długich szatach i turbanach, którzy zastawili pułapkę, podnieśli się z kryjówek koło ścieżki. Spokojnie, jak wykonujący swoje obowiązki urzędnicy, ściągnęli linki sieci, która otoczyła Conana jak kokon gigantycznej gąsienicy. Paru innych ciosami pałek szybko pozbawiło jeńca przytomności.

Ostatnią myślą osuwającego się w ciemność Cymmerianina było, że jest skończonym, zapijaczonym durniem. Oto on, stary wojownik dał się złapać w prymitywną pułapkę na leśne świnię. Było jednak za późno na wyrzuty...

ROZDZIAŁ 12 GRÓD WOJOWNICZEK

W oazie Khajar panowała smolista noc. Nad pustynią zawisła gruba powłoka chmur zasłaniając księżyc. Jego blask przesączał się przez obłoki jedynie jako słaba, szara poświata.

W sali tronowej Thoth–Amona również panowała ciemność. Zielone płomyki pochodni przypominały światełka robaczek świętojańskich. Stygijski czarnoksiężnik siedział na tronie tak nieruchomo, że zdawał się martwy. Gdyby ktokolwiek znalazł się w sali tronowej, zauważyłby, że pierś Thoth–Amona nie podnosi się. Posępne oblicze czarnoksiężnika przybrało wyraz martwej maski. Wydawało się, że to ciało jest nie zamieszkane.

I tak było rzeczywiście. Nie zdoławszy odnaleźć śladów Korony Kobry na płaszczyźnie astralnej, Thoth–Amon uwolnił swoje ka z więzienia ciała i wysłał je do najwyższego królestwa akaszy. W tej niematerialnej domenie ducha nie obowiązywały prawa czasu. Przeszłość, terażniejszość, a nawet możliwości przyszłości ukazały się jak czterowymiarowa mapa przed wzrokiem adepta magii. Tutaj duch Thoth–Amona obejrzał przybycie „Szelmy”, wyjście Conana na łód Bezimiennej Wyspy, przebudzenie ropuszego boga i jego zagładę, znalezienie Korony Kobry oraz odpłynięcie Cymmerianina w stronę Czarnego Wybrzeża. Prześledziwszy te wydarzenia, Thoth–Amon pozwolił swojemu ka powrócić w niższe obszary bytu. Ciało astralne musiało tego dokonać, w przeciwnym razie utraciłoby więź z materialnym.

Po powrocie w ziemską powłokę Thoth–Amon doświadczył przenikliwego mrowienia, gdy ożywało ciało pozbawione przez pewien czas gospodarza. Przypominało to „ciarki” ogarniające kończynę, do której ustał dopływ krwi, jednak w przypadku czarnoksiężnika doznanie to przenikało do głębi całą jego istotę. Thoth–Amon cierpliwie zniósł ból, po czym zawołał:

— Zarono! Menkara!

Jego głos przetoczył się jak grom po pałacowych kryptach.

— Co jest? — stęknął Zaron. Dopiął na sobie kaftan, po czym ziewnął i przetarł oczy. — O co chodzi, panie? — zwrócił się z większym szacunkiem. Za korsarzem do środka wślizgnął się bezszelestnie Menkara.

— Przygotuj się do natychmiastowej wyprawy na Czarne Wybrzeże. Wiem już, gdzie znajduje się w tej chwili Korona Kobry i księżniczka Chabela. Są w Kulało, stolicy kushyckiego państewka niejakiego Jumy.

— Jak się tam dostali? — spytał Zaron.

— Twój współnik w łajdackim rzemiośle, Conan z Cymmerii, zabrał...

— Przeklęty barbarzyńca! — warknął Zaron. — Już ja mu...

— Gdy go odnajdziesz, możesz zrobić z nim, co zechcesz. Nie mam powodów darzyć go sympatią, bo niejednokrotnie wszedł mi w drogę w czasie swoich wędrówek. Jednak przede wszystkim musisz odzyskać księżniczkę. Nawet ja nie potrafię zawładnąć jej umysłem z takiej odległości.

— A Korona?

— Możesz ją zostawić mnie.

— Udasz się z nami, panie?

— Nie. — Thoth–Amon uśmiechnął się bezbarwnie. — Dotrę tam, ale nie we własnym ciele. Będę jednak w Kulalo przed wami. Nie marnujcie czasu. O wschodzie słońca ma was tu nie być.

Conan był w podłym nastroju. Bolała go głowa zarówno od ciosów, jak i od nadużycia bananowego trunku Jumy. Co więcej, był bezbronnym jeńcem w rękach handlarzy niewolników. Aczkolwiek przytrafiło się to już Conanowi parokrotnie, zawsze jednak niewola wprawiała go w stan zwierzęcej furii.

Sądząc po kącie padania przebijających się przez korony drzew promieni słońca, minęło kilka godzin. Conan po otarciach i zadrapaniach na swoim ciele stwierdził, że na polankę, na której teraz się znajdował, zawleczono go za nogi. Jego nadgarstki pętały solidne kajdany. Rozejrzał się spod splątanej grzywy, notując w myślach liczbę, rozstawienie i wartość strażników.

Z równowagi wytrącił go widok skulonej między grupką Murzynek poblądłej Chabeli. Nie miał pojęcia, w jaki sposób została schwytana. Wśród jeńców nie widział Sigurda. Można to było uznać za dobry znak lub wręcz przeciwnie.

Na środek polany wjechał stępa na chudej klaczy wysoki Murzyn w szarych szatach. Podobnie jak reszta handlarzy niewolników miał czarną skórę, jednak w odróżnieniu od nich był szczupły i żyłasty, o rysach ostrzejszych niż było to regułą pośród zamieszkujących dżunglę plemion. Conan domyślił się, że łowcy niewolników to Ghanaci, o których słyszał od Jumy. Było to koczownicze murzyńskie plemię, zamieszkujące pustynię na południowych obrzeżach Stygii.

Podczas gdy shemiccy i stygijscy handlarze niewolników łapali Ghanatów oraz mieszkańców Kush i Darfaru, Ghanaci z kolei wyprawiali się dalej na południe, w równikowe dżungle.

Nowo przybyły ściągnął wodze i zamienił kilka słów z przywódcą grupy, która schwytała Conana. Łowca niewolników odwrócił się i strzelając z bicza, rozkazał zebrać jeńców.

Więźniów ustawiono w podwójny szereg i połączono łańcuchem ich kajdany, tak by nikt nie mógł się uwolnić od reszty. Gigantyczny, toczący wokół lwim spojrzeniem Cymmerianin górował nad otaczającymi go Murzynami. Siedzący na koniu handlarz powiódł po nowej partii towaru zimnym, pełnym pogardy wzrokiem.

— Na Zambi! — mruknął i splunął. — Za tę bandę nie dostaniemy w Gamburu nawet garści muszelek kauri!

— Tak jest, dostojny Mbonani — przytaknął jego podwładny. — Wydaje się mi, że to plemię staje się z roku na rok coraz węższe. Pewnie brak w nim dobrych okazów rozplodowych...

W tym momencie jeden z poganiaczy niewolników uderzył Conana biczem po stopach. Gdy rzemień musnął jego skórę, Cymmerianin zareagował natychmiast. Chwycił bicz w skute dłonie i pociągnął go ku sobie z całych sił. Straciwszy równowagę, poganiacz rozciągnął się u stóp Conana. Gramoląc się z przekleństwami z ziemi, wyciągnął do połowy z pochwy ciężki i ostry jak brzytwa ghanacki nóż. Jednak nim zdążył wydobyć go całkowicie, barbarzyńca kopnął Ghanatę w twarz, ponownie powalając na ziemię. Conan nachylił się i przewracając

niewolnika za sobą, chwycił rękojeść noża. W jego stronę rzucił się drugi poganiacz, by rozwalić mu czaszkę uniesionym toporem. Nim zdążył zadać cios. Conan wbił nóż po rękojeść w jego brzuch. Ostrze wyszło na szerokość dłoni z grzbietu mężczyzny tuż nad nerkami. Poganiacz zbladł, zagulgotał i runął na ziemię.

Niewolnicy i Ghanaci zaczęli opętańczo wrzeszczeć. Skuty Conan nie miał szans uwolnić się, jednak do unieruchomienia go potrzeba było pięciu mężczyzn. Trzech następnych zaczęło tłuc go pałkami po głowie tak, iż Cymmerianin ponownie osunął się nieprzytomny na ziemię.

Uspokajając wystraszoną klacz, Mbonani przyglądał się zimno piorunującemu atakowi Conana.

— Cóż, przynajmniej w jednym z nich kołacze się duch — mruknął. — Do tego to biały. Ciekawe, co tu robił?

— Wspominałem o nim wcześniej — powiedział jego zastępca. — Mamy też białą kobietę — tę tam, panie.

Mbonani obrzucił ją oceniającym spojrzeniem.

— Dwie najlepsze sztuki w partii. — Orzekł. — Traktuj je dobrze, Zuru, jeśli nie chcesz zaznać mojego gniewu.

Herszt łowców niewolników podjechał do dźwigającego się z ziemi Conana, którego twarz ociekała krwią. Gdy Conan podniósł na Mbonaniego spojrzenie zalewanych krwią oczu, ten wymierzył mu cios batem.

— To za zabicie mojego człowieka, biały psie! — warknął.

Conan nie krzyknął ani nawet nie skrzywił się. Przyglądał się handlarzowi niewolników zimnym, pełnym niepoohamowanej wrogości wzrokiem. Mbonani wykrzywił usta w wilczym uśmiechu, obnażając białe zęby.

— Podoba mi się twoja hardość, biały człowieku — powiedział. — Jeśli ją zachowasz, Amazonki zapłacą za ciebie dobrą cenę. Ruszamy!

Eskortowany przez bandę poganiaczy podwójny szereg jeńców ruszył ze szczękiem kajdan duktem do Gamburu.

Conan maszerował razem z pozostałymi niewolnikami. Jego stalowe siły pozwalały mu znosić upał, pragnienie, dokuczliwe muchy i piekące słońce. Zastanawiał się, co stało się z Koroną Kobry. W pewnej chwili zauważył charakterystyczne wybrzuszenie jednego z juków przy siodle Zuru. Oczy Conana zabłyśły posępnym zadowoleniem. Chociaż pomagier herszta łowców niewolników płaszczył się przed swoim panem, to najwyraźniej nie był pozbawiony własnych ambicji.

Poganiacze wyprowadzili jeńców z dżungli na trawiaste stopy. Następnego dnia późnym popołudniem w promieniach zniżającego się słońca na horyzoncie ukazały się kamienne budowle Gamburu.

Conan bacznie przyglądał się miastu. W porównaniu z wystawnym Aghrapur, stolicą Turanu, czy nawet z Meroe, siedzibą króla Kush, Gamburu nie imponowało. Jednak w krainie, gdzie domy miały przeważnie postać krytych strzechą, przysadzistych cylindrów z wysuszonego mułu, mogło uchodzić za metropolię. Miasto otaczał niski mur z ułożonych bez zaprawy kamiennych bloków, mniej więcej dwukrotnie wyższy od dorosłego człowieka. Krąg murów przerywały cztery bramy z wieżami strażniczymi, po dwie na każdą. W ścianach wież znajdowały się szczeliny dla łuczników. Skrzydła wrót wykonano z potężnych drewnianych kłód.

Conan zanotował sobie w pamięci architekturę kamiennych bram. Częściowo zbudowano je ze zwykłych polnych głazów, ociosanych z grubsza, by pasowały do pozostałych, lecz inne kamienie, wyglądające na bardzo stare, były obrobione bardzo starannie. Gdy Mbonani wprowadził przez zachodnią bramę szczękającą kajdanami kolumnę, Conan spostrzegł, że podobna dwoistość cechuje także miejskie budowle. Większość stanowiły kryte strzechą,

dwukondygnacyjne domy. Partery przeważnie wybudowano ze starych, równo obrobionych kamieni, podczas gdy kamieniarka piętér była nowsza i prymitywniejsza. Powierzchnie niektórych ze starych kamieni pokrywały fragmenty płaskorzeźb, przedstawiających zmarszczone, demoniczne twarze. Równie często, jak w prawidłowej pozycji, osadzono je w murach bokiem lub do góry nogami.

Conan doszedł do wniosku, że miasto to wybudował jakiś pradawny, być może przedludzki lud. Stulecia później gród odziedziczyli jego obecni mieszkańcy. Przebudowując stare budynki i stawiając nowe, wykorzystano powtórnie szczątki dawnych gmachów, nieumiejętnie naśladowując kunszt poprzedników.

Na pozbawionych bruku ulicach kopyta klaczy Mbonaniego wzbijały obłoczki kurzu. Posuwając się naprzód, Conan nieustannie rzucał spojrzenia na boki. Szybko zauważył, że wśród mieszkańców miasta role obu płci były odwrócone. Wysokie, władcze kobiety, strojne w sznury paciorków, bransolety oraz wetknięte w pióra włosy i toczone z lwiej skóry, stąpały dumnie jak wielkie czarne pantery. O ich obnażone uda klaskały spiżowe miecze. Mężczyźni zaś — zbieranina zaniedbanych, smętnych Murzynów, o pół głowy niższych od kobiet — zajmowali się tak niegodnymi zajęciami, jak zamiatanie ulic i robienie zakupów.

Kolumna dotarła do bazaru, potem, gdy niewolnicy minęli targowisko, poprowadzono ich szeroką aleją na centralny plac miasta. Do kwadratu otwartego terenu o boku długości strzału z łuku, przylegał pałac królewski — wiekowa, lecz wciąż imponująca budowla z czerwonego piaskowca. Po obu stronach pałacowej bramy wznosiły się masywne, przysadziste figury z tego samego kamienia. Ząb czasu tak bardzo nadgryzł posągi, że tylko po proporcjach przedstawionych postaci można było stwierdzić, iż nie są to ludzie. Być może figury przedstawiały sowy lub małpy, lub też jakieś nieznanne potwory przedludzkiej ery.

Uwagę Conana przykuło osobliwe zagłębienie w środku placu. Płytki dół o średnicy trzydziestu kroków obramowany był szeregiem koncentrycznych stopni, przypominających rzędy kamiennych ław amfiteatru. Spód zagłębienia wysypany był piaskiem i w środku rosła kępa osobliwych drzew.

Conan jeszcze nigdy podczas swoich podróży nie widział podobnej areny. Dane mu było rzucić na nią okiem tylko przelotnie, ponieważ pogoniono go wraz z pozostałymi więźniami do zagrody dla niewolników, gdzie spędzili noc pod silną strażą. Jedno spojrzenie wystarczyło jednak, by Cymmerianin dostrzegł niepokojący szczegół. Wokół pnia jednego z dziwnych drzew białaty rozrzucone na żółto-brązowym piasku gołe kości. Bez wątpienia ludzkie...

Conan rozmyślał nad tym faktem siedząc w zagrodzie dla niewolników. Wiedział, że Argosańczycy z Messancji rzucali czasem zbrodniarzy na pożarcie lwom, jednak z niecki na środku centralnego placu Gamburu lew bez trudu skoczyłby na ławy dla widzów. Zagłębienie było dla lwów za płytkie.

Im dłużej Conan rozmyślał nad tym widokiem, tym większy czuł niepokój.

ROZDZIAŁ 13

KRÓLOWA AMAZONEK

Pomarańczowy płomień świtu rozgorzał nad przysadzistymi wieżami miasta Amazonek. Zjawisko to nie trwało długo, ponieważ w tropikach słońce wznosiło się nad horyzont prawie prostopadle. Z nadejściem świtu Conana, Chabelę i innych niewolników wygnano z zagrody i popędzono na targowisko. Tam jednego po drugim rozdiewa — no ich i prowadzono na podest, by zaprezentować kupującym. Po zaciętych targach nabytych niewolników odprowadzano na bok.

Kupującymi były same kobiety. Wysoki, szczupły Mbonani stał z boku. Z twarzą zastygłą w obojętnym wyrazie przyglądał się, jak nabywczyni targują się z jego zastępcą Zuru.

Kiedy nadeszła kolej Chabeli, spłoszona dziewczyna usiłowała zakryć dłońmi swoją nagość. Zuru zmusił ją do zwrócenia twarzą do kupujących i zaczął przyjmować oferty.

— Pięć piór! — padła oferta z zasłoniętej woalami lektyki.

Zuru rozejrzył się po tłumie Gamburuwianek. Gdy nie odezwał się nikt inny, powiedział:

— Sprzedana!

Conan zrozumiał wymianę zdań, ponieważ mówiono wykoślawioną odmianą stygijskiego, używaną w królestwach na południe od Kush w roli języka handlowego. Był zaskoczony, że tak niska oferta nie została przebita. Jednostką monetarną w Gamburu było ustalonej długości pióro wypełnione złotym proszkiem. W krainie Amazoнок nie nauczono się jeszcze bicia monet. Mimo to Conan był zdziwiony, że taka arystokratyczna piękność jak Chabela nie uzyskała wyższej ceny. Kobieta w lektyce musiała być kimś ważnym, skoro nikt nie próbował przebić jej oferty.

Ponad wszystko jednak Conan był zmęczony, głodny i wściekły. Został tak pobity pałkami, że jego ciemną pokrywały guzy i sińce. Zmuszono go do marszu w palącym słońcu, nie dano mu dostatecznie najeść się, napić i wyspać, co sprawiało, że był rozdrażniony jak lew z bolącym zębem. Dlatego też, gdy jeden z poganiaczy niewolników szarpnął za łańcuch, by wprowadzić go na podest, o mało nie rzucił się do furiackiego ataku. Na szczęście udało się mu pohamować resztką sił. Kilka lat wcześniej bez wątpienia wdałby się w śmiertcioną bójkę z łowcą niewolników, nie zważając na konsekwencje. Jednak doświadczenie nakazało mu powstrzymać nierozsądny impuls. Bez wątpienia zdołałby zabić tego strażnika, może nawet paru innych, lecz znajdował się na z góry straconej pozycji. Jego przeciwnicy byli zahartowanymi łotrami, mającymi do czynienia z wieloma niepokornymi niewolnikami. Wystarczyłoby, by jeden z nich cisnął w Conana oszczepem. Kto wtedy zatroszczyłby się o Chabelę? Decydując się na walkę po jej stronie, przyjął, co przyznawał z niechęcią nawet przed samym sobą, dużą odpowiedzialność. Musiał pozostać przy życiu.

Jego oczy zwężyły się w szparki, a usta zacisnęły w cienką kreskę. Krew łomotała mu w skroniach z tłumionej furii. Kiedy prowadzono go na pomost, kończyny zdrząły mu z wysiłku, który podjął, by zapanować nad sobą. Stojący w pobliżu łowca niewolników błędnie przyjął to za oznakę strachu i tej treści komentarz szepnął z uśmiechem do ucha swojego współnika. Conan posłał mu twarde, nieugięte spojrzenie, które starło Murzynowi uśmiech z twarzy.

— Rozbieraj się! — warknął Zuru.

— Musisz mi pomóc zdjąć buty — powiedział spokojnie Conan. — Stopy opuchły mi od długiego marszu.

Usiadł na drewnianym kłocu i wyciągnął nogę. Zuru z niechętnym pomrukiem chwycił wysoki but i przez chwilę mocował się z nim daremnie. Conan nieznacznie oparł drugą stopę o plecy handlarza niewolników i wyprostował nogę. Zuru poleciał do przodu jak wystrzelony z katapulty i runął twarzą w kałużę. Poderwał się z ziemi z okrzykiem gniewu i wyrwijąc bicz z dłoni jednego z poganiaczy, rzucił się ku Conanowi siedzącemu na kłocu z niewinnym uśmiechem na ponurej twarzy.

— Ja cię nauczę, ty... ty biały psie...! — ryknął z furją, zamierzając się pejcem. Bicz ze skóry hipopotama pomknął ku Cymmerianinowi, który błyskawicznym ruchem schwycił go w garść i nie wstając, szarpnął ku sobie, zmuszając Zuru padnięcia na kolana.

— Uważaj, kurduplu! — warknął. — Nie chcesz chyba uszkodzić towaru, prawda?

Przyglądający się temu wszystkiemu Mbonani z trudem ukrył uśmiech.

— Biały pies ma rację, Zuru — powiedział. — Niech jego nowa pani uczy go manier, nie ty.

Zuru jednak był tak zaślepiony gniewem, że nie zważał na jego słowa. Z nieartykułowanym okrzykiem wyciągnął nóż. Conan podniósł się, zbierając w garści luźny odcinek łańcucha.

— Przestańcie! — zabrzmiał władczy okrzyk z wnętrza zawołowanej lektyki. Ton komendy sprawił, że nawet rozwścieczony Zuru uspokoił się.

Czarna, upierścieniona dłoń odsłoniła muślinową kotarę. Z lektyki wysiadła Murzynka, na której widok oczy Conana rozszerzyły się w mimowolnym podziwieniu.

Kobieta prawie dorównywała Cymmerianinowi wzrostem, była muskularna, o skórze barwy naoliwionego hebanu. Blask słońca odbijał się aksamitnym połyskiem na jej bujnych piersiach, gładkich udach i długich, mocnych nogach. W utrefiony gąszcz kręcących się włosów miała powtykane spinki z klejnotami i strusie pióra zabarwione brzoskwini owo, różowo i szmaragdowo. W uszach migotały kolczyki z nie oszlifowanych rubinów, a szyję zdobiły liczne sznury lśniących pereł. Na ramionach i kostkach postukiwały bransolety z czystego, miękkiego złota. Poza tym jedyny strój kobiety stanowiła krótka spódniczka z lamparciej skóry, opinającej biodra o lubieżnym zarysie.

Nzinga, królowa Amazonek, obrzuciła gigantycznego Cymmerianina powłóczytym spojrzeniem. Na targowisku zapadła cisza. Usta królowej rozchyliły się powoli w zmysłowym uśmiechu.

— Dziesięć piór za białego olbrzyma — powiedziała w końcu.

Dalszych ofert nie było.

Chabela stwierdziła, że żywot niewolnicy jest nie do zniesienia. Wystarczająco złe było to, że rozpieszczana córka potężnego monarchy musiała służyć na każde zawołanie czarnej królowej. Miary upokorzenia dopełniał wymóg, by niewolnice spełniały swoje obowiązki nago. Ubrania wolno było nosić wyłącznie wolnym członkiniom czarnego plemienia. Księżniczce przyszło spać na rojącej się od robactwa pryczy w szopie niewolnic. Nadzorczym o ostrym języku i ciężkiej ręce zrywała bladym świtem Chabelę i jej współtowarzyszkę niedoli, by gotowały, czyściły, szorowały, polerowały sprzęty i obsługiwały królowę przy stole. Humoru księżniczki nie poprawiał fakt, że towarzyszący Nzindze nieokrzesany zingarański korsarz rozpierał się na puchowych poduchach, złopał bananowe wino i opychał się słodyczami.

Zaradny Cymmerianin wiele stracił w oczach Chabeli. Pogardę księżniczki pogłębiało to, iż Conan najwidoczniej dobrze czuł się w roli „kawalera do towarzystwa” królowej. Chabela powtarzała sobie, że żaden mężczyzna, godny tego określenia, nie mógłby upaść na tyle, by cieszyć się podobnym upodleniem. Doświadczenie nie nauczyło jej jeszcze, że gdy nic nie można poradzić na sytuację, w jakiej się znalazło, należy się z nią pogodzić.

Conan był jedyną osobą w tym okropnym mieście, którą Chabela mogła uważać za swojego przyjaciela. Popadłaby zapewne w skrajną rozpacz, gdyby Cymmerianin niekiedy, gdy nikt na nich nie patrzył, nie posłał jej perskiego oka. Znaczyło to, a przynajmniej księżniczka miała nadzieję, że znaczy: „Nie trać ducha, dziewczyno, jeszcze cię stąd wydostanę”.

Z drugiej strony nawet Chabela musiała przyznać, że Nzinga to wspaniały okaz kobiecości. Dziewczyna usiłowała sobie wyobrazić, co królowa i korsarz robią w łóżnicy, lecz jej subtelne wychowanie nie obejmowało tak przyziemnych wiadomości. Nie mogła wiedzieć, że chociaż wspaniała gamburańska lwica była dla tłumu królową, w jej alkwie niepodzielnie władał Conan.

Było to również coś nowego dla królowej Nzingi. Własne doświadczenia i cała kultura jej ludu wpoily jej przekonanie o naturalnej wyższości kobiety nad mężczyzną. Na tronie z kości słoniowej zasiadało przed nią sto poprzedniczek. Wszystkie lekcewały swoich małżonków, będących dla nich sługami, narzędziami przyjemności i niezbędnymi dodatkami przy płodzeniu następczyń. Pozbywano się ich natychmiast, gdy brakło im sił, zapadali na choroby czy nudzili się swym paniom.

Nzinga postępowała tak samo, dopóki w jej życie nie wkroczył gigantyczny Cymmerianin. Do tej pory z łatwością dominowała nad swoimi kochankami, lecz Conana nie można było

zdominować. Jego wola była twardsza od stali. Był wyższy i silniejszy od Nzingi, a w uścisku jego potężnych ramion czarna Amazonka znajdowała rozkosze przekraczające jej wyobrażenie. Ogarnął ją głód, który tylko Cymmerianin był w stanie zaspokoić.

Stała się również dziko zazdrosna o wszystkie kobiety, z którymi Conan w przeszłości zaznał uciechy. Cymmerianin nie chciał jednak o nich opowiadać i ignorował jej pytania. Chociaż królowa urządziła mu awantury i tłukła wykwintne naczynia, niewzruszony Cymmerianin milczał z nikłym uśmieszkiem na ustach.

— A co z tą pulchną białą dziewczuchą, którą Ghanatowie schwytali razem z tobą?! — piekliła się Nzinga. — Była twoją kochanką, prawda? Łaknąłeś jej miękkiego, bladego ciała, czyż nie? Jest bardziej godna pożądania niż Nzinga, co?

Patrząc na rozjuszoną pasją królową, jej płonące oczy i falujące, hebanowe półkule piersi, Conan musiał przyznać, że od czasu Belit nie spotkał równie wspaniałej kobiety. Musiał być wszakże wyjątkowo ostrożny z powodu zazdrości o Chabelę. Musiał znaleźć jakiś sposób na uśmierzenie podejrzeń królowej, inaczej księżniczka ucierpiałaby. Nzinga mogła rozkazać ściąć głowę każdemu, kto stanąłby jej na drodze.

Conan zrobił wszystko w swojej skromnej mocy, by ulżyć doli Chabeli, jednak nie śmiał dalej wstawiać się za nią, by nie dolewać oliwy do ognia podejrzeń Nzingi.

— Chabela? — Ziewnął. — Ledwie znam to dziecko. To zingarańska szlachcianka. W tych sferach przykłada się przesadną wagę do dziewictwa. Gdybym ją posiadał, nie byłoby jej tutaj.

— A to dlaczego?

— Odebrałyby sobie życie, tak jak ją uczono.

— Nie wierzę ci! Starsz się ją osłaniać...!

Conan otoczył Nzingę potężnym ramieniem, położył na rozpostartych poduszkach i zaczął spijać namiętne pocałunki z jej dyszących ust. Wiedział, że przy temperamencie królowej lepiej jej nie prowokować. W obecnej sytuacji istniał tylko jeden sposób, by oderwać królową od zazdrosnych rozmyślań...

ROZDZIAŁ 14 NA UWIĘZI

Parę kolejnych dni upłynęło bez znaczących wydarzeń. Potem...

Od dwóch dni białej niewolnicy, Chabeli z Zingary, powierzano najbardziej wyczerpujące i upokarzające prace. Musiała wykonywać je na oczach Conana. Nzinga pilnowała tego za pomocą starannie obmyślanego systemu podstępów.

Obawiając się podejrzliwości królowej, Conan przybierał maskę obojętności, chociaż wrzał gniewem na widok wykorzystywanej księżniczki i paliła go chęć wzięcia za to srogiego odwetu. Ponieważ królowej nie udało się wyzwolić w Cymmerianinie żadnej reakcji, zaplanowała decydujące posunięcie, mające ujawnić prawdziwe uczucia Conana. Wydała ucztę dla kilku kobiet — wodzów swej armii. Były to umięśnione, pokryte bliznami, harde Amazonki, w których, zdaniem Conana, tkwiło tyle kobiecości, co w drzewcu topora bojowego.

Podczas uczty Zingaranka usługiwała swojej pani i jej najnowszemu pupilowi. Gdy roznosiła wino, jedna z Amazonek podstawiła jej nogę. Chabela straciła równowagę i ze zduszonym okrzykiem rozlała zawartość karafki na jedną z ucztujących kobiet. Krzepka żołnierka imieniem Tuta dźwignęła się na równe nogi i z przekleństwem wymierzyła kulającą się niewolnicę okrutny cios na odlew. Dziewczyna runęła na podłogę.

W oczach Amazonki zapłonął sadystyczny błysk. Widok kulającą się, nagiej białej kobiety wzbudził w niej jeszcze większą furję. Jak podchodząca ofiarę pantera zbliżyła się do niewolnicy. W napiętej ciszy położyła muskularną dłoń na rękojeści tkwiącego za pasem sztyletu.

Pobłyskujące w świetle pochodni spiżowe ostrze wysunęło się z pochwy z cichym szmerem. Tuta z twarzą wykrzywioną żądzą krwi nachyliła się nad młodą niewolnicą i uniosła sztylet.

Nie mogąc złapać tchu, Chabela z fatalistyczną fascynacją wiodła wzrokiem za zbliżającym się ostrzem. Wiedziała, że powinna uciekać, lecz zgroza i beznadziejność położenia odebrały jej władzę w członkach. Była w stanie tylko przyglądać się narzędziu zagłady rozszerzonymi z przerażenia oczami. Ostrze dotknęło jej dyszącej piersi...

Nagle nadgarstek i szyja Tuty znalazły się w kleszczowym uchwycie. Miażdżący nacisk wielkich dłoni sparaliżował Amazonkę tak, jak przed chwilą widok broni odebrał władzę w kończynach Chabeli. Sztylet upadł na ziemię. Conan napiął potężne mięśnie, dźwignął Tutę i cisnął ją w przeciwny kąt komnaty, gdzie nieprzytomna Amazonka osunęła się pod ścianę.

Conan doskonale wiedział, że uległ zaplanowanej przez Nzingę prowokacji, lecz nie mógł pozwolić, by zasztyletowano córkę króla Ferdruga. Nie miał wątpliwości, że Nzinga potraktuje jego interwencję jako dowód zainteresowania rywalką i da im obojgu odczuć miotającą nią zazdrość. Zmusił się do śmiechu.

— Królowa Gamburu na pewno nie jest tak skąpa, by pozwolić zabić swoją niewolnicę za kilka kropli wina! — powiedział przybierając jowialny wyraz twarzy.

Królowa Nzinga utkwiała w nim chłodne, pozbawione wyrazu spojrzenie i gestem dała znak Chabeli, która dźwignęła się z podłogi i pośpiesznie wypadła z komnaty. Napięcie spadło. Conan wrócił na swoje miejsce, puchary z winem znów poszły w ruch, podjęto niezobowiązującą rozmowę.

Conan miał nadzieję, że dramatyczna chwila poszła w niepamięć. Nękający go niepokój uśmierzał głębokimi haustami bananowego wina. Jednak nie uszło jego uwagi, iż królowa Nzinga obrzuca go co i raz twardym, zamyślnym spojrzeniem.

Gdy Chabela opuściła królewską jadalnię, pochwytyły ją silne czarne dłonie. Nim zdołała krzyknąć, wepchnięto jej w usta kłęb płótna. By go nie wypluła, knebel dociśnięto zawiązaną na karku szmatą, po czym na głowę Chabeli naciągnięto worek. Wykręcono jej ręce na plecy i związano je rzemieniami. Dźwignięto ją i poniesiono gdzieś w dół. Wreszcie rozwiązano ręce, po to tylko, by natychmiast przywiązać je ponownie do zwieszającego się spod sufitu miedzianego pierścienia. Potem zostawiono księżniczkę samą.

Chabela zwisała bezwładnie ze zdrtwiałymi rękami na środku pogrążonego w ciszy pomieszczenia, modląc się, by Conan dowiedział się, co ją spotkało.

Jednakże Conan był w tym momencie w niewiele lepszej sytuacji. Leżał bezwładnie na poduszkach w komnacie jadalnej, z zamkniętymi oczami i odrzuconą w tył głową. Chociaż zachował umiar w picciu, ogarnął go nagły bezwład. Przez jego umysł pogrążający się w odmętach nieświadomości przemknęła myśl, że Nzinga dodała do wina jakiegoś narkotyku, jednak nim zdążył zareagować, zapadł w sen tak głęboki, że nie obudziłoby go nawet trzęsienie ziemi.

Nzinga obrzuciła Conana złowróżbnym spojrzeniem oczu zmrużonych w szparki i poleciła wynieść go z komnaty. Później samotnie zeszła do sali, w której pozostawiono Chabelę. Jej furia narastała jak płomień w rozdmuchiwanym palenisku. W twardym wzroku królowej Amazonek tliło się mściwe oczekiwanie.

Z głowy Chabeli zdjęto worek i wyciągnięto knebel z jej ust. Dziewczyna ujrzała przed sobą gorejące oczy dziko uśmiechniętej Nzingi i krzyknęła z przerażenia. Czarna Amazonka zaśmiała się.

— Krzycz ile wlezie, białoskóra latawico! Na nic ci się to nie zda!

Nzinga powiodła triumfalnym spojrzeniem po gibkim ciele swej ofiary, odwróciła się i spośród rzędu wiszących na ścianie narzędzi tortur wybrała długi bicz z dobrze wyprawionej

skóry hipopotama z plecioną rękojeścią. Cienki koniec batoga przesunął się po posadzce z szelestem, jaki wydaje pełzający wąż. Oczy Chabeli rozszerzyły się z przerażenia. Królowa znów zaśmiała się chrapliwie.

— Usta Conana nigdy nie dadzą ci takiej rozkoszy jak pocałunki mojego ulubieńca! — powiedziała. — Zobaczysz, pieszczoty jego dłoni są niczym przy dotyku bicia!

— Co ci zrobiłam, że tak mnie dręczysz?

— Zabrałaś mi serce Conana, nim się spotkałyśmy! — prychnęła Nzinga. — Nigdy przedtem nie spotkałam takiego mężczyzny, lecz jego potężne ramiona ścisnęły cię! Jego usta obsypywały palącymi pocałunkami twoje piersi... Nie mogę tego znieść! Gdy pozbędę się ciebie, zwróci się ku mnie i mnie pokocha całą mocą swojego serca! Uczynię go królem Gamburu, a wiedz, że od tysiąca lat żaden mężczyzna nie zasiadał tu na tronie!

Nzinga trzasnęła biczem.

— To nieprawda — jęknęła Chabela. — Conan nigdy mnie nie dotknął!

— Kłamiesz! Pocałunek bicia wyciśnie jeszcze z ciebie prawdę!

Nzinga odwiodła ramię. Bicz zaśpiewał i owinał się wokół kibici Chabeli. Dziewczyna krzyknęła, nie mogąc znieść okrutnego bólu. Pejcz pozostawił szkarłatną pręgę, na której poczęły pojawiać się krople krwi.

Nzinga odwiodła powoli ramię do kolejnego uderzenia. W komnacie tortur słychać było jedynie chrapliwy oddech Chabeli.

Bicz ponownie przeciął ze świstem powietrze i owinał się wokół lędźwi niewolnicy. Chabela krzyknęła. Nzinga przyglądała się z wykrzywioną twarzą, jak naga dziewczyna szarpie się i skręca w pętach. Królowa uderzyła znowu. Jej hebanowe ciało pokryło się drobnymi, lśniącymi kroplami potu. Chabela znów krzyknęła. Królowa zaśmiała się, oblizując pełne wargi.

— Wrzeszcz, jeśli masz ochotę, skamląca dziewko! Nikt cię nie usłyszy, a nawet gdyby, to nie odważy się wstawić za tobą. Conan jest pogrążony w narkotycznym śnie, z którego obudzi się dopiero za parę godzin. Nikt na świecie nie przyjdzie ci z pomocą!

Twarz Amazonki lśniła w piekielnym uniesieniu. Odwodząc raz po raz ramię, pieściła spojrzeniem połyskujące od potu i krwi ciało ofiary. Zamierzała dać do woli upust swojej zboczonej żądzy, aż dziewczyna skona od ciosów bicia.

Chabela nie wyobrażała sobie, że ludzkie ciało może znieść taką mękę. Rozpieszczona luksusami dworskiego życia księżniczka jeszcze nigdy nie doświadczyła prawdziwego bólu. Męki ciała dopełniała udręka wstydu. Jako jedynej córce króla, pozwalano jej na wszystko. Przytłoczony nawałem zajęć wiekowy rodzic rzadko przeciwstawiał się upartej jedynaczce. Teraz smagnięcia bicia raniły ciało dziewczyny, upokorzenie zaś druzgotało jej ducha.

Zingarańska szlachta trzymała czarnych niewolników, przeważnie Kushytów sprowadzonych z południa przez stygijskich i shemickich handlarzy. Chabela wiedziała, że często karano Murzynów za rzeczywiste lub wymaginowane przewinienia w ten sam sposób, w jaki ona teraz była katowana. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że role mogą się odwrócić, że Murzynka będzie chłostać ją jak najmarniejszego parobka z zingarańskiej plantacji.

Uderzenia bicia następowały jedno po drugim. Chabela zdołała dojrzeć przez czerwoną mgłę bólu, że na taborecie po przeciwnej stronie komnaty leży lśniące cacko: inkrustowane niezliczonymi klejnotami nakrycie głowy w formie zwiniętego węża. Korona Kobry! Chabela rozpoznała łup Conana z Czarnej Świątyni na Bezimiennej Wyspie. Próbowwała skupić myśli na koronie, by zapomnieć o wszechobecnym bólu...

Przypominała sobie niejasno, że w Kulało ukradziono koronę Conanowi. Jak dawno to było? Eony temu, zdawałoby się. Jak tu trafiła? Handlarze niewolników, którzy schwytali ją i Conana, musieli odebrać koronę złodziejowi, który wykradł ją z Kulało.

Nzinga przerwała, by napić się wina, lecz po chwili powróciła do pokrytego szkarłatem narzędzia. Zbierając siły, by znieść kolejne smagnięcie, Chabela zmusiła się do otwarcia oczu. Przez pasma splecionych włosów ujrzała zdumiewający widok.

Za prawie nagą Nzingą pojawiła się niesamowita poświata. Fosforyzujące, ulotne światełka przypominały najpierw błędne ogniki nad nawiedzonymi przez duchy moczarami. Po chwili słaba zielona poświata rozbliła jaśniej, rozszerzając swój zasięg. Po czasie, wystarczającym na trzy uderzenia serca, przybrała kształt człowieka.

Chabeli zapało dech. Zauważywszy, że dziewczyna patrzy na coś za nią rozszerzonymi oczami, Nzinga odwróciła się błyskawicznie. W tym samym momencie kształt rozjarzył się oślepiającym szmaragdowym blaskiem, po czym pobladł i zgasł.

Tam, gdzie było zielone światło, stał teraz wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna o śniadej skórze. Jego surowe oblicze o przenikliwych czarnych oczach i dużym, ostrym nosie przypominało spiżową maskę. Przybysz miał na sobie białą lnianą szatę prostego kroju.

Thoth–Amon wyraźnie postarzał się od czasu, gdy udzielił audiencji Zaronowi i Menkarze. Na śniadym czole czarnoksiężnika perliły się krople potu. Magiczny zabieg, za pomocą którego przeniósł się z oazy Khajar do Gamburu, był jednym z najbardziej męczących czarów, znanych jego bractwu. Niewielu czarowników na świecie było w stanie tego dokonać. Mentalny wysiłek nadwerżył siły nawet Thoth–Amona.

Nzinga była zaskoczona, że intruz — do tego godny pogardy mężczyzna — wtargnął bez zaproszenia do jej komnaty kar. Była to tak niesłychana zniewaga, iż natychmiast postanowiła, że przybysz zapłaci za to głową. Otworzyła usta, by zawezwać strażniczki, równocześnie zamierzając się biczem.

Majestatyczny Stygijczyk przyglądał się jej z zagadkowym uśmiechem. Gdy pejcz zaczął zataczać łuk w powietrzu, czarnoksiężnik wyciągnął dłoń ku czarnej królowej. Między jego palcami zabłysła poświata barwy nefrytu, a z dłoni wytrysnął snop szmaragdowych promieni, które spowiły świetlistym nimbem ciało Nzingi. Królowa wydała kroki, chrapliwy okrzyk, zeszywniała, jak gdyby przeszył ją sztylet i runęła bez zmysłów na ziemię. Snop światła zgasł.

Niejasne przeczucie nakazało Chabeli obwisnąć bezwładnie, jakby była nieprzytomna. Pozwoliła opaść głowie w przód, lśniące czarne włosy zakryły jej rysy.

Thoth–Amon poświecił jej zaledwie przelotne spojrzenie. Zwracanie uwagi na karaną za przewinienie niewolnicę było poniżej jego godności. Ponieważ nigdy nie widział Chabeli z bliska, nie wiedział, że ma przed sobą księżniczkę, którą Menkara i Zaron ścigali po Czarnym Wybrzeżu. Cóż, czarnoksiężnicy są równie zdolni do popełniania błędów jak zwykli śmiertelnicy.

Gdy Thoth–Amon wysłał swoje ka do królestwa akaszy, Conan i Chabela byli w Kulało, a Bwatu nie ukradł jeszcze Korony Kobry. Wówczas przyszłość była jeszcze zbyt mglista, by czarnoksiężnik mógł rozróżnić kryjące się w niej możliwości.

Po tym jak jego wysłannicy wyruszyli, by ponownie pochwytać księżniczkę, Thoth–Amon jeszcze raz skorzystał z wieszczego kryształu. Chciał dokładnie określić, gdzie znajduje się Korona Kobry, nim rzuci potężny czar, który go tam przeniesie. Ponieważ u celu swojej podróży mógł znajdować się bardzo krótko, nie mógł ryzykować, że znajdzie się o mile od szukanego przedmiotu.

Do tego czasu Bwatu wykradł koronę i został zabity przez łowców niewolników. Zuru zataił fakt posiadania korony i zabrał ją do Gamburu, gdzie Nzinga zapłaciła mu za nią tyloma piórami ze złotym pyłem, że do końca życia nie groziła mu bieda. Gdy Thoth–Amon za pomocą krystalomancji odnalazł koronę, stwierdził ku swojemu zdziwieniu, że znajduje się ona nie w Kulało, lecz w Gamburu.

Losy Conana i Chabeli nie interesowały Stygijczyka. Zakładał, że księżniczka wciąż przebywa w Kulało, skąd w swoim czasie porwą ją Zaron i Menkara. Na dodatek czar, za

pomocą którego znalazł się w Gamburu, nie pozwalał mu wrócić do swojej siedziby z jeszcze jedną osobą.

Co do Conana, Thoth–Amon uważał go za przeszkodę nie ważniejszą niż brzęczący komar. Gdyby Cymmerianin wszedł Stygijczykowi w drogę, Thoth–Amon uważał, że zabiłby go, tak jak usuwa się natrętnego owada. Nie zamierzał jednak dokładać specjalnych starań, by pozbyć się barbarzyńcy. Grał o większą stawkę niż pozbycie się łowcy przygód rodem z dzikiej, północnej krainy.

Gdyby Thoth–Amon skupił swój magiczny wzrok na zwisającej w pętach postaci, bez trudu odgadłby jej tożsamość, jednak cała jego uwaga skoncentrowana była na Koronie Kobry. Gdy poznał to, co leżało na taborecie, surowe rysy Stygijczyka rozjaśnił przelotny wyraz radości. Minał szybko bezwładne ciało Amazonki i ujął koronę w dłonie. Dotykając nabożnie reliktu przedludzkiej rasy, przyjrzał mu się badawczo w świetle pochodni. W skupieniu przesuwiał sńiadymi palcami po inkrustowanych wielkimi białymi klejnotami węzowych splotach.

— Nareszcie! — szepnął. W jego czarnych oczach zabłyśł wyraz nieposkromionej ambicji. — Z twoją pomocą władanie nad światem znalazło się w zasięgu mej ręki! Bliskie i dalekie krainy znów znajdą się pod uświęconym panowaniem Ojca Seta!

Posępne zazwyczaj oblicze Thoth–Amona rozjaśnił mrozący krew w zyłach uśmiech. Stygijczyk wypowiedział magiczne słowo i wykonał czarnoksięski znak. Otoczyła go wirująca sieć zielonego światła. Promienista kula zapadła się w siebie, tworząc ledwie widoczne zielonkawe wrzeciono, które po chwili rozpląnęło się w powietrzu.

Pozostawszy sam na sam z pozbawioną zmysłów królową, Chabela otrząsnęła się z oszołomienia. Stwierdziła, że stając na koniuszkach palców jest w stanie poluzować przywiązane do metalowego pierścienia rzemienie na nadgarstkach. Chociaż związane ją porządnie, była tak złana potem, iż uznała, że może uda się jej wyslizgnąć z więzów. Zaczęła wiercić obydwoma dłońmi na przemian. Po wydających się wiecznością zmaganiach udało się jej w końcu wysunąć z pęt jedną rękę. Z drugą nie miała już kłopotów.

Wyczerpana dziewczyna osunęła się na ziemię. Ręce jej tak zdrętwiały, że nie była w stanie poruszyć palcami. Wkrótce poczuła w dłoniach mrowienie przypominające wbijanie rozżarzonych igieł. Zasycała z bólu, jednak zdusiła jęk, bojąc się, że ocknie się królowa.

Czucie i panowanie nad ruchami wróciły po trochu w ręce Chabeli. Zataczając się, wstała i nachyliła się nad nieprzytomną Nzingą. Piersi królowej wznosiły się i opadały regularnie, jak gdyby po prostu spała.

Chabela pokuśtykała do karafki z winem, którym odświeżała się Nzinga, i zaczęła pić głębokimi haustami słodkawej, mdły trunku. W jej ciało wlały się nowe siły. Znów odwróciła się ku nieprzytomnej królowej. Spojrzenie księżniczki padło na sztylet u boku Nzingi. Czy powinna wyjąć go z pochwy i zatopić w piersi Amazonki? Nienawiść do królowej sprawiła, że aż zadygotała. Jeszcze nigdy nie czuła tak palącego pragnienia, by kogoś zabić, jednak się zawałała.

Nie wiedziała, jak głęboko Nzinga jest nieprzytomna. Gdyby Chabela sięgnęła po sztylet, ten ruch mógłby dotrzeć do świadomości królowej, wyższej i silniejszej niż umęczona dziewczyna. Nzinga unieszkodliwiłaby ją i albo zabiła własnoręcznie, albo wezwałaby strażniczki, by ponownie związały rywalkę. Nawet gdyby Chabeli udało się przywłaszczyć sobie broń, nie budząc nieprzyjaciółki, pierwsze pchnięcie musiałyby być śmiertelne, inaczej królowa zdołałaby co najmniej zawołać o pomoc przed skonaniem.

Chabelę powstrzymał jeszcze jeden wzgląd. Wpajany jej od dzieciństwa zingaranski kodeks honorowy absolutnie zakazywał zabijania śpiących wrogów. Co prawda, Zingaranczyki naruszali własne zasady równie często jak przedstawiciele każdego innego narodu, jednak Chabela zawsze starała się dorównać najwyższemu ideałom swojej nacji. Gdyby mogła zabić

królową bez ryzyka dla siebie, być może pokonałaby instynktowną odrazę wobec tak zdradzieckiego czynu, jednak rzeczy stały inaczej...

Dziewczyna szybko przekradła się przez komnatę i odsunęła kotarę zasłaniającą przejście. Zbierając odwagę, uczyniła krok w ciemność.

Blask pochodni dogasających w komnacie tortur oświetlał zwisający spod powały pusty pierścień, zakrwawiony bicz i nieruchome ciało królowej.

ROZDZIAŁ 15

CZARNY LABIRYNT

Opuszczając izbę tortur, Chabela zawahała się. Nie była nigdy w tej części pałacu i nie wiedziała, w którą stronę się skierować. Postanowiła jednak twardo, że za wszelką cenę nie dopuści, by ją ponownie schwytano.

Spoglądając w głąb pustego korytarza o kamiennych ścianach doszła do wniosku, że znajduje się w kryptach, które, jak wieść niesła, znajdowały się pod pałacem królowej Amazonek. Chabela wiedziała, że komnat tych zazdrośnie strzeżono przed intruzami, zatem musiała się liczyć z możliwością, że w każdej chwili może wpaść na strażniczkę. Księżniczka ruszyła spiesznym krokiem w stronę, w którą korytarz zdawał się prowadzić pod górę.

Panowała prawie całkowita cisza, przerywana jedynie odgłosem spadających kropeł wody i sporadycznym szemraniem zwierzęcych łapek. Pochodnie osadzone w obejmach z pozieleniałego brązu rzucały mętną żółtawą poświatę, było ich jednak tak mało, że między nimi panowały prawie zupełne ciemności. W pograżonych w mroku odcinkach korytarza Chabela widywała przypominające okruchy rubinów ślepiec gryzoni, przystających, by się jej przyjrzeć.

Naga dziewczyna szła w złowieszczej ciszy z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości. Czuła w ciemnościach bezwzględny wzrok niewidzialnych oczu, a może był to jedynie wytwór jej pobudzonej wyobraźni?

Kręty, nierówny korytarz rozwidlał się wielokrotnie. Zmuszona po raz któryś do wybrania kierunku marszu, Chabela zorientowała się, że straciła orientację i wędruje na oślep. Bez wątplenia mogła zawrócić drogą, którą tu dotarła, lecz wpałaby jedynie z powrotem w ręce Nzingi. Nie miała innego wyjścia, jak iść dalej, modląc się do Mitry, by wyprowadził ją na otwarty teren.

Jakiś czas później Chabela dotarła do lochów. Po obydwóch stronach korytarza znajdowały się miedziane kraty cel. W półmroku ledwie było widać więźniów. Niektórzy jęczeli i szlochali, lecz większość leżała cicho.

Dziewczyna zajrzała do kilku pierwszych mijanych cel, lecz to, co w nich ujrzała, okazało się tak odstręczające, że od tej pory starała się nie odrywać wzroku od posadzki korytarza. Lata głodowania sprawiły, że niektórzy więźniowie byli wychudzeni jak kościotrupy. Inni spoglądali na nią spod splecionych włosów pustym, szalonym wzrokiem. Ciała nieszczęśników pokrywały wrzody i gruba warstwa brudu. Niektórzy poumierali, a szczury ogryzły ich trupy, pozostawiając nagie szkielety.

Pokonawszy kolejny zakręt korytarza, Chabela dotarła do celi, w której, ku swemu zdumieniu, ujrzała Conana z Cymmerii, rozciągniętego bezwładnie na grubej warstwie słomy. Księżniczka zamarała, niepewna, czy oszalała, czy też rzeczywiście ma przed sobą korsarza.

Istotnie, był to Cymmerianin. Leżał tak nieruchomo, iż Chabela pomyślała zrazu, że nie żyje, jednak przypatrzwszy się uważnie, zauważyła, że jego potężna pierś unosi się w rytm oddechu. Barbarzyńca był jedynie nieprzytomny.

Chabela z wahaniem zawołała go po imieniu, lecz jedyną odpowiedzią było chrapanie. Chwyciła za drzwi. Były solidnie zamknięte.

Przystanąła, zastanawiając się, co czynić. W każdej chwili zza zakrętu korytarza mogły wyłonić się szczękające bronią strażniczki Nzingi. Jeśli zależało jej, by nie zostać schwytaną, powinna iść dalej. Jednak nie mogła porzucić na pastwę losu dzielnego korsarza, który uratował ją z Bezimiennej Wypsy.

Powtórnie wyszeptwała imię Conana, po czym jej wzrok padł na kamionkowy dzban stojący pod ścianą korytarza. Włożywszy doń palec stwierdziła, że zawiera zimną wodę, przeznaczoną zapewne dla więźniów.

Dźwignęła naczynie i podniosła je pod celę Conana. Na szczęście nieprzytomnego barbarzyńcę wrzucono do celi tak, że leżał na plecach z głową zwróconą ku wejściu. Lodowaty potok chlusnął na twarz Cymmeriana. Krztusząc się, prychając i powarkując gniewnie, Conan odzyskał świadomość. Usiadł podpierając się rękami i wodząc wokół błędnie wzrokiem.

— Co, na zamarznięte piekła Ymira... — stęknął, po czym jego spojrzenie padło na bladą, wystraszoną twarz zingarańskiej księżniczki. Od razu doszedł do reszty do siebie. — To ty, dziewczyno? Co się dzieje, na Croma? — burknął, powiódł z zaskoczeniem wzrokiem wokół siebie i powiedział: — Gdzie jesteśmy, na jedenaście szkarłatnych piekieł? Co się stało? Czuję się, jakby wszystkie demony Otchłani tłukły się w mojej głowie...

Ścisłym głosem dziewczyna opowiedziała zwięźle ostatnie wydarzenia. Oczy Conana zwięzły się w szparki. Odruchowo podrapał się po pokrytej szczecina szczęce.

— To znaczy, że Nzinga uśpiła mnie narkotykiem, tak? Mogłem się tego spodziewać, niech pięknie jej czarne, zazdrosne serce! — przesunął dłonią po świeżej słomie, na której leżał, i zaśmiał się gardłowo. — Ta słoma to w jej pojęciu luksus. Myślała, że zdoła zatrzymać mnie jako swojego psa, kiedy się ciebie pozbędzie.

— Co mamy robić, kapitanie? — zapytała Chabela z jękiem. Ostatnie przejścia znacznie nadwężyły jej odwagę.

— Co zrobimy? — Conan chrząknął i splunął. — Wyrwiemy się stąd! Odsuń się od kraty!

— Co zamierzasz? Nie mam klucza...

— Do diabła z kluczami! — prychnął Cymmerianin chwytając kratę. — To miękka miedź i tkwi tu od wieków. Jeśli jest tak zaśnieździła, jak myślę, nie będą mi potrzebne klucze. Odsuń się, mówię!

Zaparłszy się stopą o zielony od patyny pręt, Conan napiął bary i szarpnął. Twarz mu pociemniała, jego oddech stał się chrapliwy, na czoło wystąpiły lśniące w świetle pochodni krople potu. Napięte mięśnie przypominały spizową rzeźbę.

Chabela wciągnęła kurczowo powietrze w piersi i przygryzła wargę.

Pręt wygiął się z ledwie słyszalnym, przypominającym rozpaczliwy krzyk skrzypieniem. Metal ustąpił i złamał się z gromkim hukiem, przypominającym trzaśnięcie wielkiego bicia. Ciśnięty przez Conana pręt upadł na słomę ze stłumionym szczęknięciem. Cymmerianin zatoczył się na ścianę celi, łapiąc spazmatycznie wielkie hausty powietrza. Chwilę później przecisnął się bokiem między pozostałymi prętami na korytarz. Chabela przyglądała się temu rozszerzonymi oczami.

— Jeszcze nigdy nie widziałam takiej siły! — szepnęła.

— Nie miałbym ochoty robić tego codziennie — odparł z uśmiechem Conan, masując ramiona. Spojrzał w głąb korytarza i spytał: — Którędy do wyjścia? Nzinga aż tak cię wychłostała? — dotknął jednej z pręg na ciele Chabeli.

Księżniczka potwierdziła skinieniem głowy. Conan skwitował to gniewnym pomrukiem, a w jego oczach migotały zapalczywe ogniki.

— Osobliwa sprawa — powiedział w końcu, zastanawiając się nad wcześniejszą relacją księżniczki. — A najdziwniejsze jest pojawienie się stygijskiego czarnoksiężnika — zakładam, że to Stygijczyk. Spotkałem ich wielu w czasie moich wędrówek. Zastanawiam się

jednak, kto to? Komu zależy na Koronie Kobry? Jesteś pewna, że to nie ten trupiogęby pies Menkara? W Kordawie nie odstępował pięć Zarona.

— Nie. — Chabela potrząsnęła głową, falując splotami czarnych, lśniących włosów. — Często widziałam Menkarę na „Petrelu”; poznałabym go od razu. Menkara jest chudy, średniego wzrostu; mówi powoli, bezbarwnym tonem, jak gdyby świat strasznie go nudził. Człowiek, którego widziałam, chociaż wyglądał mi na przedstawiciela tego samego narodu, ale był zupełnie inny: o wiele wyższy i bardziej władczy.

Przysłuchując się jej słowom, Conan wodził wzrokiem po korytarzu. Intuicyjnie odczuwał potrzebę działania. Nie wiedział, jak długo Nzinga będzie nieprzytomna. Jeśli jednak mieli uciec z miasta czarnych wojowniczek, musieli to zrobić natychmiast, nim królowa odzyska przytomność.

Cymmerianin poprowadził Chabelę krętym korytarzem. Przystanął na chwilę, by zdjąć pochodnię ze ściany i potrząsnął nią z zadowoleniem. Miał przynajmniej jakąś broń. Grube polano było owinięte z jednego końca surowym płótnem, nasączonym olejem. Z płonącego końca pochodni unosiły się kłęby gęstego dymu.

Minąwszy któryś z kolei zakręt, Conan i Chabela wpadli na przyczajony oddział czarnych wojowniczek. Kobiety odziane w skórzane kaftany naszyte kwadratowymi spiżowymi płytkami i podobnie wzmocnione spódniczki, uzbrojone były we włócznie i krótkie miecze z brązu.

— Łapać ich! — rozległ się szorstki głos. Za linią srogich wojowniczek Conan spostrzegł Nzingę we własnej osobie. Piękną twarz czarnej królowej wykrzywił grymas gniewu. Cymmerianin uśmiechnął się z determinacją. Walka była nieunikniona.

Nie czekał, aż zostanie zaatakowany, lecz jednym wielkim susem wskoczył między Amazonki, wymachując na lewo i prawo gorejącą pochodnią. W mgnieniu oka dwie zwaliste wojowniczk runęły na ziemię z pękniętymi czaszkami. Gdy kolejna szczerząca zęby Amazonka rzuciła się na niego z krótkim mieczem, pchnął ją pochodnią w twarz. Kobieta upadła z wrzaskiem, Conan zaś wytrącił włócznię z ręki czwartej wojowniczki. Nim drzewce uderzyło o podłogę korytarza, Cymmerianin z szybkością rzucającej się na ofiarę pantery zamierzył się znów do ciosu pochodnią i... zamarł.

Nzinga, która w zamieszaniu okrążyła stłoczone wojowniczk, zacisnęła właśnie ramię na szyi nagiej zingarańskiej księżniczki, wolną dłonią przykładając sztylet jej do gardła.

— Rzuć pochodnię, biały psie, albo twoja suka utopi się we własnej krwi! — rozkazała złowróbnym głosem królowa Amazonek.

Conan wyrzucił z siebie szereg ordynarnych przekleństw, nie miał jednak wyboru. Pochodnia potoczyła się po kamieniach posadzki.

Otoczywszy Cymmerianina, Amazonki skrepowały go ciasno szorstkim sznurem.

— Nie ruszy się teraz, królowo — rzuciła gromko jedna z wojowniczek. — Najlepiej od razu go usieczmy.

Nzinga powiodła wzrokiem po lśniącym od potu torsie Conana.

— Nie — powiedziała w końcu. — Myślę, że ten zdrajca zasługuje na inny koniec. Kto gardzi moją miłością, dostanie zamiast niej nienawiść. Zamknijcie oboje do rana w zagrodzie dla niewolników. O świcie rzućcie ich drzewu kulamtu!

Conanowi wydało się, że na dźwięk tej nazwy bezwzględne, zahartowane Amazonki zdrząły. Cóż jednak mogło być tak okropnego w zwykłym drzewie?

ROZDZIAŁ 16

ŻARŁOCZNE DRZEWO

Conan zamrugał oczami, oślepiiony blaskiem wschodzącego słońca, po czym rozejrzał się wokół z zaciekawieniem.

Amazonki zawlokły jego i Zingarankę na centralny plac Gamburu, a następnie wrzucono ich oboje do płytkiej niecki na środku placu, której spód zaścielał piasek. Gdy tuż po przybyciu do Gamburu Conan dostrzegł to zagłębienie, skojarzyło mu się ono z areną, którą widział w Messancji w czasie, gdy był najemnikiem w Argos. Tamta arena była jednak głębsza, a w jednym z jej boków znajdowały się drzwi dla dzikich zwierząt.

Inną osobliwością tutejszego zagłębienia była kępa drzew w jego środku. Zapewne były to drzewa kulamtu, o których mówiła Nzinga. Przyjrząwszy się najbliższemu z nich, Conan stwierdził, że są odmienne od wszystkich drzew, jakie dane mu było widzieć, chociaż trochę przypominały palmy bananowe. Ich pnie wyglądały na gąbczaste i włókniste, nie zwęzły się jednak w szpic, lecz kończyły okrągłymi otworami, przypominającymi wilgotne usta. Pod nimi rosły wieńce szerokich i grubych liści wielkości człowieka, których górna powierzchnia była pokryta włoskowatymi wyrostkami.

Ubrane w lamparcie skóry, pióropusze i pobrzękującą, barbarzyńską biżuterię Amazonki gromadziły się powoli na kamiennych stopniach, okalających arenę. Były wśród nich wszystkie ważne dworzanki Nzingi, poznane przez Conana na ucztach.

Cymmerianin sprawdził wytrzymałość swoich pęt. Na ogorzałych ramionach wystąpiły postronki mięśni, brwi ściągnęły się mu z wysiłku, ale liny oparły się jego wysiłkom. Rozluźniły się odrobinę, nadal jednak mocno krępowały ramiona i kostki. Wojowniczkę, które związały ręce i nogi Conana, znalazł się na swoim rzemiośle.

Ławy zapełniły się całkowicie. Na znak królowej Nzingi, siedzącej w otoczeniu swoich dam, strażniczki przyciągnęły Conana i Chabelę w pobliże kępy dziwnych drzew i wycofały się spieszenie, porzucając dwójkę rozciągniętych na piasku więźniów.

Gwar wokół niecki nasilił się. Amazonki wskazywały więźniów palcami, trajkotały, śmiały się, nawoływały — jednym słowem, miały dobrą zabawę.

Chabela krzyknęła. Równocześnie Conan poczuł dotknięcie na stopie. Wykręciwszy głowę, ujrzał jego przyczynę.

— Na Croma! — stęknął.

Pień drzewa kulamtu zgiął się, a jeden z szerokich liści powoli owijał się wokół kostki Cymmerianina. Chabela krzyknęła ponownie. Obejrząwszy się, Conan ujrzał, że jej kończynę więźną w uchwycie drugiego drzewa.

Barbarzyńca zacisnął zęby. Nie znał tej części Kush, jednak przed wieloma laty, gdy grasował z Belit wzdłuż Czarnego Wybrzeża, nasłuchiwał się mrozących krew w żyłach opowieści o okropnościach dżungli. Przewijała się wśród nich plotka o drzewie pożerającym ludzi, lecz wówczas Conan potraktował to jako jeden z wielu barbarzyńskich przesądów. Teraz zbladł. Zrozumiał, skąd u podstawy drzew wziął się kopczyk wyschniętych ludzkich kości. Lepkie, mieczowate liście owijały się powoli wokół ciała ofiary, unosiły je ku ohydnemu otworowi na wierzchołku pnia i los oddanego na pastwę drzewa nieszczęśnika był przypieczętowany. Piekielne drzewo połykało ludzi żywcem, jego soki trawiły ciało, aż w końcu roślina — ludojad wypluwała gołe kości.

Taki właśnie los szykowano Conanowi. Mimo rozpaczliwych wysiłków barbarzyńcy, by odtoczyć się na bok, trzy wielkie liście owinęły się wokół niego i powoli uniosły go do pozycji siedzącej. Każdy z włoskowatych wyrostków parzył w miejscu dotknięcia jak ukąszenie szerszenia.

Cichy odgłos, który Cymmerianin usłyszał mimo przeraźliwych wrzasków z ław, wlał nowe siły w jego potężne mięśnie. Był to dźwięk pękającego pasma splecionych włókien. Po chwili trzasnęło kolejne. Conan rozpaczliwie napiął mięśnie. Puściło jeszcze kilka pasm. Udało mu się uwolnić ramię. Zdarł liść, który zaczynał owijać się wokół jego głowy. Zwalił się na

piach, rozrywając kolejne sznury i zdzierając Ignące do ciała, wilgotne liście. Tam, gdzie roślina dotknęła jego kończyn, skóra pokryła się swędzącymi, czerwonymi plamami.

Zgiełk, rozlegający się wokół, pozwolił Conanowi wywnioskować, że coś podobnego jeszcze nigdy się nie zdarzyło. Najwidoczniej do tej pory Amazonki rzucały drzewom–ludojadom ofiary wycieńczone torturami lub więzieniem, nigdy zaś nie oddały roślinnym katom giganta o nadludzkiej sile. Zrywając z siebie ostatni liść, Conan poprzysiągł sobie, że Amazonki gorzko zapłacą za swoją omyłkę.

Wpierw wszakże musiał ratować Chabelę spowitą grubymi liśćmi jak mumia od stóp do głowy. Księżniczka była już w pół drogi do paszczy drzewa. Cymmerianin podskoczył i chwycił więżące księżniczkę odrosty. Drzewo okazało się zbyt słabe, by poradzić sobie z ciężarem ich obojga. Część liści podarła się, inne oderwały całkowicie od pnia. Trzymając dziewczynę w ramionach, Conan runął na gorący piasek. Błyskawicznie zerwał spowijające Chabelę liście, które wiły się, jakby z bólu. Skórę księżniczki, tak jak Conana, pokrywały czerwone plamy. Cymmerianin szybko zerwał pętające dziewczynę sznury.

Amazonki ogarnęła furia. Kilka z nich wskoczyło na arenę i popędziło z łoskotem stóp w stronę więźniów. Słońce zabłysło na zbrojach i broni wojowniczek. Conan oderwał ostatni liść z twarzy Chabeli, umożliwiając jej oddychanie i odskoczył od niej, by zetrzeć się z ludźmi.

Amazonki nie rzuciły się na niego wszystkie naraz, jak się spodziewał. Miał porachować się z nieposłuszną ofiarą, zatrzymały się o parę kroków od Conana, potrząsając bronią oraz wykrzykując groźby i obelgi. Cymmerianin uświadomił sobie, że nie obawiają się jego, bezbronnego i niemalże nagiego, lecz drzew za jego plecami. Conana nie obchodziło, czy opieszałość Amazonek wynika wyłącznie ze strachu przed odrażającymi, ludożerczymi roślinami, czy z tego, iż drzewom oddawano boską cześć, jednak chwila wahania napastniczek podsunęła mu pewien pomysł.

Zawrócił i wparł się barkiem w pień drzewa, które próbowało zrobić sobie z niego przekąskę, teraz kołyszącego się i potrząsającego z bólu naderwanymi liśćmi. Tym razem nawet nie próbowało wziąć Cymmerianina w objęcia. Włochaty pień wyglądał na równie kruchy jak u bananowca.

Naparłszy z całych sił na pień, Conan poczuł, jak drzewo powoli pęka, wydając odgłos jak rozdierana tkanina. Jeszcze jedno pchnięcie, i pień wyskoczył z gruntu. Z trybun rozległ się jęk religijnej zgrozy. Cymmerianin uchwycił drzewo jak taran. Był on prawie dwa razy wyższy od dorosłego mężczyzny, a przy tym zadziwiająco lekki.

Wymachując pniem Conan zaatakował wojowniczeki, które z piskiem rozpierzchły się przed jego szarżą. Cymmerianin zaśmiał się triumfalnie. Amazonki wyraźnie bały się świętego drzewa i nie miały ochoty znaleźć się w jego pobliżu. Conan obrócił się dookoła, powalając pniem dwie wojowniczeki. Pozostałe uciekły na trybuny.

Na Cymmerianina posypał się deszcz oszczepów. Jeden z nich z łoskotem utkwiał w pniu o szerokość dłoni od jego ramienia. Kilka zakrzywionych noży bojowych zaświstało mu koło głowy.

— Chabela! — zagrzemiał. — Weź włócznię i idź się za mną!

Obydwoje ruszyli biegiem do brzegu niecki. Conan pędził pierwszy. Zagradzająca mu drogę grupa Amazonek rozpierzchła się, gdy zamachnął się w ich stronę ociekającym sokiem trawiennym górnym końcem pnia.

Conan sądził, że po wyjściu z niecki stanie w obliczu armii gotowych rozprawić się z nim gamburskich wojowniczek. Tymczasem gdy wydostał się z areny, jego oczom ukazał się zgoła odmienny widok. Powietrze przecinały płonące strzały. Pobliskie dachy zajmowały się ogniem. W kałużach posoki leżało kilkanaście trupów, z których sterczały bełty strzał, słychać było odbijające się echem chóralne bojowe okrzyki. Miasto Amazonek zostało napadnięte.

Tłum czarnych wojowników, niewątpliwie płci męskiej, wylewał się z ulic od strony Zachodniej Bramy. Wystrzeliwując raz po raz chmurę strzał, posuwali się równymi szeregami i kosili grupki Amazonek, które próbowały atakować ich szyk.

Za rzędem łuczników Conan wypatrzył głowę Jumy. Zawołał go po imieniu. Juma dostrzegł go, uśmiechnął się, i gromkim krzykiem wydał rozkaz w języku swojego ludu. Szyk został złamany, łucznicy pośpieszyli, by otoczyć ochronnym pierścieniem Cymmerianina i Zingarankę. Conan odrzucił pień i zaczął się cofać wraz z wojownikami. Poddani Jumy wycofali się teraz tą samą drogą, którą wdarli się do środka miasta.

Roześmiany Conan trzepnął Jumą w ramię.

— Zastanawiałem się, czy się zjawisz — powiedział. — Ledwie zdążyłeś na czas!

Juma zaśmiał się i wyrwał amazońską strzałę z wysokiej tarczy ze skóry nosorożca.

— Tak uważasz, Conanie? Zdawało mi się, że świetnie sobie radzisz.

W trakcie odwrotu do Zachodniej Bramy Juma wyjaśnił, że jego tropicielom udało się stwierdzić, że łowcy niewolników podążyli do Gamburu, po czym zwołano pospolite ruszenie czarnych wojowników, którzy ruszyli na stolicę Amazonek.

— Bałem się, że nie znajdę cię żywego — zakończył czarny monarcha. — Powinienem był wiedzieć, że kogo jak kogo, ale ciebie, Conanie, zastanę jak zwykle podczas walki, próbującego w pojedynkę pokonać całą armię Amazonek.

Gdy dotarli do bramy, Conan zauważył rudą brodę i niebieskie oczy Sigurda, którego pozostawiono tu z oddziałem uzbrojonych żeglarzy, by nie dopuścili do odcięcia drogi odwrotu czarnej armii. Cymmerianin i Vanir pozdrowili się machnięciem ręki, ale nie tracili czasu na wyjaśnienia.

Przechodząc przez bramę, Conan uśmiechnął się szczęśliwy, że zostawia za sobą gród królowej Nzingi. Władczyni Amazonek była wspaniałą kobietą, doskonałą towarzyszką w łóżnicy, jednak Conan nigdy nie był zadowolony z urzędu „odpoczynku królowej”. Poza tym podejrzewał, że niejeden z byłych kochanków czarnej monarchini trafił w paszcze drzew — ludojadów, gdy niestała i upartą Nzingę zaczynały nużyć ich objęcia.

— Widzę teraz, co miałeś na myśli, mówiąc o szkoleniu swoich łuczników na turańską modłę — odezwał się do Jumy, gdy bezładna zgraja Amazonek wypadła przez bramę w pościgu za poddanymi Jumy. Czarni wojownicy przegrupowali się, zwarli szyk i zaczęli wypuszczać kolejne salwy strzał tak długo, aż przeciwniczki, które pozostały przy życiu, załamały się i zawróciły do miasta.

Wkrótce armia Jumy dotarła pod osłonę drzew. Gdy wojownicy odpoczywali, Conan i Sigurd przywitali się serdecznie. Spostrzegłszy Chabełę, Sigurd przypadł na kolano.

— Księżniczko! — zawołał wzburzony. — Na cycki Isztar i ogniste brzucholochy, powinnaś się w coś odziać! Co by na to powiedział twój ojciec? Włóż to, pani!

Vanir podał księżniczce koszulę zdartą z własnego grzbietu. Księżniczka wdziała ją i podwinęła rękawy. Z racji wysokiego wzrostu Sigurda, koszula wystarczyła, by okryć krągłe kształty Chabeli.

— Dzięki, Sigurdzie — rzekła księżniczka. — Oczywiście masz rację, lecz tak długo byłam zmuszona chodzić nago wśród nagiego ludu, że przywykłam do tego.

— Dokąd teraz, Conanie? — spytał Sigurd. — Nie wiem jak ty, ale mam dosyć tej parnej dżungli. Jeśli nie pozrą nas żywcem moskity i pijawki, lwy z radością dokończą za nie robotę.

— Wracamy do Kulała i odpływamy bez zwłoki — postanowił Conan. — Jeśli ci, których zostawiliśmy, odpłynęli bez nas, obedre ich żywcem ze skóry!

— Nie możecie odpłynąć przed ucztą z okazji zwycięstwa! — zaprotestował Juma. — Teraz, gdy pokonaliśmy gamburskie Amazonki, rozciągnę władzę mojego imperium na wszystkie okoliczne ziemie. Ludzie mają ochotę spić się do nieprzytomności bananowym winem...

— Jestem ci wdzięczny, druhu, ale obawiam się, że nie możemy tracić czasu. Czekają nas poważna robota w Zingarze. Uknuto spisek przeciwko ojcu księżniczki Chabeli, królowi Ferdrugowi, dlatego musimy natychmiast wracać do domu. Wygląda na to, że knuje przeciwko niemu także połowa stygijskich czarnoksiężników. Nasza uczta z okazji zwycięstwa musi poczekać, bo jeszcze go nie odnieśliśmy...

ROZDZIAŁ 17 DRAMAT „SZELMY”

Droga przez dżunglę od Gamburu do Kulało, stolicy ziem króla Jummy, a stamtąd do ujścia Zikamby, gdzie pozostał „Szelma”, zajęła kilka dni. Chabela była zbyt wyczerpana, by podróżować pieszo, więc Murzyni Jummy naprędce skonstruowali dla niej lektykę z bambusowych kijów i surowego płótna. Conanowi do odzyskania sił wystarczyło parę godzin odpoczynku, bukłak mocnego wina i wielki poć pieczonego mięsa. Nie po raz pierwszy niemal zwierzęca witalność, którą Cymmerianin zawdzięczał swojemu barbarzyńskiemu dziedzictwu, zapewniła mu przewagę nad słabszymi mieszkańcami krain, które przemierzał. Fizyczna wyższość nie napawała go jednak dumą, ponieważ uważał to za zasługę swoich przodków lub bogów.

Podróżnicy dotarli nad porośnięte palmami brzegi Zikamby po zachodzie słońca. Nim osiągnęli rozszerzające się w deltę ujście rzeki, miedziana tarcza księżycy wzniosła się na niebo. Słodka, gęsta od nanoszonego mułu woda strumienia wlewała się do morza. Huczał przybój.

Na brzegu czekała na powracających gorzka niespodzianka.

Sigurda zatkało. Gdy odzyskał dech, z jego ust buchnął potok przekleństw. Conan milczał, jednak jego ogorzala, przypominająca maskę twarz pociemniała z gniewu.

Do połowy zatopiony „Szelma” spoczywał na płyciźnie. Fale przetaczały się po jego pokładzie. Z masztów pozostały zwęglone kikuty, kadłub osmalił ogień. Wnosząc z zastanego widoku i szeregu mogił usypanych na skraju dżungli, nachmurzony Conan doszedł do wniosku, że na wybrzeżu rozegrała się przegrana dla „Szelmy” bitwa.

Czujni wartownicy zareagowali na odgłosy zbliżania się Jummy i jego towarzyszy. Zabrzmiały ostrzegawcze okrzyki i tupot stóp. W świetle pochodni zabłysły obnażone kordy w dłoniach grupki żeglarzy.

Conan rozepchnął swoich towarzyszy i wyszedł naprzód. Resztką załogi była w oplakanym stanie. Większość spowijały brudne bandaże, niektórzy utykali, wspierając się na kulach. Na czoło korsarzy wysunął się Zeltran. Baryłkowaty bosman stracił sporo na wadze. Prawy bark miał owinięty bandażem. W lewej ręce dzierżył szablę.

— Kapitanie! — zawołał. — To ty? Niech mnie utopia, ale nie spodziewałem się, że cię jeszcze zobaczę. Można było pomyśleć, że dżungla cię pożarła!

— Żyję, Zeltranie — odparł Conan. — Ale co tu się działo? Widzę, że coś złego, ale z czyjej ręki was to spotkało?

— Tego psa Zarona! — warknął Zeltran potrząsając żałośnie głową. — Trzy dni temu zaskoczył nas „Petrel”...

— Zaskoczył?! — zagrmiał Conan. — Jak mogliście do tego dopuścić?! Nie wystawialiście wacht?!

— Aż za dużo, kapitanie, ale nawet wszystkie wachty na świecie nie wypatrzyłyby „Petrela”! — Zeltran zaklął szpetnie. — Otoczyła nas mgła. Tak gęsta, jakiej te oczy jeszcze nie oglądały. Widać było tyle, jakby człowiek przystawił nos do granitowej ściany...

— Tak, kapitanie, to prawda! — potwierdził jeden z żeglarzy. — To były czary, kapitanie. Czarna magia, niech mi flaki usmażą, jeśli było inaczej!

— I pod osłoną tej mgły „Petrel” podpłynął do was, a jego załoga spustoszyła statek, tak?
— burknął Conan.

— Tak, panie, tak właśnie było — odrzekł Zeltran. — Zdążyliśmy tylko usłyszeć, jak statek Zaronu ociera się o naszą burzę, a potem jego ludzie wdarli się na pokład i rzucili na nas. Walczyliśmy dobrze, bogowie nam świadkami, wystarczy popatrzeć na nasze rany, ale zaskoczyli nas i było ich więcej. W końcu przyparli nas do burty. Musieliśmy ratować się skakaniem do wody. Próbowaliśmy osłaniać odwrót naszych chłopaków...

— Tak, kapitanie — dodał jeden marynarz. — Powinieneś być go widzieć. Rąbał kordem za trzech...

— ...ale ktoś dał mi w łeb. Kiedy doszedłem do siebie, byłem przywiązany do masztu, a przede mną paradowały roześmiane psy Zaronu. Potem podszedł ten szubrawiec, wystrojony w koronki i żabocik, razem z kapłanem Menkarą, gadem jednym! „Ach, mój dobry człowieku” — powiada Zaronu — „gdzież to się podziewa twój pan, ten barbarzyński cham, Conan?” Odpowiedziałem, że popłynąłeś na brzeg. Zaronu dał mi w zęby i powiada: „Widzę, durniu, ale dokąd dokładnie się wybrał?” „Nie wiem, panie”, gadam, bo widzę, że nie ma co narażać się temu typkowi. „Zaprzyjaźnił się z czarnymi wojownikami, którzy mieszkają tu, w okolicy i wybrał się do nich z wizytą” — tak mu powiedziałem. On na to: „A gdzie ta zingarańska dziewczucha, którą przy sobie trzyma?” Powiedziałem, że o ile wiem, wybrała się razem z tobą. „Ale dokąd, człowieku? Którędy, na jak długo?” wypytywał mnie. Udawałem, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest siedziba króla Jummy, nawet gdy zaczęli mnie łaskotać pod prawą pachą rozżarzonymi węglami. Potem Zaronu i ten stygijski klecha poszli na bok i o czymś tam mamrotali po cichu. Kapłan rozstawił na nadbudówce jakiś ołtarz, po czym długo dukał i stękał, a wokół niego skakały niesamowite światełka. W końcu powiada do Zaronu: „Widzę, że jest niesiona w lektyce ścieżką w dżungli. Towarzyszy jej silny oddział czarnych wojowników. Tyle mogę ci powiedzieć”. Powiadam ci, kapitanie, Zaronowi jakby ktoś soli pod ogon nasypał, taki był wściekły. Przyłożył mi parę razy, żeby sobie ulżyć, i gada: „Jak, na wszystkich bogów, mam przeczesać olbrzymie kushyckie dżungle, by znaleźć tę dziewczkę, a potem wyrwać ją z łap setek dzikich barbarzyńców?! Równie dobrze mogą mi kazać wskoczyć na Księżyc!” Zaronu i Menkara podeliberowali jeszcze trochę. Uradzili, żeby spalić „Szelmę” i natychmiast ruszać do Kordawy. Postanowili zahaczyć o Stygię, by zabrać swojego kamrata. O ile dobrze usłyszałem, to jakiś Thoth–Amon.

— Thoth–Amon? — powtórzył Conan. — Już kiedyś wszedł mi w paradę. Z tego, co o nim słyszałem, nikomu nie życzyłbym takiego wroga. Mów dalej, wygląda na to, że te dwa psy nie hamowały języków w twojej obecności.

— Ach, kapitanie, nie sądzili, że ujędę z życiem, by móc o tym opowiadać! Zaronu w końcu wydał rozkazy. Część jego ludzi wyrąbała dziurę w burcie na poziomie wody, a pozostali nakładli drewna wokół masztów i podpalili je.

— A ty byłeś przywiązany do jednego z nich?

— Właśnie, panie. Do głównego, gwoli prawdy. Nie spodobał mi się pomysł, żeby się spalić żywcem, dlatego gdy obwiesie Zaronu załadowali się na „Petrela” i odpłynęli, modliłem się do Mitry, Isztar, Asury i wszystkich innych bogów, o których słyszałem, żeby wyratowali mnie z tej biedy. Nie wiem, czy bogowie wysłuchali moich modłów, ale gdy tylko „Petrel” zniknął we mgle, zaczęło padać. „Szelmę” nabierał wody przez dziurę w burcie, aż osiadł na płyciźnie, tak jak go teraz widzisz. Wierciłem się, kręciłem, aż w końcu udało mi się zsunąć sznury z ramion, bo ci partacze nie zawiązali ich, jak prawdziwy marynarz powinien. Kiedy tylko się uwolniłem, kopniakami zrzuciłem większość tego, co się paliło, za burty, a deszcz ugasił płomień do reszty. Mimo to ogień zdążył strawić maszty i olinowanie. Tak sprawa się miała.

Conan skwitował jego relację mruknięciem.

— Gdyby Zarono był sprytniejszy, nie starałby się naraz spalić i zatopić statku. Albo jedno, albo drugie: te dwie rzeczy nawzajem się wykluczają — poklepał Zeltrana po ramieniu, co wywołało okrzyk bólu bosmana, ponieważ Conan trafił w jego obolały prawy bark. — Wierzę, że spisałeś się z chłopakami najlepiej, jak potrafiliście. Teraz musimy jednak zaplanować nasze następne posunięcie, czyli doprowadzić „Szelmę” do stanu używalności najszybciej, jak to możliwe.

— Niestety, kapitanie, nie wyobrażam sobie, jak można zrobić to szybciej niż w ciągu kilku miesięcy — mina Zeltrana wydłużyła się. — Nie ma tu doku, z dżungli nie przybiegnie też na zawołanie kilku cieśli okrętowych.

Juma wysunął się przed swoich wojowników.

— Moi ludzie pomogą wam naprawić statek — powiedział. — Dostatek silnych rąk powinien to ułatwić.

— Być może — rzekł z zamyśleniem Conan. — Jestem ci wdzięczny, ale czy twoi wojownicy znają się na okrętowym rzemiośle?

— Nie, nie wyprawiamy się na morze, ale jest nas wielu i nie brak nam sił. Jest też wśród nas paru dobrych cieśli. Jeśli twoi ludzie pokażą im, co należy zrobić, będą pracować, dopóki nie skończą roboty.

— Dobrze — odparł Conan i podniósłszy głos zwrócił się do zniechęconej załogi: — Bracia korsarze! Przegraliśmy bitwę, ale nie wojnę! Czarny Zarono, który pokonał was dzięki zdradzieckiej magii, płynie teraz do Zingary, licząc, że zdoła obalić naszego przyjaciela i patrona, dobrego króla Ferdruga. Wojownicy króla Jумы pomogą nam naprawić statek, a wtedy żagle na maszt! Zemścimy się na łotrze i uratujemy Ferdruga przed niecnymi knowaniami! Co o tym myślicie?

— Straciliśmy wielu dobrych ludzi — odrzekł bosman, skinieniem głowy wskazując rząd grobów.

— Tak, ale są z nami Argosańczycy Sigurda. Jeśli wszyscy skrzyknemy się w jedną załogę, nie roztrząsając dłużej, kto jest lepszy, piraci czy korsarze, uda się nam! I co wy na to? Odpowiedzcie tak, żebym usłyszał!

Gromkie okrzyki żeglarzy nagrodziły jego słowa. W świetle księżyca zabłyśły ostrza kordów.

Jeszcze nigdy Conan nie widział tak ciężko pracujących ludzi. Przywiązano liny do szczątków spalonych masztów i osadzono statek na równej stępce. Nurkowano do zatopionej ładowni po narzędzia. Ścięto kilka drzew, porznięto je na deski i załatano dziurę w kadłubie „Szelmę”. Wypompowano wodę, aż statek odzyskał wyporność i utrzymywał się w miejscu tylko na łańcuchach kotwicznych. Kolejnymi ściętymi drzewami zastąpiono spalone maszty i reje. Mieszkanki Kulało uszyły nowe żagle. Zingarańczycy, Murzyni i Argosańczycy pracowali dniami i nocami.

W końcu nadszedł dzień wypłynięcia. Korsarze zataczali się ze zmęczenia, lecz „Szelmą” był gotów chwycić w żagle poranną bryzę.

Przez całą noc procesja poddanych Jумы znosiła na brzeg zapasy: beczki wody, baryłki z twardymi plackami kukurydzianymi, kosze świeżych owoców, połcie wędzonej wieprzowiny, beczułki słodkich ziemniaków i warzyw. Było tego dość, by wykarmić korsarzy podczas podróży na drugą stronę świata.

Gdy świt zabarwił wschodni horyzont, Conan pożegnał się z Jumą. W przeszłości walczyli wspólnie w legionach króla Yildiza Turańskiego, potem razem przemierzali bezkresne śniegi Talakmasu. Stawiali czoła hałaśliwym, skośnookim wojownikom w fantastycznych zbrojach z pociągniętej żywicy skóry i ożywionemu kamiennemu idolowi w zapomnianej dolinie

Meru. Ostatni zaś bój stoczyli w parnej kushyckiej dżungli. W milczeniu, uśmiechając się uściskali się tak, że żebra trzeszczały.

Na „Szelmie” podniesiono żagle. Płótno wydeło się. Czarni wojownicy z żonami i nagimi dziećmi wylegli na brzeg, by pożegnać statek. I tak „Szelma” wypłynął na głębokie wody i obrał kurs na Zingarę.

ROZDZIAŁ 18

KRÓLESTWO NA SZALI

O zachodzie słońca Conan wprowadził „Szelmę” do kordawskiego portu. Pojawiające się na ciemniejącym niebie gwiazdy kryły się co chwila za grubą zasłoną chmur.

Mało kto widział, jak chyża karaka posuwa się w ciszy wzdłuż wielkiego portu i delikatnie dotyka dziobem rzadko używanego pirsu przy końcu nadbrzeża. Conan uznał, że do miasta należy dostać się, zwracając na siebie jak najmniej uwagi. Nie wiedział bowiem, czy Villagro zdołał już przechwycić władzę. Nie wiedział również, od jak dawna Zaron i Thoth–Amon znajdują się w mieście. O tym, że go wyprzedzili, upewnił się, gdy Zeltran dotknął jego ramienia i wskazał jeden ze statków.

— „Petrel” Zaron! — syknął bosman. — Kapitanie, przyszło mi do głowy, że skoro nikogo nie widać na pokładzie, powinniśmy wdrzeć się i spalić...

— Opanuj się, zawiadacki kogucie — burknął Conan, jednak na jego ustach widać było uśmiech. — I kto okazuje się wartogłowem? Gramy o znacznie większą stawkę. Naszych wrogów na pewno tam nie ma. Bez wątpienia wślizgnęli się już do zamku Ferdruga, motając sieci, w których chcą uwięzić starego króla.

Zniecierpliwiona Chabela pociągnęła Cymmerianina za rękaw.

— Pozwól mi pośpieszyć do pałacu, kapitanie Conanie! Jak chcecie, możecie podążyć za mną. Muszę natychmiast ostrzec ojca przed spiskiem, inaczej zdrajcy Villagra i Zaron zdołają...

— Hola, dziewczyno — odparł Conan. — Nie trać głowy. Już dawno nauczyłem się, że nie warto wchodzić w pułapkę, jeśli można jej uniknąć. Niewykluczone, że Villagro i jego czarnoksiężnik, Thoth–Amon, zdobyli już władzę. W tej sytuacji ruszając do pałacu zachowalibyśmy się jak mucha, śpiesząca w objęcia pająka. O nie, wymyśliłem coś innego..

— Co takiego? — zapytała kategorycznie dziewczyna.

— Najpierw musimy odwiedzić jedyne miejsce w Kordawie, w którym będę bezpieczny — uśmiechnął się ponuro. — Tawerna „Pod Dziewięcioma Wyciągniętymi Mieczami”.

— „Pod Dziewięcioma Wyciągniętymi Mieczami”?

— Nie jest to miejsce, do którego wysoko urodzona księżniczka skierowałaby swoje kroki, lecz jest odpowiednie dla naszych celów. Zaufaj mi, panienko! Zeltran, potrzeba mi dziesięciu ludzi! Wydadaj im płaszcze, latarnie i zadbaj, by nałożyli kolczugi.

Ulice były ciche jak cmentarzysko. Przesądny jak wszyscy marynarze Sigurd wzdrygał się co i raz i nie spuszczał dłoni z rękojeści kordu. Rozchlapując kałuże szedł u boku Conana.

— Na pewno wszyscy albo nie żyją, albo są zakłęci — mamrotał, rozglądając się czujnie na wszystkie strony. Conan rozkazał mu zamilknąć.

Prócz kordawskich kotów nikt nie widział grupy odzianych w czarne sztormowe płaszcze korsarzy, którzy w milczeniu przekradli się bocznymi zaułkami pod drzwi tawerny „Pod Dziewięcioma Wyciągniętymi Mieczami”. Gdy wchodzili do środka, podszedł do nich stary Sabral mnąc w dłoniach fartuch.

— Proszę was, byście mi wybaczyli, ale interes jest zamknięty — stwierdził. — Władze nakazały, by dzisiaj wszystkie tawerny zamknąć o zmroku, muszę więc was prosić, byście... och!

Conan zdjął kaptur, odrzucił płaszcz i przysunął twarz o znieruchomiałym, zaciętym wyrazie do oblicza gospodarza tawerny.

— Co to ma znaczyć, przyjacielu?! — warknął.

— Ach, gdybym poznał szanownego kapitana od razu... Ależ oczywiście, drzwi „Dziwięciu Wyciągniętych Mieczy” stoją zawsze otworem dla kapitana Conana, zgodnie z prawem czy nie. Wchodźcie, chłopcy, zapraszam. Trochę potrwa, zanim rozpalę ogień i wydostanę coś na wyschnięte gardła, ale dostaniecie wszystko, czego sobie zażyczycie.

— Dlaczego władze kazały ci dziś wcześniej zamknąć tawernę? — zapytał Conan, sadowiac się w miejscu, skąd mógł bez trudu obserwować wejście.

— Mitra jeden wie, kapitanie! Wczoraj rano ogłoszono edykt królewski z tym zarządzeniem... Zaiste, nadeszły dziwne czasy, bardzo dziwne. Najpierw do brzegu dobija, bogowie wiedzą skąd, kapitan Zarono z watahą Stygijczyków na pokładzie i maszeruje wprost do królewskiego pałacu, jak gdyby był jego właścicielem. Żaden z ludzi króla nie powiedział mu złego słowa. Zupełnie jakby zostali zakłęci. Potem zaczęto ogłaszać te dziwaczne edykty: o zamykaniu bram miejskich o zachodzie słońca i temu podobne. Książę Villagro został mianowany wodzem armii, a w mieście ogłoszono stan oblężenia. To przechodzi ludzkie pojęcie, kapitanie, bez dwóch zdań! Zapamiętaj moje słowa, nic dobrego z tego nie wyjdzie!

— To ciekawe — rzekł Sigurd.

— Co jest ciekawe? — spytał Conan.

— Na oko Dagdy i wielki palec Orvandela! Twój przyjaciel Sabral powiada, że miasto zamyka się na noc szczelnie jak beczkę, lecz nikt nie przeszkodził nam wpłynąć do portu. Villagro chyba powinien był się domyślić, że powinien wysłać swoich opryszków do pilnowania portu.

— Pewnie sądzi, że „Szelma” wciąż leży na mieliźnie w ujściu Zikamby — odparł Conan.

— Ach tak — ucieszył się Sigurd. — Wypadło mi to z głowy. Zarono nigdy nie wpadłby na myśl, że z pomocą ludu Jummy zdołamy tak szybko naprawić statek.

— Zgadza się, rudzielcu. — Conan pokiwał głową. — Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, król Ferdruga będzie zawdzięczał swój tron czarnemu wojownikowi, o którym nigdy nie słyszał i którego nigdy nie ujrzy.

— Nie darzyłem do tej pory Murzynów wielkim poważaniem — stwierdził Sigurd. — Zawsze wydawali się mi zgrają przesądnych, dziecinnych dzikusów. Jednak twój druh Juma otworzył mi oczy. Jest urodzonym przywódcą, tak jak ty. Tak, w każdym narodzie i plemienu są bohaterowie i mierzwa.

Nie było jednak czasu na próżne pogawędki. Conan jął wypytywać Sabrala. Ten potwierdził wiele rzeczy, których korsarz domyślał się z obawą. Villagro nie przechwycił jeszcze tronu, jednak mogło to nastąpić w każdej chwili. Wierne królowi oddziały rozesłano pod byle pretekstami do pogranicznych prowincji. Oficerów znanych z wierności dynastii wysłano za granicę, zwolniono ze służby lub aresztowano i wtrącono do więzienia pod absurdalnymi zarzutami. Od zachodu słońca królewski pałac był całkowicie odcięty od reszty miasta. Najważniejsze posterunki trzymali zwolennicy Villagra. W pałacu miała się odbyć jakaś ceremonia, jednak Sabral nie umiał dokładnie powiedzieć jaka.

— Domyślam się, że abdykacja — burknął Conan, wpatrując się w posadzkę. Krążył po tawernie jak rozwścieczony lew w klatce. — Musimy dostać się do pałacu, ale jak? Villagro i Zarono postarali się, by odciąć do niego dostęp. Thoth–Amon musi trzymać Ferdruga twardo w garści. Jeśli jednak doprowadzimy do spotkania króla z córką, być może złamie to zakłęcie... Wtedy poużywamy sobie na zdrajcach. Gdzie ten przeklęty Ninus? Powinien być tutaj już pół godziny temu...

Sigurd zmarszczył brew. Conan na samym początku rozmowy zagadnął Sabrala o zdrowie kapłana. Zingarański oberzysta odpowiedział, że były złodziej powrócił do zdrowia i zaszył się w swej świątyni. Słyszając to, Conan wysłał marynarza, by przyprowadził kapłana do zajazdu.

— Kto to taki, ten Ninus? — zapytał Sigurd.

— Poznałem go przed laty, gdy byliśmy złodziejami w Zamorze. — Conan wzruszył ramionami. — Ninus powrócił do rodzinnej Zingary, gdy szkarłatne miasta Zamory stały się dla niego zbyt gorące. Tutaj przychylił ucha kazaniom miodoustych kapłanów Mitry, którzy przekonali go, że lepiej opływać w dostatki, wykorzystując lęki i przesady uczciwych mieszczuchów i znudzonych mieszczanek. Ponieważ Ninus zawsze wiedział, z której strony chleb jest masłem posmarowany, natychmiast się nawrócił i został akolitą Mitry. Nieważne; jeśli ktokolwiek zna tajne wejście do pałacu Ferdruga, to właśnie on! Nie spotkałem złodzieja przebieglejszego niż on. Ninus był sprytniejszy nawet od Taurusa z Nemedii, którego okrzyknięto księciem złodziei. Znajdował drzwi, których nikt inny...

Czuły słuch Conana wychwycił posępne, basowe uderzenie. Chabela zeszytniała i wbiła paznokcie w ramię Cymmerianina.

— Dzwon na Wieży Wszystkich Bogów! — jęknęła. — Och, Conanie, spóźniliśmy się!

— O co ci chodzi, dziewczyno? — Nachylił się mierząc księżniczkę przenikliwym wzrokiem. — Mów natychmiast!

— Dzwony oznajmiają, że król udziela audiencji! Zaczyna się...

Conan i Sigurd wymienili błyskawiczne spojrzenia i wystawili głowy przez okno, z którego widać było wznoszący się na wzgórzu pałac.

Na murach widać było zmierzające w różne strony światelka. Chabela powiedziała prawdę. Ceremonia rozpoczęła się

ROZDZIAŁ 19

KRÓL THOTH-AMON

Atmosfera w sali tronowej pałacu króla Ferdruga była upiorna. Za oknami pokryte chmurami niebo rozświetlały bezgłośnie na razie błyskawice. Sinoniebieski blask odbijał się w rżniętych w diamentowy wzór szybach spiczastych okien.

Okrągłą salę okalały podtrzymujące gigantyczne sklepienie marmurowe kolumny. Chwiejne płomienie świec grubości ramienia wojownika, osadzonych w krzepkich lichtarzach z kutego złota, rzucały posępne światło. Blask błyskawic, pochodni i lamp odbijał się w wypolerowanych jak zwierciadła tarczach i hełmach gwardzistów, rozstawionych pod ścianami.

Gwardzistów było dużo więcej niż przy podobnych okazjach. Samo to było wystarczającym powodem, by wzbudzić niepewność i podejrzenia tłumu szlachciców i dygnitarzy, wezwanych przez królewskich heroldów. Rozesłane przez gońców wezwania nakazywały obecność podczas odczytania królewskiej proklamacji.

Innym powodem do troski były stroje gwardzistów. Chociaż niektórzy mieli na sobie tuniki Legii Tronowej — osobistej gwardii króla, więcej odzianych było w barwy Villagra, księcia Kordawy.

Na środku sali, na podwyższeniu z lśniącego, zielonego, czarno żyłkowanego malachitu stał wiekowy tron dynastii Ramiro. Zasiadł na nim król Ferdrugo III.

Zebrani dygnitarze rzadko mieli okazję widzieć swojego monarchę w ciągu ostatnich miesięcy. Przyglądali się starym człowiekowi ze zdumieniem wywołanym szybkością, z jaką król postarzał się w ciągu tego czasu. Władca zapadł się w sobie. Jego kończyny wychudły, policzki miał zapadłe tak, iż kości policzkowe sterczały pod skórą. Blask świec zamieniał

oczodoły króla w głębokie studnie czarnego mroku, w których oczy niknęły pod posiwiałymi brwiami.

Na głowie, podtrzymywanej przez cienką, pomarszczoną szyję, spoczywała pradawna korona króla Ramira, założyciela dynastii. Była to gładka złota obręcz z kwadratowymi wypustkami, kojarząca się z blankami jakiejś zamkowej wieży.

W woskowatych, półprzezroczystych dłoniach król trzymał wielki arkusz pergaminu ozdobiony mnóstwem łąkowych pieczęci. Król Ferdrugo zaczął odczytywać jego treść drżącym, niepewnym głosem. Długa, nie kończąca się Usta tytułów i prawniczy żargon spotęgowały niepokój w umysłach zgromadzonych. Wszyscy mieli przeczucie, że jest to zapowiedź groźnej przyszłości.

Na posadzce przed tronem stało dwóch mężczyzn. Jednym był książę Kordawy. Pod nieobecność księcia Tovarra, młodszego brata króla, Villagro był pierwszym po monarsze człowiekiem w królestwie. Jego charcie, wygłodniałe oblicze wyrażało nerwowe napięcie i zarazem pełne zadowolenia oczekiwanie na to, co od dawna wiadome.

Obok Villagra stał drugi mężczyzna, obcy zebranych wielmożom. Wygolona głowa, jastrzębie rysy twarzy, śniada skóra, wysoki wzrost i szerokie barki sugerowały, że nieznajomy jest Stygijczykiem. Na jego głowie spoczywało osobliwe nakrycie: inkrustowana niezliczonymi białymi klejnotami złota korona, wykonana na podobieństwo zwiniętego w stożek węża. Gdy przybysz po wejściu do sali odrzucił kaptur szaty, co poniektórzy notable zaczęli szturchać się łokciami i ściszonymi głosami dawać wyraz swojemu oszołomieniu. Jeżeli klejnotami były rzeczywiście diamenty, których sztuka obróbki była nie znana w erze hyboryjskiej, w takim razie ich wartość była wprost nie do oszacowania, szepotali dygnitarze. Przy każdym najdrobniejszym poruszeniu cudzoziemca klejnoty siały odbitymi od ogni świateł tysiącami promieni o wszystkich barwach tęczy.

Na twarzy śniadego mężczyzny widniał wyraz niezmiernego skupienia. Był tak pogrążony w sobie, że ledwie zważał na otaczających go szlachciców. Zdawało się, że wszystkie siły jego umysłu zajmuje jedno, szczególne zadanie.

Wśród świty Villagra widać było złowieszcze oblicze korsarza Zarona i zakapturzoną postać, w której niejeden z obecnych rozpoznał Menkarę, kapłana Seta, o którym krążyła pogłoska, że jest najbliższym zausznikiem księcia.

Monotonnie cedzący słowa Ferdrugo dotarł wreszcie do końcówki dokumentu. Zgromadzona szlachta skamieniała ze zdumienia, gdy dotarło do niej znaczenie królewskich słów:

— ...tak też My, Ferdrugo Zingarański, zrzekamy się tronu na rzecz naszej córki i następczyni, księżniczki Chabeli, ogłaszając równocześnie jej zaręczyny z wybranym przez nią przyszłym królem Zingary, arcyksięciem Thoth–Amonem Stygijskim! Niech żyją król i królowa! Niech żyją Chabela i Thoth–Amon, od tej pory dzierżący tron pradawnego królestwa Zingary!

Na całej sali widać było opadające ze zdumienia szczęki i rozszerzające się oczy. Największe niedowierzanie odmalowało się na twarzy księcia Kordawy, Villagra. Wybałuszywszy oczy, utkwiał wzrok w królu Ferdrugu. Ziemiste oblicze księcia nabrało barwy ołowiu. Ściągnął wąskie, uróżowane wargi w bezgłośnym warknięciu, ukazując poźółkłe zęby i odwrócił się do stojącego obok wysokiego, milczącego mężczyzny. Niewzruszony Stygijczyk obdarzył go obojętnym uśmiechem. Nim Villagro zdołał wydusić z siebie cokolwiek, Thoth–Amon odsunął go na bok i wszedł po stopniach na podest tronu, jakby spodziewał się aplauzu tłumu. Jednak nikt nie wiwatował. Słysząc było jedynie narastający rozgwar zirytowanych głosów. Przez zgiełek przebił się drżący głos Ferdruga:

— Ukłęknij, mój synu!

Wysoki Stygijczyk zatrzymał się przed zamorańskim monarchą. Przypadł na jedno kolano, zdjął ze skroni Koronę Kobry i delikatnie odłożył na malachitowy podest.

Ferdrugo wstał i zdjął z głowy prostą, liczącą sobie wiele setek lat koronę króla–bohatera Ramiro. Trzęsącymi się dłońmi opuścił ją na gładko wygoloną czaszkę Thoth–Amona.

Uświadomiwszy sobie w pełni rozmiary zdrady swojego sprzymierzeńca, Villagro sięgnął po sztylet. Zamierzał zaniechać wszelkiej ostrożności i wbić ostrze w plecy klęczącego wielkiego maga, jednak w tym momencie spojrzenie jego wytrzeszczonych oczu skupiło się z maniacką intensywnością na Koronie Kobry. Villagro wiedział co nieco o jej mocy. Po powrocie ze swojej misji, Zarono wyjaśnił mu:

— Z tego, czego dowiedziałem się od Menkary i co wymknęło się podczas podróży Thoth–Amonowi, wnoszę, wasza wysokość, że Korona Kobry wzmacnia i potęguje siłę ludzkiego umysłu tak, iż możliwe jest wpływanie na umysły innych ludzi. Menkara, który jest miernym czarnoksiężnikiem, może bez jej pomocy kontrolować umysł drugiego człowieka, w tym wypadku naszego zramolałego króla. Thoth–Amon, mag o wiele potężniejszy, potrafi samodzielnie opanować kilka umysłów naraz, jednak ten, kto nosi koronę i wie, jak się nią posługiwać, jest zdolny dzięki jej mocy rządzić umysłami setek lub nawet tysięcy ludzi. Może na przykład nakazać legionowi atak, tak iż żołnierze zlekceważą całkowicie fakt, że idą na śmierć. Może nakazać lwu, jadowitemu wężowi czy innemu zabójczemu stworzeniu odszukać i zabić swojego wroga. Nikt nie jest w stanie obronić się przed posiadaczem Korony Kobry. Tego, kto nią włada, nie można uśmiercić za pomocą zasadzki ani spisku. Korona zawsze przekazuje swemu panu myśli spiskowców, bowiem odbiera zamiary wszystkich, którzy znajdują się w odległości strzału z katapulty. Dla takich śmiertelników jak ty czy ja, panie, plagą jest wieczne niewypełnianie poleceń przez naszych podwładnych, tak jak chociażby wtedy, gdy moi żeglarze pozwolili wymknąć się księżniczce, lecz Thoth–Amon nie musi obawiać się takich komplikacji. Gdy wyda myślowe polecenie, zostanie ono dokładnie wykonane, nawet za cenę życia tych, którzy je otrzymali.

Teraz, by przypieczętować objęcie tronu przez Thoth–Amona, Ferdrugo własnoręcznie wkładał pradawną koronę Zingary na skronie Stygijczyka. Jednak by to umożliwić, czarnoksiężnik był zmuszony zdjąć Koronę Kobry. Książę Villagro dostrzegł w tym swoją szansę.

Poruszając się z szybkością przeczącą jego latom, zerwał z głowy aksamitną kapuzę i wskoczył na podest tronu. Ponieważ Thoth–Amon zdjął Koronę Kobry, nie został przez nią ostrzeżony o zamiarach byłego sprzymierzeńca. Villagro udało się bez trudu schwycić Koronę Kobry i wcisnąć ją sobie na głowę.

Książę ruszył przed siebie, lecz usłyszał stłumiony, gardłowy krzyk. Zorientował się, że wydał go stojący w pobliżu Menkara. Obróciwszy się, Villagro spostrzegł, że kapłan zbliża się do niego z obnażonym sztyletem w kościstej dłoni.

Gdy tylko korona spoczęła na pomalowanych włosach księcia, mózg Villagra zaczęły zalewać potoki niezwykłych wrażeń. Czuł się, jakby do jego świadomości równocześnie dotarły nie wypowiedziane myśli wszystkich osób w komnacie, tworząc brzęczący, dudniący zgiełk. Nie będąc czarownikiem, Villagro nie potrafił uporządkować tych przypadkowych doznań.

Gdy Menkara zbliżył się do niego, zdesperowany książę skupił swoje myśli na kapłanie. Wyciągnął w jego stronę dłoń w czymś, co, jak miał nadzieję, było czarnoksiężskim gestem i ze wszystkich sił skoncentrował się na wizji padającego bez życia Menkary.

Istotnie, rozpędzony Menkara zatrzymał się u stóp podestu i zatoczył w tył, jakby wymierzono mu potężny cios. Sztylet Stygijczyka upadł z brzękiem na posadzkę.

Thoth–Amon spostrzegłszy, co się dzieje, podniósł się. Jego lwi ryk sprawił, że Villagro zwrócił się ku niemu.

— Psie! Zginiesz za to! — krzyknął Stygijczyk po zingarańsku z gardłowym akcentem.

— Giń sam! — odkrzyknął Villagro, wyciągając palce w stronę Thoth–Amona.

Lecz potężnego czarnoksiężnika nie było łatwo pokonać, nawet z pomocą Korony Kobry. Chociażby dlatego, że jej aktualny posiadacz był pozbawionym praktyki ignorantem. Przez chwilę trwała napięta, wyczerpująca próba sił umysłów dwóch stojących twarzą w twarz mężczyzn. Władza Villagra nad umysłami innych, którą zawdzięczał koronie, mniej więcej równała się mocy pozbawionego jej Thoth–Amona, jednego z najpotężniejszych czarnoksiężników swej epoki. Stygijczyk i Zamorańczyk zaangażowali się w walkę bez reszty, lecz rozstrzygnięcie nie nadchodziło.

Zgromadzeni w sali dworzanie wpatrywali się w tę scenę z bezgranicznym zdumieniem. Było wśród nich wielu dzielnych ludzi, którzy bez wahania rzuciliby się do walki po tej stronie, po której leżało dobro Zingary. Jednak któż w tej chwili zamętu potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, czyja to była strona? Król, który stał się cieniem samego siebie, złowieszczy cudzoziemski czarnoksiężnik, pozbawiony skrupułów spiskujący księżę... Jak orzec, po której stronie należy się opowiedzieć?

Villagro usłyszał za plecami mamrotanie rzucającego zaklęcie Menkary. Poczul, jak siły jego umysłu słabną. Stojący przed nim Thoth–Amon wydawał się coraz wyższy, coraz potężniejszy...

Hałaśliwe zamieszanie, które nagle wybuchło w drugim końcu sali, sprawiło, że wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę. Do środka wdarł się tłum krzepkich korsarzy. Na ich czele stał ogorzały czarnowłosy gigant z płonącymi jak wulkany błękitnymi oczami. W potężnej dłoni ścisnął długi kord.

Zarono wydał okrzyk zdumienia:

— Conan! Na wszystkich bogów, ty tutaj?!

Ujrawszy zwalistego barbarzyńcę, korsarz o ziemistej cerze pobladał jak płótno. Po chwili jego wilcze oblicze nabrało ponurego wyrazu, a w twardych czarnych oczach zapłonął gniew. Zarono wyszarpnął rapier.

Zamieszanie zdekoncentrowało Thoth–Amona. Zwrócił głowę w złotej koronie w stronę Conana. Gdyby Stygijczyk miał na skroniach Koronę Kobry, dowiedziałby się z wyprzedzeniem o zlizaniu się Cymmerianina i jego ludzi, lecz zdjął ją na chwilę przed tym, nim oni znaleźli się w zasięgu jej mocy.

Rzuciwszy przelotne spojrzenie na intruzów, Villagro znów skupił uwagę na Thoth–Amonie. Zdążył zorientować się, że Stygijczyk jest przeciwnikiem znacznie groźniejszym od wszystkich, z którymi miał kiedykolwiek do czynienia. Jeśli mimo braku praktyki księciu udałooby się za pomocą korony pokonać czarnoksiężnika, wtedy bez kłopotów poradziłby sobie z Conanem w ten sam sposób. Gdyby jednak skupił całą uwagę na Cymmerianinie, Thoth–Amon poradziłby sobie z nim z taką łatwością z jaką zabija się natrętnego komara.

Conan dotarł na środek sali i zamachał ramionami, by zwrócić na siebie uwagę.

— Witajcie, panowie Zingary! — zagrzmiął. — Wasz król znalazł się w sidłach ohydnej zdrady i najczarniejszej magii! — wyciągnął przed siebie mocarne ramię, wskazując milczącego maga. — To żaden stygijski księżę, ale śmierdzący pomiot najgłębszych piekielnych czeluści! Czarnoksiężnik z przeklętych piasków Stygii, który przybył po to, by wyrwać tron Zingary jego prawowitej dynastii! Łotr czarniejszy niż Thoth–Amon dotąd nie skaził oblicza Ziemi! Jakaś magiczną sztuczką odebrano wolę królowi, który nie wie, co mówi. Potrafi tylko jak papuga powtarzać to, co ten stygijski uzurpator włoży mu do głowy!

Między zgromadzonymi wielmożami zaczęły się wątpliwości. Jednych przekonały słowa Conana, innych nie. Jakiś tłusty szlachcic zawołał:

— A cóż to za zuchwalstwo?! Jak jakiś opryszek śmie wdrzeć się do pałacu w trakcie uświęconej ceremonii i wykrzykiwać niestworzone brednie?! Straże, aresztujcie tych szubieniczników!

Zapanował rozgwar. Conan zdołał krzyknąć:

— Spójrzcie na króla, a przekonacie się, że mówię prawdę, pustogłowy!

Poblądły, zgarbiony Ferdrugo stał teraz obok tronu i szarpał kosmyki swej siwej brody.

— Co... co się tu dzieje, mości panowie? — Mamrotał drżącym głosem, przenosząc oszołomione spojrzenie z jednej twarzy na drugą. — Co... co to jest? Ja to odczytałem? — jęknął patrząc na pergamin. — To bez sensu...

Było oczywiste, że król Ferdrugo nie rozpoznaje proklamacji, którą przed chwilą odczytał.

Wytracony z równowagi walką z Villagro i pojawieniem się Conana, Thoth–Amon rozluźnił myślową kontrolę nad wolą Ferdruga. Czarnoksiężnik nie miał innego wyjścia, jak skupić się wyłącznie na pojedynku z księciem, bo gdy obejrzał się na Conana, Villagro rzucił przeciw niemu całą swą tysiąckrotnie wzmocnioną wolę. Thoth–Amon zachwiał się i o mało nie upadł. Musiał przytrzymać się oparcia tronu. Zbyt mała na niego zingarańska korona, która niepewnie balansowała na jego skroniach, spadła z szczękiem na posadzkę.

W blasku świec zabłyśły białka oczu Thoth–Amona. Stygijczyk przeszedł do kontrataku, wymierzając myślowe uderzenie w zataczającego się przeciwnika.

— Oddaj mi koronę, głupcze! — warknął Thoth–Amon.

— Nigdy! — krzyknął piskliwie Villagro, czując wzrost skierowanej przeciw niemu mocy. Za sobą czuł siłę umysłu Menkary sprzymierzoną z wolą Stygijczyka. Kapłan Seta z całych sił wspomagał swojego pana. Villagro poczuł, że znów słabnie, a szanse jego umysłu kruszą się.

Spojrzenia uczestników ceremonii powędrowały do Conana i jego korsarzy i z powrotem. W powietrzu wyczuwalnie iskrzyło napięcie. Była to jedna z tych chwil, podczas których losy narodów balansują na ostrzu noża, gdy jedno słowo, spojrzenie czy gest mogą zmienić bieg zdarzeń i walić imperia.

I w tej właśnie chwili zabrzmiało słowo. U boku Conana pojawiła się młoda dziewczyna. Kształtna, o gładkiej oliwkowej skórze, ciemnych, miotających gniewne błyski oczach i jedwabistych, czarnych jak sadza włosach. Chociaż jej hoże ciało odziane było w prosty, marynarski strój, panowie Zingary bez trudu przypomnieli sobie, że widywali ją wcześniej w wystawniejszych sukniach.

— Księżniczka! — stęknął chrypliwie jakiś baron.

— He? Chabela? — wymamrotał stary król, rozglądając się nerwowo.

Zrozumiano, że to naprawdę ona. Nim jednak zdążył rozlec się zgiełk pytań, dziewczyna zabrała głos:

— Szlachto Zingary! Kapitan Conan mówi prawdę! Ten stygijski spiskowiec o czarnym sercu opętał mego ojca swoją magią! Conan uratował mnie przed czarnoksiężnikiem i najszybciej, jak mogliśmy, wróciliśmy do stolicy, by zapobiec tej uzurpacji! Straże, zasiecz go!

Kapitan królewskiej gwardii wykrzyknął rozkaz dla swoich ludzi i wyszarpując miecz z pochwy, wysunął się na ich czoło. Conan i dziewiątka korsarzy dołączyli do nich. Obnażona broń zamigotała w świetle świec. Chabela pozostała sama z Ninusem, kapłanem Mitry. Niski człowieczek osunął się na kolana. Jego głos wzniósł się w gorączkowej modlitwie:

— O Panie Mitro, wielki panie światła! — zaintonował. — Stań przy nas w tej godzinie przeciw ciemnym mocom Seta! Wzywam cię, panie nieskończonego czasu, świętym imieniem Saosha i imieniem nie do wypowiedzenia, Zurvan! Błagamy cię, spuść swój święty ogień, by pogiębiony był Stary Wąż, by przepadło jego władztwo!

Czy Thoth–Amon osłabł od tytanicznego myślowego wysiłku, czy Villagro nabrał praktyki w posługiwaniu się Koroną Kobry, czy też zaiste Mitra włączył się do zmagania, nie wiadomo. W każdym razie Stygijczyk zbladł, skurczył się i osłabł. Zatoczył się krok w tył. Villagro otworzył usta, by wydać okrzyk triumfu, jednak przedwcześnie, ponieważ Thoth–Amon zagrał swoją ostatnią kartą. Wymierzył w księcia Kordawy smukły palec wskazujący. Wokół palca rozjarzyła się zielonkawa poświata, która przekształciła się w wiązkę szmaragdowych promieni.

Snop światła trafił w inkrustowaną diamentami koronę na głowie Villagra. Korona Kobry zaślniła oślepiającym szmaragdowym blaskiem, a po chwili złoto rozjarzyło się do czerwoności.

Villagro wydał z siebie przeszywający krzyk. Zatonął się w tył, próbując zderzyć koronę z głowy. Jego czarno farbowane włosy zajęły się ogniem.

Chwilę później salę tronową wypełniło oślepiające błękitne światło błyskawicy. Jedna z szyb rozpadła się z głośnym brzękiem. Do środka wpadła ukośna struga deszczu. Obserwatorom, oślepionym błyskiem i ogłuszonym gromem wstrząsającym posadami ziemi, wydało się, że odnoga błyskawicy wpadła przez rozbite okno i jak kosmiczny bicz uderzyła w nieszczęsnego księcia Kordawy.

Villagro padł jak długi twarzą w dół ze stopni tronu. Korona Kobry spadła i potoczyła się po marmurowej posadzce. Na głowie zdrajcy pozostał zwęglony pas skóry i spalone na szczecinę resztki włosów.

Tak skończył się sen o potędze księcia Villagra, któremu marzyła się królewska korona i który zginął, ponieważ jego marzenie spełniło się z nadmiarem.

ROZDZIAŁ 20

CZERWONA KREW I ZIMNA STAL

Przerazający koniec Villagra sprawił, że przez czas potrzebny na trzy uderzenia serca wszyscy obecni w komnacie stali sparaliżowani i oszołomieni. Pierwszy doszedł do siebie Thoth–Amon.

— Menkara! Zarono! — ryknął. — Chodźcie tu! — Gdy kapłan i korsarz zbliżyli się, stygijski czarnoksiężnik powiedział: — Zbierzcie swoich ludzi i popleczników Villagra! Atakujcie natychmiast, nie szczędząc sił! Jeśli tego nie zrobicie, zapłacicie głowami.

— Gdzie twoje czary?! — prychnął Zarono. — Dlaczego nie zmieciesz przeciwników machnięciem ręki?

— Zrobię, co będzie w mojej mocy, ale magia to nie wszystko. Do broni!

— Masz rację — odpowiedział Zarono, obracając się na pięcie. — Słuchajcie! — krzyknął do swoich ludzi. — Villagro zginął, ale żyje stygijski książę! Jeśli za pomocą naszych mieczy osadzimy go na tronie, wszyscy będziemy panami! Do mnie!

— Do mnie, wszyscy wierni Zingarańczycy! — odkrzyknął Conan. — Brońcie swojego króla i księżniczkę, ocalcie Zingarę przed rządami tego diabła ze stygijskich piekieł!

Obydwie grupy stanęły po przeciwnych stronach sali. Większość zwolenników Villagra dołączyła do Zarony, podczas gdy przeważająca część szlachty i dworzan skupiła się wokół Conana i jego marynarzy. Niektórzy, niepewni, po której stronie się opowiedzieć, oraz tchórze, umknęli z komnaty.

Wkrótce stało się jasne, że stronnicy Zarony są liczniejsi. Chociaż część gwardii pałacowej przyłączyła się do Conana, większość zbrojnych — siepaczy Villagra opowiedziała się po stronie Stygijczyka. Wszyscy spiskowcy odziani byli w zbroje, co dawało im przewagę w walce.

— Jesteście w mniejszości! — krzyknął Thoth–Amon z podnóżka tronu. — Poddajcie się, a ujdziecie z życiem!

Conan dobitnie i mało dwornie wyjaśnił, co Thoth–Amon może zrobić ze swoją propozycją.

— Do mieczy, za Thoth–Amona, króla Zingary! — zawołał Zarono ruszając na najbliższych stronników Conana.

Obie wrogie frakcje rzuciły się na siebie. Szczęk i zgrzyt stali wzbili się pod sufit. Komnata wypełniła się wrzeszczącymi, rozgorączkowanymi ludźmi. Miecze szczękały o miecze, hełmy, pancerze i napierśniki. Padł skąpany w krwi mężczyzna. W chwilę później runął

następny. Coraz więcej było spływających szkarłatem ran, coraz częściej rozlegały się agonálne krzyki śmiertelnie rannych.

Conan uśmiechnął się zuchwale, a w jego ogorzalej twarzy zabłyśły białe zęby. Minął czas słów. Chociaż lata nauczyły Cymmerianina ostrożności i odpowiedzialności, pod otoczką dojrzałości wciąż krył się nieokrzesany barbarzyńca, który najbardziej cenił sobie porządną bitkę, a właśnie zapowiadała się najwspanialsza haratanina, jaka przytrafiła mu się od wielu miesięcy. Z dzikim błyskiem w oczach zaatakował jednego z ludzi Zaronu. Zwalił go na posadzkę i skoczył na niego obunóż z siłą wystarczającą do złamania kręgosłupa. Odskakując jak kot, barbarzyńca kopnął kolejnego przeciwnika w brzuch i wbił miecz w trzewia trzeciego, który nachylił się, by pomóc powalonemu towarzyszowi.

Conan nie zaprzestał ataku. Ścinał Zingarańczyków jak dojrzałą pszenicę. Miał nad nimi znaczną przewagę, ponieważ mieszkańcy nadmorskiego królestwa byli średniego wzrostu. Lekkie klingi, którymi usiłowali zastawiać się przed potężnymi ciosami jego marynarskiego kordu, pękały jak szkło. Przeciwnicy Cymmerianina walili się na posadzkę z odrąbanymi głowami lub ramionami. Za Cymmerianinem szaleli jego korsarze, nie dając odpoczynku swoim lekkim mieczom.

Większość Zingarańczyków po obu stronach stanowili doświadczeni szermierze. Byli to synowie narodu, który z fechtunku na rapiery uczynił sztukę. Lecz także Conan przez długie lata studiował szermiercze rzemiosło z zapamiętaniem konesera. W trakcie zimowych postojów w Kordawie spędzał wolny czas ucząc się wyrafinowanej, zingarańskiej szermierki u wielkiego mistrza tego fachu, Valeria, którego szkoła cieszyła się zasłużoną sławą w kilku królestwach. Dlatego też atakujących Conana młodych szlachciców, którzy opowiedzieli się po stronie Zaronu, czekała sroga niespodzianka. Spodziewali się, że zręcznymi zwodami zmuszą prymitywnego barbarzyńcę do odsłonięcia się i przeszyją go rapierskimi tak łatwo, jak nadzieją się jabłko na sztylet. Jednak Cymmerianin mimo wagi swej broni bez trudu udaremniał ich ataki. Z łatwością jedna po drugiej parował wysubtelnione sekundy, tercje i kontry, powalając kolejnych przeciwników bez życia lub ciężko rannych. Przerażeni błękitnokrwieści młodzieńcy cofali się przed zdumiewającym gigantem, który walczył jak połączenie tygrysa z tornadem.

W końcu przez ciżbę przeciwników Conana przepchnął się mężczyzna w czarnym aksamicie. Sam Czarny Zaron zamierzał skrzyżować miecz z Cymmerianinem, który dzierżył kord równie pewnie jak na początku walki, chociaż krwawił z kilku drobnych ran.

Zaronu nie był tchórzem. Ten pozbawiony skrupułów zatwardziały łotr doskonale opanował szermiercze rzemiosło. Chociaż był nędznikiem, jeszcze nikt, kto w jego obecności kwestionował jego odwagę, nie uszedł z życiem. Z drugiej strony był bystry, potrafił kalkulować i z reguły wiedział, kiedy chwycić nadarzącą się okazję. Gdyby myślał bardziej trzeźwo, być może wstrzymałby się od stawienia czoła Conanowi. Zaronu przepelniała jednak nienasycona nienawiść do Cymmerianina, który parokrotnie udaremnił jego plany. Naginając fakty, zingarański korsarz winił Conana za upadek swojego patrona Villagra i własny, niepewny los. Nosił się z myślą o zemście od tamtego wieczora w tawernie „Pod Dziewięcioma Wyciągniętymi Mieczami”, gdy Cymmerianin ciosem pięści o mało nie zmiotł mu głowy z ramion. Zaronu nie miał żadnych złudzeń co do wdzięczności Thoth–Amona, gdyby Stygijczykowi udało się objąć zingarański tron. Korsarz nie wątpił, że wtedy cała władza i bogactwa wpadną w ręce kapłanów Seta. Jednak Thoth–Amon zapewniłby Zaronowi jakąś synekurę, podczas gdy po zwycięstwie zwolenników starej dynastii korsarz mógłby oczekiwać jedynie pieńka i topora.

Rapier Zaronu — cięższy niż broń noszona przez większość jego ludzi — zaszczekał o kord Conana. Atak był zręczny, jednak Cymmerianin sparował go łatwo i wymierzył potężne cięcie w głowę Zaronu. Zingarańczyk uskoczył w bok, kord barbarzyńcy zaś ześlizgnął się ze szczękiem po jego broni.

Pojedynki toczyły się w całej sali tronowej. Padało coraz więcej ludzi. Komnata stopniowo zamieniała się w jatkę. Za sprawą przewagi liczebnej, szala zmagania przechylała się na stronę rebeliantów. Lojalistów rozdzielono na dwie grupy: jedną zepchnięto pod drzwi, którymi wszedł Conan, a drugą, w której środku znajdował się oszołomiony stary król, do przeciwległego kąta.

Przeciwnicy napierali niemiłosiernie na obydwie ogniska oporu, Conan i Zarono zaś walczyli zajadłe dalej. Zingarańczyk szybko zorientował się, że wdanie się w ten pojedynek było poważnym błędem. Chociaż pod względem sztuki szermierczej dorównywał Conanowi, nie mógł się z nim równać pod względem niewiarygodnej siły, wytrzymałości i zręczności. Zarono zaczynał słabnąć i tylko jego furia oraz rozgoryczenie sprawiały, że dotrzymywał pola barbarzyńcy.

Tymczasem niewzruszony Thoth–Amon zszedł ze stopni tronu. Mijając w milczeniu grupy walczących, podszedł do leżącej na zakrwawionym marmurze Korony Kobry. Kilka razy przeszedł w zasięgu broni zwolenników Conana, jednak żaden z nich go nie zaatakował, jak gdyby był dla nich niewidzialny. W istocie widzieli go, jednak mocą swojego umysłu Thoth–Amon pozbawił ich woli zadania mu ciosu. Stygijczyk był tak skupiony na własnej ochronie, że nie mógł już poradzić sobie z opanowaniem umysłów Conana i innych przywódców przeciwnej frakcji. Bez magicznych przyborów oraz ciszy i samotności nie mógł również rzucić jakichkolwiek potężniejszych czarów, a po użyciu zielonego promienia, przez kilka godzin nie mógł użyć go ponownie.

Thoth–Amon obojętnie przekroczył rozciągnięte na posadzce ciało zabitego przypadkowym pchnięciem Menkary. Dotarł do Korony Kobry i podniósł ją. Była wciąż gorąca, jednak Thoth–Amon dzierzył ją pewnie, bez oznak bólu. Obrócił koronę szybko w dłoniach i po chwili odrzucił ją od siebie z gardłowym przekleństwem jak bezużyteczną błyskotkę.

W tej samej chwili rozległ się jeszcze jeden chór głosów. Do sali potrzęsając włóczniami i kordami wpadli pozostali członkowie załogi Conana z Sigurdem na czele. Wyruszając z Ninusem do pałacu, Cymmerianin odesłał Sigurda na statek z poleceniem, by Vanir dołączył do niego z resztą ludzi tajemnym przejściem, które wskazał kapłan Mitry. Posiłki natychmiast odmieniły sytuację obrońców króla. Przyparci do drzwi lojaliści przeszli do kontrataku. Szereg popleczników stygijskiego maga rozsypał się pod ich uderzeniem. Ludzka ciżba rozdzieliła Conana i Zaronę. Zingarański korsarz utrzymał się jednak na nogach i rozwścieczony klęską postanowił nie rezygnować z walki z Cymmerianinem. Gdy tylko wokół Zaronę zrobiło się luźniej, jego ramię znalazło się w potężnym uścisku. Usiłował strząsnąć cudzą dłoń, nim uświadomił sobie, że to Thoth–Amon.

— Czas ratować się, póki mamy jeszcze szansę! — wykrzyknął Stygijczyk w zgiełku. — Korona jest bezużyteczna, wypaliła się!

— Puść mnie! — zawołał z gniewem Zaronę. — Jeszcze nie przegraliśmy. Zabiję tę cymmeriańską świnię!

— Bogowie zrzędzili, że tym razem wygra Conan.

— Skąd wiesz?!

— Wiem wiele rzeczy. — Thoth–Amon wzruszył ramionami. — Wychodzę. Zostań albo idź za mną, jak ci się podoba!

Stygijczyk odwrócił się i ruszył do bocznego wyjścia. Zaronę niechętnie poszedł za nim.

— Zatrzymajcie się! — rozległ się grzmiący głos Conana. — Nie wydostaniecie się tak łatwo, psy!

Wyrwawszy się z gąszczy walczących, Cymmerianin ruszył w pościg za uciekającą parą, kręcąc młyńca kordem. Thoth–Amon uniósł brew.

— Barbarzyńco, zaczynasz mnie nużyć. — Stygijczyk wycelował środkowy palec lewej dłoni w stronę gobelinu zwieszającego się między dwoma wąskimi oknami. — N'ghokh — ghaa nafayak fthangug! Vgoh nyekh!

Gobelin ożył. Wydał się, zatrzepotał i zerwał z mocujących go taśm z odgłosem dartej tkaniny. Oderwał się od ściany i jak kolosalny nietoperz przeleciał nad głowami walczących, zahamował wprost nad Conanem i runął w dół, spowijając barbarzyńcę w swoich fałdach.

— Śpiesz się, jeśli nie chcesz zostać skrócony o głowę — powiedział Thoth–Amon do Zarona.

Conanowi udało się po chwili wydostać spod gobelinu, lecz Thoth–Amon i Zarono zniknęli. Dookoła pozbawieni przywódców rebelianci rzucali broń na znak poddania się.

Conan pogonił z kordem w dłoni do głównego wyjścia z pałacu i zdołał jeszcze usłyszeć cichnący tętent kopyt dwóch galopujących koni.

Dał rześki, świeży poranny wiatr, niosąc słony wodny pył i napinając żagle „Szelmy” wypływającego z kordawskiego portu. Na nadbudówce świeżo ogolony i ostrzyżony, odziany w nowy strój Conan z ukontentowaniem wciągał powietrze w płuca. Dość cuchnących magicznych zaklęć, dość walki z bezcielesnymi cieniami! Krzepki statek i załoga ochoczych łamignatów, miecz przy boku i skarb do zdobycia — więcej uciech tego świata nie potrzebował!

— Na cycki Isztar i rzyć Nergala, myślę, bracie żeglarzu, że jesteś skończonym wariatem! — mruknął Vanir Sigurd.

— Dlaczego? Bo nie pozwoliłem księżniczce Chabeli wyjść za mnie? — uśmiechnął się Conan.

Rudobrody północny korsarz pokiwał głową.

— To śliczna, krągła dziewczucha, która dałaby ci silnych synów. Tron Zingary sam pchał się ci w ręce. Nie wątpię, że po tych ciężkich przejściach jej ojciec nie pociągnie długo, a wtedy dziewczyna odziedziczy koronę, królestwo i całą resztę.

— Dziękuję, ale nie mam ochoty być małżonkiem królowej — burknął Conan. — Dość mi było takiego żywota w Gamburze, chociaż wtedy nie miałem żadnego wyboru. Do tego Nzinga to była krzepka baba, a nie młodziutkie i naiwne dziewczątka. Myślę też, że Ferdrugo może żyć znacznie dłużej, niż ci się wydaje. Teraz, gdy czary Stygijczyka nie otumaniają już jego umysłu, wygląda dziesięć lat młodziej i zajmuje się rządzeniem królestwem tak, jak należy. Co do Chabeli, cóż, lubię to dziecko. Chyba ją nawet trochę po ojcowsku kocham. Tak między nami; może skusiłbym się na jej propozycję, gdybym nie miał przedsmaku tego, co by mnie potem czekało.

— Jak to?

— Było to podczas kilku dni po walce w pałacu, gdy goiły się moje rany. Trzy razy byłem na obiedzie u króla i księżniczki. Chabela kładła mi w uszy, jakie to ma wobec mnie plany. Moja mowa, strój, zachowanie przy stole, rozrywki — to wszystko miało się zmienić. Miałem stać się wcieleniem zingarańskiego ideału dworzanina, wymachującego przed nosem uperfumowaną chusteczką podczas płasów królewskiego baletu. O nie, być może nie jestem tak mądry jak filozof Godrigo, pupil króla, ale wiem, co lubię. Powiadam ci, Sigurdzie, pewnego dnia zdobędę koronę, ale wywalczę ją mieczem, a nie dostanę jako wiano. Tak! W sumie jednak nic nie można zarzucić hojności, z jaką Ferdrugo mnie wynagrodził. Podarował mi Koronę Kobry, a ja przehandlowałem ją zaraz złotnikowi Juliowi. Stąd wziął się nowy takielunek i wyposażenie dla naszych chłopców. — Conan zachichotał. — Proszę, nie mam jeszcze czterdziestki, a zachowuję się jak przebiegły groszorb! Lepiej będzie, jak wrócę do uczciwego korsarskiego fachu, nim będzie za późno i zamienię się w brzuchatego skąpca. Ratowanie królestw to nie zajęcie dla porządnych hultajów jak my. Na pewno na wodach między Argos i Shem pływa mnóstwo załadowanych do pełna kupieckich statków. Przestań boczyć się na mnie, że odrzuciłem zaloty zadurzonej dzierlatki i zacznij myśleć o interesach. Idziemy do kabiny przestudiować mapy! — podniósł głos. — Zeltranie! Dołącz do nas w kabinie, jeśli łaska!

Po tych słowach odszedł. Wysoki rudobrody Vanir patrzył za nim przez chwilę z otwartymi ustami, po czym bezradnie wzruszył ramionami i podążył za swoim kapitanem.

— Na zieloną brodę Llyra i młot Thora! — jęknął. — I jak tu kłócić się z Cymmerianinem?!

W akompaniamencie trzeszczenia masztów i pisku mew, pchany boczną falą „Szelma” popłynął na południe, unosząc Conana ku nowym przygodom.